

John Marsden

Jutro 2

W pułapce nocy

The Dead of the Night

Tłumaczenie

Anna Gralak



Podziękowania

Oto osoby, którym chciałbym bardzo podziękować: Sean McSullea, Rosalind Alexander, Melanie Smith, Laurie Jacob, Jessica Russell, John Welford, Rob Wingad, Charlotte Austin, EricRolls, Gabrielle Farran, Mary Edmonston, Felicity Robb, Frank Austin i Rachel O'Connor. Przepraszam tych, o których zapomniałem.

*Mojemu bratu Samowi, człowiekowi,
który kocha i jest kochany*

1

Mam dość tego pisania. Wolałabym pospać. Boże, jak ja bym chciała się wyspać! Ale nie mogę. Od dawna nie udało mi się spokojnie przespać nocy. Odkąd trafiłam do Piekła. Odkąd trafiłam do tego skomplikowanego miejsca zwanego Piekłem.

Kiedy mam okazję, żeby się położyć, próbuję wszystkiego. Liczę barany ras border leicester, merino, corriedale, south suffolk. Rozmyślam o rodzicach. Rozmyślam o Lee. O Corrie, Kevinie i o wszystkich innych przyjaciółach. Często myślę o Chrisie. Czasami mocno zaciskam powieki i rozkazuję sobie spać, a kiedy to nie działa, rozkazuję sobie powstrzymać się od spania. Psychologia na opak.

Gdy jest widno albo gdy dochodzę do wniosku, że warto zużyć trochę baterii, dużo czytam. Po chwili męczy mi się wzrok i powieki zaczynają opadać, więc wyłączam latarkę i odkładam książkę. Ten drobny ruch bardzo często wyrывa mnie z objęć snu. Jakbym przeszła korytarzem i stanęła przed drzwiami snu, a one zatrasnęły mi się przed nosem.

Dlatego znowu zaczęłam pisać. Dzięki temu czas szybciej mija. Nie, będę szczerą, chodzi o coś więcej. Pisanie wydobywa z mojej głowy i z serca różne rzeczy i przelewa je na papier. To nie oznacza, że opisane sprawy znikają z mojej głowy i z serca. Nadal tam są. Ale kiedy o nich napiszę, mam wrażenie, że robi się luźniej. Jest więcej miejsca na inne rzeczy. Pewnie pisanie wcale nie pomaga w zasypianiu, ale lepsze to niż leżenie w namiocie i czekanie na sen.

Wcześniej wszyscy bardzo chcieli, żebym pisała. To miał być nasz ślad, nasza historia. Strasznie się cieszyliśmy, że to wszystko zostanie odnotowane. Teraz chyba nikt by się nie przejął, gdybym przestała pisać. Po części dlatego, że niektóre fragmenty nie przypadły moim przyjaciołom do gustu. Zapowiedziałam im, że będę pisać szczerze, i tak właśnie pisałam. Oni się zgodzili, ale po przeczytaniu wcale nie byli zachwyceni. Zwłaszcza Chris.

Dziś wieczorem jest bardzo ciemno. Jesień czai się w zaroślach, tu i tam strąca kilka liści, koloruje jeżyny, nadaje wietrzykowi odrobinę chłodu. Jest zimno, więc trudno mi pisać i jednocześnie nie marznąć. Pochyliłam się w ściworze jak garbus, próbując trzymać kartkę, latarkę i długopis w taki sposób, żeby nie wystawiać się na działanie nocnego powietrza. To chyba pokazuje, jak poważnie traktuję pisanie. Długopis to przewód łączący serce z kartką

papieru. Prawdopodobnie najważniejsza rzecz, jaką posiadam.

Mimo to nie pisałam od wieków, od tamtej nocy, kiedy Kevin odjechał ciemnym mercedesem, wioząc ranną i nieprzytomną Corrie na tylnym siedzeniu. Pamiętam, co potem pomyślałam: że gdybym mogła wypowiedzieć jedno życzenie, chciałabym się dowiedzieć, czy udało im się dotrzeć do szpitala i czy są tam dobrze traktowani. Gdybym miała dwa życzenia, chciałabym się dowiedzieć, czy nic złego nie stało się z moimi rodzicami zamkniętymi w pawilonie bydłowym na terenie wystawowym. Gdybym miała trzy, chciałabym, żeby wszyscy na świecie byli cali i zdrowi, łącznie ze mną.

Od wyjazdu Kevina i Corrie wiele się wydarzyło. Parę tygodni później Homer zwołał naradę. Nadal byliśmy zdenerwowani i chyba mógł poczekać na lepszy moment, chociaż z drugiej strony już i tak wystarczająco długo siedzieliśmy beczynnie. Wydawało mi się, że będziemy zbyt zdołowani, żeby rozmawiać albo układać plany, ale po raz kolejny nie doceniłam Homera. On myślał bardzo intensywnie - sam oczywiście nigdy się tym nie chwalił, ale można to było wywnioskować ze sposobu, w jaki przemawiał na naszych naradach. Dawniej myślący Homer wydawałby mi się czymś równie nieprawdopodobnym jak latający dziobak i w dalszym ciągu było mi trudno przywyknąć do tej jego zmiany. To, co powiedział tamtego dnia, kiedy ponownie zebraliśmy się nad strumieniem, wyraźnie pokazywało, że w przeciwieństwie do niektórych z nas Homer nie próżnował.

Stał oparty o głaz, trzymając ręce w kieszeniach dzinsów. Jego ciemna, poważna twarz zwracała się po kolei w stronę każdego z nas, a brązowe oczy zatrzymywały się na chwilę, jakby starannie analizowały to, co widzą. Najpierw spojrział na Lee, który siedział parę metrów dalej nad brzegiem strumienia i wpatrywał się w wodę. Lee trzymał patyk i powoli odłamywał małe kawałeczki, które potem unosiły się z prądem. Gdy jeden zniknął w spadającej kaskadzie, bulgoczącej wodzie wśród skał, Lee powtarzał cały proces od początku. Nie podnosił wzroku, ale wiedziałam, że gdyby na nas spojrział, w jego oczach zobaczyłabym jedynie smutek. To było trudne do zniesienia. Chciałam odpędzić od niego tę rozpacz, ale nie wiedziałam jak.

Obok Lee siedział Chris. Na kolanach trzymał notes, w którym bez przerwy pisał. Miałam wrażenie, że ten notes jest mu bliższy niż ja. Wprawdzie z nim nie rozmawiał - przynajmniej nie na głos - ale spał z nim, jadł i strzegł go zazdrośnie przed takimi wścibskimi osobnikami jak ja. Myślę, że w dalszym ciągu pisał głównie wiersze. Kiedyś mi je pokazywał, ale to, co o nim napisałam, bardzo go uraziło i od tamtej pory prawie się do mnie nie odzywa. Nie napisałam nic złego, ale on uważał inaczej. Poza tym lubiłam jego wiersze, nawet jeśli nie wiedziałam, o co w nich chodzi. Po prostu podobało mi się brzmienie tych

słów.

Ciężarówka warczą w chłodzie nocy
Na drodze rozpacz.
Nie ma słońca, nie ma chmur,
Nie ma flag w naszym życiu.
Ludzie spuścili głowy.
Nie mają miłości na zbyciu.

Ten kawałek zapamiętałam.

Obok mnie siedziała Robyn, najsilniejsza osoba, jaką znam. Zaszła w niej dziwna zmiana. Im dłużej trwał ten koszmar, tym bardziej była wyluzowana. To, co spotkało Corrie i Kevina, zdruzgotało ją tak samo jak nas wszystkich, ale z każdym mijającym dniem stawała się coraz spokojniejsza. Często się uśmiechała i byłam jej za to wdzięczna. Nie wszyscy się do mnie uśmiechali. Robyn była taka odważna: w najcięższych chwilach, kiedy prowadziłam ciężarówkę z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a wokół świstały kule, dbała o to, bym nie zwariowała. Gdyby nie ona, zjechałabym pewnie na pobocze i pozwoliła się wyprzedzić pojazdom pełnym wrogich żołnierzy. Albo zatrzymałabym się przed przejściem dla pieszych, żeby przepuścić żołnierza z karabinem maszynowym. Tamtej nocy - i nie tylko wtedy - czerpałam z Robyn odwagę. Mam nadzieję, że nie zużyłam całej.

Obok Homera siedziała Fi o smukłych stopach, idealnych kostkach i nogach baletnicy, którymi przebierała w wodzie. Nadal wyglądała tak jak dawniej: jakby w każdej chwili mogła poczęstować twoją babcię herbatą, serwując ją w filiżance Royal Dulton. Albo wystąpić na okładce katalogu odzieży Western Rose. Złamać serce następnemu chłopakowi, wzbudzić zazdrość u następnej dziewczyny albo sprawić, że twój ojciec zrobi się czerwony, wesolutki i zacznie nawijać, jakby był ze dwadzieścia lat młodszy. Tak, taka właśnie była Fi: urocza, ładna i krucha. Ale potrafiła też iść sama ciemną nocą i rozglądać się w poszukiwaniu wrogich patroli, podpalić przesiąknięty benzyną sznur, żeby wysadzić w powietrze most, i gnać motorem przez pola, uciekając przed gradem kul.

Bardzo się myliłam co do Fi.

I w dalszym ciągu nie potrafiłam jej rozgryźć. Po wysadzeniu mostu chichotała, mówiąc: „Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam! Wysadźmy coś jeszcze!”. A kiedy Kevin odjechał z nieprzytomną Corrie na tylnym siedzeniu, Fi płakała przez tydzień.

To właśnie Fi poczuła się najbardziej urażona tym, co o nas napisałam. Chris

najbardziej się wkurzył, a Fi była najbardziej urażona. Powiedziała, że zawiodłam jej zaufanie, że przeze mnie ona i Homer wyszli na idiotów, na dzieci, i że ją oszukałam, ukrywając przed nią swoje uczucia do Homera. Wiem, że to, co napisałam, negatywnie wpłynęło na ich związek. Czują się teraz bardzo skrepowani w swoim towarzystwie, bardzo onieśmieleni. Powinnam była to przewidzieć. Nie popisałam się.

Homer też był przybity, chociaż nie powiedział mi o tym wprost. Uznałam to za zły znak, bo zawsze świetnie nam się rozmawiało. W dodatku moja obecność zaczęła go krępować. Kiedy zostawaliśmy sami, mamrotał jakąś wymówkę i szybko się ulatniał. Było mi z tego powodu bardzo przykro, może nawet bardziej niż z powodu Fi.

Ech, ta moc słowa pisanego.

Potem sytuacja się poprawiła. W takiej małej grupce nie da się długo chować urazy. Za bardzo potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Myślę, że po części problem tkwił w tym, że wszyscy byliśmy zmęczeni i żyliśmy w skrajnym napięciu, więc każda drobnostka wytrącała nas z równowagi. Rozpaczliwie pragnęłam, żeby wszystko było jak dawniej. Z całej grupy tylko Lee i Robyn nie przejęli się tym, co napisałam. Traktowali mnie tak samo jak wcześniej. Mój problem z Lee polegał na czymś innym: Lee ciągle zamykał się w sobie, odpływał w jakimś nieznanym kierunku. I coraz trudniej było go ściągnąć z powrotem.

Nie było lekko. Kilka miesięcy temu, kiedy wyruszaliśmy na biwak, nie mieliśmy pojęcia, że rozpoczyna się największa i najsmutniejsza przygoda naszego życia. Nie wiedzieliśmy, że będziemy razem nie przez tydzień, lecz znacznie dłużej. Wylegiwaliśmy się w lesie, objadaliśmy się, spaliśmy i rozmawialiśmy, a pod naszą nieobecność wroga armia zajęła kraj. Inwazja była tak dobrze zorganizowana, że zakończyła się, zanim ktokolwiek zdążył się połapać. Kiedy zaskoczenie jest duże, kiedy kraj jest tak bardzo nieprzygotowany jak nasz, taka inwazja to chyba łatwizna.

Dlatego z łatwością nas pokonali. Wyszliśmy z lasu i zastaliśmy wielką pustkę. Nasi rodzice zniknęli, podobnie jak bracia i siostry. Psy i koty umarły albo zaginęły, bydło skonało w zagrodach. Całymi dniami, całymi tygodniami nie mogliśmy się otrząsnąć. Próbowaliśmy zrozumieć, co się stało, i jakoś na to zareagować. Jak już wspomniałam, udało nam się to i owo zrobić: przede wszystkim wysadziliśmy w powietrze most Wirrawee.

Zapłaciliśmy za to. Zapłaciliśmy wysoką cenę. Właśnie dlatego byliśmy tak bardzo przybici, kiedy Homer zwołał naradę.

W zasadzie nie wiem, dlaczego nazywaliśmy te spotkania naradami. Nie były aż tak oficjalne. Przeważnie prowadził je Homer, ale wszyscy byliśmy sobie równi i każde z nas mówiło to, co chciało.

Narada rozkręcała się bardzo powoli. Od razu było widać, że tylko Homer ma coś do powiedzenia. Był zdenerwowany. Dopiero po jakimś czasie zdołał cokolwiek z siebie wydusić. Raczej mu nie pomagaliśmy: kiedy mówił, gapiliśmy się na strumień, Lee nadal odłamywał kawałki patyka, a Chris pisał w notesie. Ja drapałam kamień kawałkiem kości, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi.

- Słuchajcie, najwyższy czas, żebyśmy wrócili do gry. Możemy dalej siedzieć i czekać, aż coś się stanie, albo wreszcie stąd wyjść i coś zrobić. Możemy być tacy jak patyk Lee: dać się złamać, wyrzucić i utopić w strumieniu, albo możemy wejść do wody i zmienić jej bieg, wyrzucić kamienie, zlikwidować wiry. Im dłużej czekamy, tym trudniej będzie potem i tym większe stanie się niebezpieczeństwo. Wiem, że chwilami działaliśmy chaotycznie. To nie nasza liga. Ale i tak spisaliśmy się całkiem nieźle. Załatwiliśmy paru żołnierzy, wydostaliśmy ранego Lee z miasta, a potem wysadziliśmy w powietrze cały cholerny most. Jak na zgraję amatorów poradziliśmy sobie nie najgorzej. Nie wiem jak wy, ale ja ostatnio bez przerwy się dołuję. Tyle tylko, że nic mi to nie daje. Myślę, że wszystkiemu jest winien szok po stracie Corrie i Kevina dokładnie w chwili, kiedy nasza czwórka wracała uradowana, dumna i szczęśliwa po udanej akcji. Wysadzenie mostu było przyjemne, a tragedia, która nastąpiła bezpośrednio po nim, mocno nami wstrząsnęła. Nic dziwnego, że wszyscy jesteśmy zrezygnowani, nieszczęśliwi i źli. Nic dziwnego, że skaczemy sobie do oczu, chociaż nie ma ku temu żadnego konkretnego powodu. Tak naprawdę nikt z nas nie popełnił poważnego błędu. Zdarzały nam się pomyłki, ale nie aż tak wielkie, żebyśmy musieli rwać włosy z głowy. Nikt nie był w stanie zapobiec temu, co spotkało Corrie. Nigdy nie zdołamy uniknąć wszystkich zagrożeń. Z tego, co mówił Kevin, ci frajerzy pojawili się znikąd. Nie jesteśmy w stanie się obronić przed wszystkimi ewentualnymi atakami przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mniejsza o to. - Homer pokręcił głową, wydawał się zmęczony i smutny. - Nie o tym chciałem mówić. Już i tak wystarczająco często roztrząsamy te sprawy. Wolę porozmawiać o przyszłości. Nie chcę powiedzieć, że powinniśmy zapomnieć o przeszłości. O nie. Jedną ze spraw, które chcę poruszyć, będzie najlepszym dowodem na to, jak ważna jest dla mnie przeszłość, ale o tym później. Najpierw chciałbym wam powiedzieć, o czym myślę najczęściej. O odwadze. Właśnie o niej.

Przykucnął, podniósł starą, suchą gałązkę i zaczął żuć jej koniuszek. Wpatrywał się w ziemię i chociaż było widać, że jest speszony, mówił dalej. Ciszej, ale z wielkim zaangażowaniem.

- Może to dla was oczywiste. Może wiecie o tym od dziecka, a ja zostałem w tyle i próbuję za wami nadążyć. Ale wiecie co? Dopiero jakiś tydzień temu zdałem sobie sprawę, o

co chodzi z tą całą odwagą. Ona jest w naszych głowach. Nie rodzimy się z nią, nie uczymy się jej w szkole, nie czerpiemy jej z książek. To sposób myślenia, i tyle. To coś, w czym ćwiczymy umysł. Właśnie to do mnie dotarło. Kiedy pojawia się jakieś potencjalne zagrożenie, wasze umysły mogą oszaleć ze strachu. Mogą uciec w las. Widzą węże, krokodyle i facetów z karabinami. Tak działa wyobraźnia. A w tych okolicznościach wyobraźnia nie jest waszym sprzymierzeńcem. Trzeba ją powściągnąć, okiełznać. To taka gra umysłowa. Trzeba być surowym dla własnego umysłu. Odwaga to wybór, którego dokonujemy. Musimy sobie powiedzieć: będziemy odważni. Nie zamierzamy się bać ani panikować.

Homer był blady, skupiony na tym, żeby nas przekonać. Mówił z powagą, wbił wzrok w ziemię i tylko od czasu do czasu podnosił głowę.

- Od tygodni drepczemy w miejscu. Jesteśmy smutni i wystraszeni. Najwyższy czas, żebyśmy odzyskali kontrolę nad naszymi umysłami, żebyśmy byli odważni i robili to, co należy. Tylko w ten sposób możemy stać z podniesioną głową i być z siebie dumni. Musimy pozbyć się myśli o kulach, krwi i bólu. Co będzie, to będzie. Każdy atak paniki osłabia nas jeszcze bardziej. A kiedy myślimy odważnie, stajemy się silniejsi. Jest kilka spraw, którymi powinniśmy się zająć. Zaczęła się jesień. Dni robią się coraz krótsze, a noce cholernie zimne. Musimy zgromadzić zapasy na zimę. Wiosną będziemy mogli zasadzić więcej warzyw i tak dalej. Potrzebujemy więcej zwierząt i musimy się zastanowić, jak to zorganizować, skoro nie mamy tu pastwiska. Zgromadziliśmy wystarczająco dużo ciepłych ubrań i nie zabraknie nam drewna na opał, chociaż czasami trudno je tu przywlec. Ale to tylko podstawowe rzeczy, które pozwolą nam przetrwać. Nie powinniśmy jednak chować się tutaj jak węże w pniu. Powinniśmy stąd wyjść i wykazać się odwagą. Moim zdaniem należy się skupić na dwóch sprawach. Po pierwsze, poszukać innych ludzi. W okolicy na pewno jest więcej takich grup jak nasza. W radiu ciągle mówią o partyzantach i o ruchu oporu na okupowanych ziemiach. Powinniśmy spróbować do nich dołączyć i działać razem. Na razie tkwimy w całkowitej niewiedzy: nie mamy pojęcia, gdzie co jest, co się dzieje i co robić. Ale zanim się tym wszystkim zajmiemy, chciałbym poszukać kogoś innego. Myślę, że trzeba znaleźć Kevina i Corrie.

Każdemu, kto by nas obserwował (miałam nadzieję, że nikt tego nie robił), skojarzylibyśmy się z lekcją baletu na świeżym powietrzu. Powoli zaczęliśmy się prostować i odwracać w stronę Homera. Lee wyrzucił patyk. Chris odłożył notes i długopis, a potem się przeciągnął. Ja wstałam i weszłam na wyższy głąz. Mamy odnaleźć Kevina i Corrie. No jasne. Ten pomysł napełnił nas nadzieją, energią i odwagą. Wcześniej nikt o tym nie myślał,

bo plan wydawał się nierealny. Słowa Homera przemieniły go jednak w możliwość, która nagle ukazała nam się jako jedyne wyjście. W zasadzie po tych słowach plan był tak realny, jakbyśmy już go wykonali. Słowa mają wielką moc. Homer postawił nas na nogi i sprawił, że znowu zaczęliśmy tańczyć. Znowu z sobą rozmawialiśmy. Nikt nie miał wątpliwości, że powinniśmy to zrobić.

O dziwo nie wybuchła żadna sprzeczka i nie odbyła się żadna debata na temat moralnych aspektów takiego przedsięwzięcia. Skupiliśmy się na tym, jak, a nie czy to zrobić.

Nagle zapomnieliśmy o jedzeniu, zwierzętach i drewnie na opał. Potrafiliśmy myśleć wyłącznie o Corrie i Kevinie. Zdaliśmy sobie sprawę, że faktycznie możemy coś dla nich zrobić. Było mi głupio, że nie wpadliśmy na to wcześniej.

2

Choć od inwazji upłynęły zaledwie dwa miesiące, krajobraz wyglądał inaczej. Zaszły w nim wyraźne zmiany: nieskosszone zboże zalegało na polach, domy były pozbawione życia, na podwórzach widzieliśmy kolejne martwe zwierzęta. Owoce gniły na drzewach i na ziemi. Dom Blackmore'ów spłonął w pożarze, który wybuchł przypadkiem albo za sprawą pocisków. U Wilsonów drzewo runęło na dach szopy do strzyżenia owiec i nadal leżało w kołysce z ocynkowanej blachy i połamanych krokwi. Rozmnożyły się króliki. Widzieliśmy nawet trzy lisy, które zazwyczaj nie pokazują się za dnia.

Niektóre zmiany były subtelne. Dziura w płocie, zepsuty wiatrak. Pnącze bluszczu wdzierające się do domu przez otwarte okno.

Wyczuwało się coś jeszcze: jakąś ogólną zmianę w powietrzu. Ziemia stała się dzika, dziwna, surowa. Nadal wygodnie nam się podróżowało, ale czułam się mniej ważna. Czułam, że jestem niewiele ważniejsza niż królik albo lis. Kiedy pola przechodziły w las, stawałam się kolejnym stworzonkiem biegającym po podszyciu i ledwie zauważalnym na tle ziemi. Co dziwne, jakoś nieszczególnie mi to przeszkadzało. Byłam bliżej natury.

Nie spieszyliśmy się, trzymaliśmy się z dala od drogi, szliśmy przez pola w cieniu wzgórz, pod osłoną drzew. Nie rozmawialiśmy, ale panowała wśród nas lepsza atmosfera, w naszych żyłach płynęła nowa energia. Doszliśmy aż do ruin domu Corrie, tam zrobiliśmy odpoczynek i rzuciliśmy się na mały sad, żeby urządzić sobie podwieczorek. Oposy i papugi zjadły znaczną część jabłek, ale zostało wystarczająco dużo, żebyśmy i my mogli się napchać, co oczywiście zrobiliśmy. Zapłaciliśmy za to godzinę później, kiedy zaczęliśmy po kolei biegać w krzaki. Jabłka przeleciały przez nasze układy pokarmowe jak powódź kanałami w Wenecji.

Mimo to było warto.

Odpoczywaliśmy na ziemi Mackenziech aż do zmroku. Doszliśmy do wniosku, że jesteśmy tam całkiem bezpieczni, bo w domu zmienionym w stertę gruzu nie pozostało nic, co mogłoby zwrócić uwagę żołnierzy. Myślałam, że widok ruin mnie przygnębi, ale za bardzo denerwowałam się tym, co nas jeszcze czekało. Szczerze mówiąc (ja znowu z tą szczerością), porzuciłam już wspaniałe marzenia o uratowaniu Corrie i Kevina. Skupiłam się na tym, żeby przeżyć. Przyszła mi nawet do głowy ponura myśl, że niedługo moje ciało może wyglądać tak

jak dom Corrie: rozerwane na kawałki i rozrzucone po ziemi.

Najgorszą ze wszystkich myśli - tą, o którą potykałam się za każdym razem, kiedy podnosiła swój paskudny łeb - była obawa, że Corrie już nie żyje. Wiedziałam, że raczej nie będę w stanie się z tym pogodzić. Bałam się, że widok martwej Corrie będzie końcem mojego życia. Nie miałam pewności, jak to się stanie. Po prostu wyraźnie czułam, że nie będę mogła dalej żyć, jeśli się okaże, że moja kumpelka Corrie zginęła od kuli wystrzelonej przez żołnierza wrogiej armii w samym środku wojny. Bo chyba nie byłabym w stanie przeżyć czegoś takiego? Nikt nie byłby w stanie. To zbyt dalekie od normalności.

Gdy Homer zaproponował wyprawę do miasta w poszukiwaniu Kevina i Corrie, porzuciliśmy myśl, że któreś z nich lub nawet obydwójce mogli zostać zabici. Ta misja nadała naszemu życiu nowe znaczenie. Nie było nam spieszno, żeby je przekreślić i wyrzucić.

O jedenastej ruszyliśmy do Wirrawee. Szliśmy dwójkami trawiastym skrajem drogi, zachowując mniej więcej pięćdziesięciometrowe odległości między parami. Ledwie opuściliśmy ziemię Mackenziech, Lee, ku mojemu zaskoczeniu, wziął mnie za rękę i zamknął ją w swojej ciepłej dłoni. Po raz pierwszy od wielu tygodni wykazał wobec mnie jakąś inicjatywę. Wcześniej to ja zabiegałam o jego względy i choć przeważnie reagował wtedy całkiem dobrze, czułam się niepewnie - jakby wcale tak bardzo mu na mnie nie zależało. Miło było zatem iść za rękę z Lee pod ciężkim czarnym niebem.

Chciałam coś powiedzieć, choćby kilka słów, żeby pokazać, jak bardzo się cieszę, że znowu mnie dostrzega. Lekko ścisnęłam jego dłoń i powiedziałam:

- Mogliśmy wziąć rowery i dojechać przynajmniej do Mackenziech.

- Mhm. Ale nie wiemy, ile się tu pozmieniało... Lepiej uważać.

- Denerwujesz się?

- Co za pytanie! Biegałem w krzaki nie tylko przez jabłka.

Roześmiałam się.

- Wiesz, to pierwszy żart, jaki rzuciłeś od tygodni.

- Serio? Liczyłeś?

- Nie. Ale wydawałeś się taki smutny.

- Smutny? Pewnie masz rację. Nadal mi smutno. Jak chyba nam wszystkim.

- Tak... Ale w twoim wypadku ten smutek sięga tak głęboko, że trudno do ciebie dotrzeć.

- Przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. Po prostu taki już jesteś. Nic na to nie poradzisz.

- Dobra, w takim razie nie przepraszam.

- Hej, to już drugi żart. W takim tempie niedługo zaczniesz robić stand-upy w nocnym klubie w Wirrawee.

- W jakim nocnym klubie? O czym ty mówisz? W Wirrawee miejscem, które najbardziej przypomina nocny klub, jest chyba nasza restauracja.

- Rzeczywiście, pamiętam, jak wszyscy w szkole narzekali, że w mieście nie ma co robić. W dziewiątej klasie sami zorganizowaliśmy dyskotekę, ale nigdy nie udało się tego powtórzyć. Było fajnie i na tym się skończyło.

- Tak. Zatańczyłaś ze mną.

- Naprawdę? Nie pamiętam.

- Ja pamiętam.

Powiedział to z takim uczuciem i tak mocno ścisnął moją dłoń, że aż mnie zatkało. Spojrzałam na jego twarz, ale w ciemności nie mogłam odczytać jej wyrazu.

- Aż tak dobrze to pamiętasz?

- Siedziałaś z Corrie pod flagą mistrzostw futbolu. W jednej ręce trzymałaś napój, a drugą się wachlowałaś. Śmiałaś się i miałaś rumieńce na twarzy. Było dość gorąco, a chwilę wcześniej tańczyłaś ze Steve'em. Kiedy tam wszedłem, od razu chciałem cię poprosić do tańca. Tylko dlatego zjawiłem się na tej dyskoteci. Ale nie miałem odwagi. Nagle zdałem sobie sprawę, że idę prosto do ciebie, chociaż nie miałem pojęcia, kiedy się na to zdecydowałem. Działalem jak robot. Poprosiłem cię do tańca, a ty przez chwilę mi się przyglądałaś i czułem się jak kompletny idiota. Zastanawiałem się, jaką obierzesz taktykę, żeby się wykręcić. Potem bez słowa oddałaś Corrie puszkę z napojem, wstałaś i zatańczyłaś ze mną. Liczyłem na długi wolny kawałek, ale leciało *Convicted of Love*. Mało romantyczne. Później Corrie zaciągnęła cię do toalety i taki był koniec tej historii.

Moja dłoń zrobiła się wilgotna i spocona, ale z dłonią Lee działo się chyba podobnie. Trudno było powiedzieć, czyja ręka jest źródłem tej wilgoci. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Czyżby Lee naprawdę kochał się we mnie od tak dawna? Niewiarygodne, cudowne.

- Lee! Ale z ciebie... Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś?

- Sam nie wiem - wymamrotał i umilkł równie szybko, jak się odezwał.

- Wydajesz się taki... Nigdy nie mam pewności, czy naprawdę ci na mnie zależy.

- Zależy mi, Ellie. Po prostu chodzi o to, że zależy mi też na innych rzeczach, głównie na rodzinie. Rozmyślanie o niej odbiera mi wszystkie siły i nie mam energii na nic więcej.

- Rozumiem. Doskonale cię rozumiem. Ale nie możemy wyłączyć się z życia i czekać, aż nasze rodziny wyjdą na wolność. Trzeba jakoś funkcjonować, a to oznacza myślenie, czucie i... i po prostu życie dalej! Wiesz, o co mi chodzi?

- Wiem. Tylko że czasami to bardzo trudne.

Właśnie mijaliśmy kościół Chrystusa na obrzeżach Wirrawee. Homer i Robyn, którzy szli przodem, zatrzymali się i razem poczekaliśmy na Fi i Chrisa, którzy zostali lekko w tyle. Od tej pory nie mogliśmy rozmawiać o emocjach i wzajemnej sympatii. Musiałam odsunąć na bok zdumienie siłą i głębią uczuć Lee. Musieliśmy być czujni, skupieni. Weszliśmy do strefy wojny i zmierzaliśmy do jej serca. W małym Wirrawee było pewnie co najmniej stu żołnierzy i każdy z nich zabiłby nas, gdyby tylko miał okazję - zwłaszcza po tym, co zrobiliśmy ich kolegom.

Rozdzieliliśmy się. Każdy szedł po swojej stronie drogi. Ja po prawej, Lee po lewej. Kiedy ciemne postacie Homera i Robyn zniknęły, odczekaliśmy minutę i ruszyliśmy za nimi. Szliśmy wzdłuż Warrigle Road. Górował nad nami dom Mathersów. Zastanawiałam się, co czuje Robyn, przechodząc obok niego. Skręciliśmy w Honey Street, tak jak wcześniej uzgodniliśmy, i skradaliśmy się dalej chodnikiem. W tej części miasta nadal nie działało oświetlenie i tylko chwilami widziałam Lee. Pozostała czwórka zniknęła mi z oczu i mogłam jedynie mieć nadzieję, że idziemy z taką samą prędkością. Przynajmniej Honey Street wyglądała normalnie, jeśli pominąć wrak samochodu, który rozbił się o słup telegraficzny. Samochód był granatowy, przez co trudno go było zauważyć, i o mało na niego nie wpadłam. Moje myśli jak zwykle zaczęły błądzić: zastanawiałam się, jak wytłumaczyłabym glinom, że miałam kolizję z zaparkowanym samochodem... „Panie sierżancie, szłam po Honey Street w kierunku wschodnim z prędkością mniej więcej czterech kilometrów na godzinę i nagle zobaczyłam przed sobą samochód. Wdepnęłam hamulec i odbiłam w prawo, ale i tak stuknęłam pojazd w bok...”

Kiedy dokądś szłam, często śniłam na jawie. Najbardziej lubiłam liczyć różne rzeczy, na przykład urządzenia elektryczne w naszym domu (przyznaję ze wstydem, że było ich aż sześćdziesiąt cztery), piosenki z dniem tygodnia w tytule (na przykład *Let's Make it Saturday*), komary, które nigdy się nie narodzą, bo właśnie zabiłam ich potencjalną matkę (sześćdziesiąt miliardów w pół roku, zakładając, że każda samica składa tysiąc jaj).

Musiałam przestać rozmyślać o takich rzeczach, bo właśnie szłam przez miasto, w którym roilo się od żołnierzy chcących mnie zabić. To zadziwiające, że nawet w takich sytuacjach trudno mi było się skupić. Przez jakieś dziesięć minut szło mi całkiem nieźle, ale potem coś odwracało moją uwagę i znowu zaczynałam błądzić myślami. Niewiarygodne, ale prawdziwe. Na polu walki zachowywałam się identycznie jak na lekcjach geografii. Bałam się, że pewnego dnia zamarzę się na śmierć.

Z Honey Street skręciliśmy w mały park bez nazwy i wyszliśmy na Barrabool

Avenue. Zgodnie z planem spotkaliśmy się w ogrodzie przed domem nauczycielki, która uczyła Robyn muzyki, i odbyliśmy szybką naradę pod drzewem pieprzowym.

- Cicho tu - powiedział Homer.

- Zbyt cicho - odpowiedział Lee z lekkim uśmiechem. Obejrzał w życiu sporo filmów wojennych.

- Może wszyscy wyjechali? - zastanowiła się Robyn.

- Zostało nam jeszcze półtorej przecznicy - powiedział Homer. - Idziemy dalej, zgodnie z planem. Zadowoleni?

- Cieszymy się jak dzieci - mruknął Chris.

Robyn i Homer odeszli na paluszkach między drzewami. Po chwili usłyszeliśmy ciche stuknięcie butów, kiedy przeskoczyli przez płot z powrotem na chodnik.

- Możemy pójść za nimi? - szepnęła Fi.

- Dobra. Ale dlaczego?

- Nie znoszę tego czekania.

W ciemności wydawała się przeraźliwie chuda, wyglądała jak duch. Dotknęłam jej zimnego policzka, a ona cicho załkała. Nie miałam pojęcia, że aż tak się boi. Tygodnie spędzone w Piekło dały jej się we znaki. Ale w terenie musieliśmy być twardzi. Jeśli zamierzaliśmy dokładnie przeszukać szpital, potrzebowaliśmy także Fi.

- Bądź dzielna - powiedziałam tylko.

- Tak, masz rację.

Odwróciła się i poszła za Chrisem, a Lee znowu wziął mnie za rękę.

- Chciałabym, żebyśmy nadal byli takimi przyjaciółkami jak dawniej - wyznałam mu. Nie odpowiedział. Ścisnął tylko moją dłoń.

Wróciliśmy na Barrabool Avenue i znowu każde z nas przeszło na swoją stronę drogi. Przynajmniej teraz nie miałam trudności ze skupieniem uwagi. Teoretycznie obszar wokół szpitala nie powinien być bardziej niebezpieczny niż reszta miasta - zakładaliśmy, że szpital nie należy do pilnie strzeżonych obiektów - ale ponieważ ten budynek był naszym celem, stałam się czujna, uważna i bardziej się denerwowałam.

Szpital Wirrawee stoi po lewej stronie Barrabool Avenue, niedaleko szczytu wzgórza. To parterowy gmach, który rozbudowywano przez wiele lat, tak że składał się z wielu skrzydeł tworzących kształt litery H obok litery T. Na podstawie tego, co pamiętaliśmy, zdołaliśmy stworzyć całkiem dobrą mapkę. Każde z nas dorzuciło jakąś informację. Lee był w szpitalu, kiedy urodził się jeden z jego braci. Robyn spędziła tam kilka dni, kiedy złamała nogę w kostce podczas biegu przełajowego. Przed śmiercią babcia Fi kilka miesięcy leżała na

oddziale. Ja byłam na prześwietleniu ramienia, odbierałam tabletki dla taty ze szpitalnej apteki i odwiedzałam chorych przyjaciół. Tak, wszyscy znaleźliśmy ten szpital.

Problem polegał na tym, że nie wiedzieliśmy, co się w nim zmieniło po inwazji. Jeńcy, z którymi udało nam się porozmawiać, powiedzieli, że mieszkańcy miasteczka nadal są leczeni w szpitalu. Domyślaliśmy się jednak, że nie leżą w najlepszych prywatnych pokojach. Raczej na parkingu. Przed inwazją recepcja znajdowała się w poprzeczce litery H. Izba przyjęć, ambulatorium i pracownia rentgenowska były po prawej, a oddziały po lewej. W poprzeczce litery T znajdowały się gabinety, a w długim skrzydle za nimi oddział geriatryczny.

Widzicie, nasz szpital był w zasadzie czymś w rodzaju domu starców. W Wirrawee nie przeprowadza się zbyt wielu operacji na otwartym sercu ani przeszczepów nerek.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, była pierwsza trzydzieści pięć. Za każdym razem, kiedy zapuszczaliśmy się do Wirrawee, w tej części miasta działało oświetlenie. Nie paliły się latarnie, ale na parkingu świecił duży reflektor. W szpitalu też było jasno - głównie na korytarzach i w recepcji. Poza tym oświetlano tylko nieliczne pokoje.

O pierwszej czterdzieści pięć, tak jak uzgodniliśmy, Homer i Robyn wykonali pierwszy ruch. Ja i Lee ukryliśmy się wśród drzew po drugiej stronie ulicy. Zobaczyliśmy dwie ciemne postacie zbliżające się do skrzydła ambulatorium. Robyn prowadziła, Homer szedł za nią i uważnie się rozglądał. Wydawali się zaskakująco mali. W tamtej części budynku były drzwi, które naszym zdaniem najmniej rzucały się w oczy, i mieliśmy nadzieję, że będą otwarte. Robyn podeszła do nich, ale po chwili odwróciła się i zaczęła sprawdzać, czy okna obok drzwi też są zamknięte. Homer zniknął za budynkiem. Kilka minut później pojawił się znowu, Robyn dołączyła do niego i razem szybko wrócili w zarośla. Więc jeden plan upadł.

Po pięciu minutach Fi i Chris wyszli z kryjówki za szopami stojącymi nieco wyżej na wzgórzu. Ich celem był budynek w kształcie litery T - gabinety i oddział geriatryczny. Rozpoznanie terenu zajęło im mniej więcej dziesięć minut, ale im także nie udało się wejść do środka: budynek był szczelny jak zawekowany słoik. Chris spojrzął w naszą stronę i rozłożył ręce. Nie mógł nas widzieć - miałam nadzieję, że jesteśmy dobrze ukryci - ale wiedział, gdzie mniej więcej jesteśmy. Potem Chris i Fi wycofali się w bezpieczne miejsce, ustępując nam pola. Lee spojrzął na mnie i przewrócił oczami. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Miałam nadzieję, że nie wyglądam na tak przerażoną, jak się czułam.

Odczekaliśmy uzgodnione pięć minut. Była druga dziewięć. Poklepałam Lee po ramieniu, a on skinął głową i ruszyliśmy. Po chrzęszczącym żwirze, w górę małego nasypu

porośniętego wybujałymi czerwonymi lakami i w stronę bocznego wejścia do głównego skrzydła. Szliśmy powoli, w odległości mniej więcej trzech metrów od siebie. Oddychałam ciężko, jak na mecie biegu przełajowego, i bardzo się pociłam. Pot na mojej skórze był zimny jak lód. W gardle czułam wielką grudę, jakbym połknęła kość kurczaka. Mówiąc najprościej, było mi niedobrze. Bardzo się bałam. Prawie zapomniałam o emocjach, które nas tu przywiodły: o miłości do Corrie i Keva. Chciałam po prostu wykonać robotę, znaleźć ich albo nie, a potem czym prędzej się stamtąd wynieść. I tyle.

Dotarłam do drzwi, które były spowite cieniem, ale jednocześnie lekko oświetlone zielonym znakiem wyjścia bezpieczeństwa. Powoli przekreśliłam gałkę i popchnęłam, a potem pociągnęłam. Bez skutku: drzwi były zamknięte na cztery spusty.

Tak jak wcześniej nasi przyjaciele, rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy sprawdzać okna. Te od korytarza były zamknięte, ale kilka po drugiej stronie nie. Znajdowały się jednak za wysoko, bez drabiny nie mieliśmy szans. Coraz bardziej zbliżałam się do światła recepcji, więc zawróciłam i dołączyłam do Lee, który czekał pod zamkniętym wyjściem bezpieczeństwa. Rozmawianie w takim miejscu było zbyt niebezpieczne, więc wycofaliśmy się do szopy stojącej jakieś czterdzieści metrów dalej - do małej zamkniętej budki z drewna - i schowaliśmy się za nią.

- Co o tym myślisz? - zapytał Lee.

- Nie wiem. Te otwarte okna to pewnie szpitalne sale. Nie możemy tak po prostu wpaść do środka.

- Poza tym są bardzo wysoko.

- Tak.

Nastąpiła chwila ciszy. Nie wiedziałam, co robić.

- Szkoda, że nie ma tu pozostałych. Może oni wpadliby na jakiś pomysł.

- Do odwrotu zostało tylko dziesięć minut.

- Mhm.

Minęła następna minuta. Westchnęłam i zaczęłam się podnosić. Nie widziałam sensu w dalszym siedzeniu w tak niebezpiecznym miejscu. Kiedy się poruszyłam, Lee złapał mnie za rękę.

- Cii. Zaczekaj. Coś usłyszałem...

W tej samej chwili dźwięk dotarł także do moich uszu. Było to skrzypnięcie otwieranych drzwi. Wyrzałam zza jednej strony szopy, a Lee zza drugiej. Okazało się, że skrzypnęły drzwi, przez które mieliśmy nadzieję dostać się do szpitala. Ze środka wyszedł mężczyzna w mundurze. Zobaczyliśmy go wyraźnie na tle słabego światła z korytarza. Nawet

się nie rozejrzał. Odszedł kawałek i wyjął coś z kieszeni. Dopiero kiedy zbliżył rękę do ust, zdałam sobie sprawę, co robi. Trzymał papierosa. Ten człowiek wyszedł na zewnątrz, żeby zapalić. Im też nie było wolno palić w szpitalu - zupełnie tak jak nam. Byłam w lekkim szoku. Uważałam ich za zwierzęta, potwory, ale oni również mieli swoje przepisy i kodeksy. To zabrzmiało naiwnie, ale wtedy po raz pierwszy do mnie dotarło, że mamy z sobą coś wspólnego. Dziwne uczucie.

Siedzenie w kucki i gapienie się na otwarte drzwi było dobijające. Żółte światło z korytarza sprawiało wrażenie, jakby się zagłębiało do kopalni złota. Rozpaczliwie przetrząsałam umysł w poszukiwaniu sposobu, który pozwoliłby dostać się do środka. Wtedy coś przerwało moje rozmyślenia. Po lewej stronie wśród drzew rozległ się przeciągły krzyk, jęk przypominający zawodzenie rodzącego potwora bunyipa. Dostałam gęsiej skórki. Odwróciłam się, złapałam Lee za rękę i spojrzałam na niego przerażona. Czułam, że moje brwi powędrowały aż do linii włosów i nadal się unoszą. Znowu rozległ się ten wrzask, jeszcze gorszy niż za pierwszym razem i zdecydowanie dłuższy. Pomyślałam, że bunyip będzie wymagał szycia.

- To Homer - szepnął mi do ucha Lee.

Kiedy to powiedział, wszystko zrozumiałam. Homer próbował odciągnąć żołnierza, żebyśmy mogli skorzystać z szeroko otwartych drzwi. Ja i Lee odsunęliśmy się od siebie i wróciliśmy do swoich punktów obserwacyjnych. Czekają nas rozczarowanie. Zamiast heroicznie podbiec do zarośli, żołnierz popędził z powrotem do budynku. Dał susa przez próg i zatrzasnął za sobą drzwi. Nawet z tej odległości słyszeliśmy, jak je zamyka na zamek antywłamaniowy. Na dokładkę przesunął jeszcze dwie zasuwki.

- Przeklęty Homer - powiedział Lee. - Myśli, że to zabawa.

- Mam nadzieję, że dziś w szpitalu nie wybuchnie pożar - powiedziałam. - Wydostanie się tymi drzwiami zajęłoby im z pół godziny.

- Myślałam, że żołnierze to zawodowcy, wyszkoleni twardziele.

- Pamiętasz, co mówił dentysta? Są wśród nich zawodowcy, ale część to zwyczajni rekruci. Amatorzy. Wygląda na to, że niektórzy nie są zachwyceni swoją nową rolą.

- Lepiej stąd spadajmy.

Wycofaliśmy się i dwadzieścia minut później spotkaliśmy się z resztą w domu nauczycielki muzyki. Homer wyglądał na nieco zawstydzonego, szykował się do obrony. Nie można było się zmienić w dojrzałego i odpowiedzialnego człowieka w ciągu paru dni. W głębi niego nadal tkwił zwariowany łobuz.

- Dobra, proszę bardzo, wyżyjcie się na mnie - zaczął, zanim zdążyłam cokolwiek

powiedzieć. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł, i tyle. Gdyby zaczął nas szukać w zaroślach, Lee i Ellie mogliby wejść do środka i teraz wszyscy całowalibyście mnie w oba policzki, i stawialibyście mi piwo.

- Powinniśmy raczej kopać cię w oba półdupki - mruknął Lee.

- To było głupie - powiedział Chris. - Gdyby ten żołnierz miał broń, mógłby was zastrzelić. A skoro nie miał broni, nie było szans, że pobiegnie w krzaki w środku nocy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tak czy siak, to było bardzo głupie zagranie.

Nie mieliśmy nic więcej do dodania. Wszyscy byliśmy zmęczeni i wściekli. Przydzieliliśmy Homerowi pierwszą wartę, a reszta z nas położyła się na parterze. Byliśmy w najbezpieczniejszym ze wszystkich znanych nam domów, bo można było z niego uciec przez okna na piętrze, po gałęziach drzewa. Poza tym roztaczał się stamtąd dobry widok na drogę. Nikt nie mógł podejść niezauważony.

Odpoczynek w łóżku, w prawdziwej sypialni, sprawił mi wielką przyjemność. Był to cudowny, bezpieczny i wygodny luksus. Pełniłam wartę od szóstej do ósmej, a potem znowu spałam aż do południa.

3

Leniuchowaliśmy przez całe popołudnie, próbując znaleźć jakiś błyskotliwy sposób na dostanie się do szpitala. Większość czasu leżałam na podłodze, owinięta kocem w kratę. Pamiętam, że śmiałam się z Chrisa, który udawał, że ogląda telewizję. Reagował na płaski szary ekran, jakby widział teleturnieje, seriale i filmy akcji. To dziwne: telewizja była ważną częścią naszego życia, a teraz, gdy zabrakło prądu, telewizor stał się chyba najbardziej bezużyteczną rzeczą w domu.

Tamtego dnia byłam przede wszystkim szczęśliwa. To dlatego, że znowu zaczynaliśmy się dogadywać. Świadczyły o tym jedynie małe gesty, ale te drobnostki były moim pożywieniem, moim napojem, moim powietrzem i moim życiem. Wszyscy myśleli, że jestem twarda i niezależna, ale potrzebowałam tych pięciorga ludzi bardziej niż kogokolwiek albo czegokolwiek na świecie.

Niestety, nadal nie mogliśmy znaleźć sposobu, żeby dostać się do szpitala. Zaczął zapadać zmrok i w końcu ciemność spowiła całą okolicę. A my wciąż niczego nie wymyśliliśmy. Dlatego należy mi się pochwała za obudzenie natchnienia, które w końcu na nas spłynęło. Leniwie rozmyślałam o szalonej taktyce odwracania uwagi, którą zastosował Homer. Czułam, że mamy pewne możliwości w tym zakresie. Po prostu Homer próbował je wykorzystać w niewłaściwy sposób. Jakaś myśl kąsała mój mózg, jak mała myszka uwięziona w głowie. Wiedziałam, że jeśli znajdę klucz do jej klatki, będę mogła ją stamtąd wypuścić.

- Lee - zagadnęłam, kiedy Fi przejęła ode mnie wartę.
- Słucham, moja piękna, seksowna gąsienico.
- Gąsienico?
- Owinięta tym kocem wyglądasz jak gąsienica.
- Wielkie dzięki. Słuchaj, pamiętasz tę naszą bardzo krótką rozmowę za szopą, kiedy Homer skończył jęczeć?
- I sprawił, że biedny niewinny żołnierz oszalał ze strachu? Tak.
- Co wtedy mówiliśmy? Któraś z tych rzeczy strasznie mnie gryzie.
- Gąsienice ciągle myślą o gryzieniu. Gryzienie to ich główne zajęcie.
- Bardzo zabawne. Ale pytam poważnie.
- Co mówiliśmy? Nie wiem. Rozmawialiśmy o tym, że to pewnie Homer wydaje te

odgłosy.

- Tak. A potem?

- Nie pamiętam. Po prostu patrzyliśmy, jak ten facet wbiega do szpitala i zatrzaskuje za sobą drzwi. I jak je zamyka na cztery spusty.

- Tak. Chodzi o coś... O sposób, w jaki je zamknął.

- Powiedziałaś coś wtedy...

- Tak, powiedziałam.

Usiadłam zniecierpliwiona.

- Czy to naprawdę aż takie ważne? - przytomnie zapytał Lee.

- Nie wiem. Chyba mi odbija. Po prostu czuję, że to ma jakieś znaczenie. Muszę tylko przypomnieć sobie tamtą rozmowę. To jak patrzeć na cielącą się krowę. Widzę głowę, ale nie wiem, jak będzie wyglądała reszta.

Wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju. Byliśmy w salonie na piętrze, w którym pani Lim urządziła kącik muzyczny. Naprzeciwko okna stał piękny czarny fortepian buduarowy. Na pokrywającej go warstwie kurzu Homer napisał palcem: „Heavy metal”. Wcześniej widziałam, jak Lee podnosi pokrywę i przesuwając dłońmi po klawiszach. Drżały mu palce, a spojrzenie jego oczu było jeszcze bardziej namiętne i intensywniejsze niż wtedy, kiedy patrzył na mnie. Stałam w drzwiach i przyglądałam mu się. Kiedy mnie zauważył, pospiesznie opuścił pokrywę, prawie jakby miał poczucie winy, i powiedział:

- Powinienem zagrać uverturę *Rok 1812*. Wezwać żołnierzy, by wytoczyli armaty.

Nie odpowiedziałam. Zastanawiałam się tylko, dlaczego próbuje obrócić w żart coś, co wzbudza w nim tak silne emocje. Chwilami miałam dość żartów.

Teraz okrążyłam pokój, trąciłam sznurek rolety, obróciłam taboret przed fortepianem, starłam graffiti Homera, ustawiłam prosto książki, otworzyłam zegar szafkowy, a potem go zamknęłam.

- Zrobimy powtórkę akcji - zaproponował Lee, obserwując mnie.

- Dobra - powiedziałam i usiadłam na fortepianowym taborecie zwrócona twarzą do Lee.

- W porządku. Wydaje mi się, że zaczęliśmy mówić, dopiero kiedy ten koleś zamknął za sobą drzwi. Trochę ponarzekał na Homera, i tyle.

- Potem stwierdziliśmy, że drzwi są zamknięte na cztery spusty.

- I że wśród tych żołnierzy są zawodowcy i amatorzy, tak jak przypuszczaliśmy. I że ten facet musiał być...

- Zaczekaj.

Ukryłam twarz w dłoniach. Nagle sobie przypomniałam. Wstałam.

- Mam. Chodźmy poszukać reszty.

Tamtej nocy, kiedy razem z Lee obserwowaliśmy Homera z naszej kryjówki, znowu pomyślałam o zaletach bycia najbardziej postrzelonym chłopakiem w szkole. Homer znał się na niesamowitych sprawach. Gdy reszta z nas uczyła się o różnicowaniu produktu i dyskryminacji cenowej na lekcjach ekonomii, Homer i jego kumple w ostatnich ławkach ćwiczyli się w miejskim terroryzmie. Nie mam pojęcia, skąd znali niektóre sztuczki.

Homer znowu skradał się w stronę skrzydła ambulatoryjnego. Tym razem Robyn siedziała w kryjówce pięćdziesiąt metrów za nim i uważnie się rozglądała. Homer dotarł do drzwi na końcu budynku, które poprzednim razem sprawdzali wspólnie. Teraz nie zwrócił na nie uwagi i od razu ruszył ku małym metrowym drzwiczkom mniej więcej w połowie długości budynku. Musiał się przedrzeć przez gąszcz lawendy, ale z naszego punktu obserwacyjnego cały czas dobrze go widzieliśmy. Zobaczyłam, że ciągnie za kłamekę, ale drzwi były zamknięte, tak jak przypuszczaliśmy. Homer spróbował je podważyć dłutem, ale się nie udało, mimo że wyglądały dość nędznie. Składały się z czterech pionowych białych desek połączonych dwiema poprzeczkami.

Homer był jednak niezrażony i dobrze przygotowany. Jego dłoń znowu powędrowała do torby z narzędziami i wyciągnęła z niej śrubokręt. Zaczął nim majstrować przy zawiasach. Zajęło to pięć albo sześć minut, ale w końcu mocno złapał drzwi i delikatnie je podniósł. Nie oglądając się za siebie, wcisnął się przez otwór (Homer to spory facet).

Straciliśmy go z oczu, ale dokładnie wiedziałam, co robi. Ja i Lee czekaliśmy w napięciu, świadomi tego, że za chwilę będziemy musieli wkroczyć do akcji. Wyobraziłam sobie Homera, który przeciska się przez zimny, mroczny podziemny świat jak wielka dżdżownica. Wcześniej, kiedy podsunęłam mu swój pomysł, był przekonany, że plan zadziała. W zasadzie powtarzał jeden ze swoich bardziej skandalicznych szkolnych wyczynów. Próbę generalną miał już za sobą.

Musiał znaleźć miejsce, gdzie można zrobić dziurę w podłodze. Budynek, w którym się znajdował, był stary i zniszczony, więc idealnie się do tego nadawał. Homer miał otwornicę, korbę i świder. Bardzo starannie to wszystko zaplanowaliśmy. Nie chcieliśmy zostawiać żadnych śladów: to dlatego woleliśmy dziurę w podłodze od łatwiejszej metody polegającej na stłuczeniu szyby w oknie i wrzuceniu bomby Homera do środka. Obserwowaliśmy, czekaliśmy, drżeliśmy i zerkaliśmy na zegarek, a potem na siebie nawzajem i niespokojnie na tylną część ambulatorium.

Akcja była starannie zaplanowana. Wieczorem nie próżnowaliśmy: wkradaliśmy się

do domów przy Barrabool Avenue w poszukiwaniu piłeczek do ping-ponga. Homer obiecał, że efekt będzie wart wysiłku, po czym owinał piłeczki folią aluminiową. Patrzyliśmy na to zafascynowani i nie zgłaszaliśmy żadnych zastrzeżeń, pamiętając o akcji ewakuacyjnej w Liceum imienia A.C. Herona zaledwie pół roku wcześniej - wtedy plan zadziałał doskonale. Teraz też. Nagle na drugim końcu budynku rozległy się wysokie głośne dźwięki i prawie natychmiast bezchmurne nocne niebo przeszła seria komunikatów. Były po angielsku i nadawano je tak głośno, że wyraźnie wszystko słyszeliśmy. Rozbrzmiewały w całym szpitalu. Chyba płynęły automatycznie, z taśmy. Najpierw rozległo się: „Kod drugi, kod drugi, kod drugi”, powtarzane co jakieś piętnaście, dwadzieścia sekund. Mniej więcej minutę później rozległ się następny komunikat: „Strefa czwarta, strefa czwarta, strefa czwarta”, a potem „Poziom trzeci, poziom trzeci”. Szpital obudził się do życia. Wszędzie rozbłyskiwały światła i słyhać było krzyki. Rozpoczęła się druga tura komunikatów. Były chyba takie same jak za pierwszym razem, ale przestałam się w nie wsłuchiwać. Zamiast tego zaczęliśmy się skradać, wypatrując swojej szansy. Nie zauważyłam żadnego dymu wydobywającego się z końca ambulatorium, ale wszyscy ludzie, którzy wybiegali z oddziałów, kierowali się właśnie w tamtą stronę. Zobaczyłam dwóch pędzących żołnierzy, potem kilkoro mężczyzn i kobiet w cywilu, kobietę w pielęgniarskim fartuchu i trzy lub cztery osoby w piżamach.

Nie widziałam ich twarzy, więc nie byłam w stanie stwierdzić, czy to wrogowie, czy przyjaciele. Jak na drugą w nocy było ich jednak całkiem sporo.

Nie chcieliśmy zrobić krzywdy chorym. Homer gwarantował, że bomba dymna nie wywoła pożaru, a my mieliśmy nadzieję, że personel nie przystąpi do bezzwłocznej ewakuacji pacjentów. Zakładaliśmy, że szpital ma system przeciwpożarowy, który zostanie uruchomiony przez dym, i liczyliśmy na to, że ten system nadal działa. Ryzyko było niewielkie - w zasadzie byliśmy pewni, że się uda. Personel szpitala zareagował zgodnie z naszymi oczekiwaniami. Wszyscy popędzili do miejsca, w którym rozległ się alarm. I zostawili otwarte drzwi.

Mieliśmy niewiele czasu. Kątem oka zobaczyłam, jak Fi i Chris szybko wbiegają drzwiami prowadzącymi na oddziały. Ja i Lee skupiliśmy się na skrzydle oddziału geriatrycznego, czyli na dłuższej części budynku w kształcie litery T. Wyszła stamtąd tylko jedna osoba: żołnierz, który zatrzasnął drzwi z taką siłą, że odskoczyły z powrotem.

Ruszyłam naprzód, pół kroku przed Lee. Miałam nadzieję, że uda nam się przejść przez parking tak, by nikt nas nie zauważył, ale kiedy wyszliśmy na tę wielką pustą czarną przestrzeń, zrozumiałam, że lepiej jak najszybciej pobiec w bezpieczniejsze miejsce. Spuściłam głowę i pognałam przed siebie, mając nadzieję, że odgłosy stóp za moimi plecami

to odgłosy stóp Lee. Nocne powietrze chłodziło mi twarz, ale jeszcze zimniejszy był dreszcz biegnący mi po karku i w dół kręgosłupa. Strach przed świszczącymi kulami. Dopadłam drzwi zdyszana, zasapana i wdzięczna, że nadal żyję.

Mieliśmy bardzo mało czasu. Mogłam jedynie wsunąć głowę za drzwi i szybko się rozejrzeć. Stary, wyłożony drewnem korytarz był pusty, więc weszłam do środka z nadzieją, że Lee ruszy za mną. Ruszył - i trzymał się tak blisko, że czułam jego oddech na karku.

Korytarz był pusty, ale wiedziałam, że budynek jest pełen ludzi. Nie wiem, po czym się to poznaje: może po jakichś cichych dźwiękach, po skrzypieniu, szuraniu. A może po zapachu ciał i oddechów albo po ciepłe wypełniającym wnętrzu, po wilgotnym ciepłe, którego nie byłyby w stanie wytworzyć żadne kaloryfery ani kominki. W każdym razie natychmiast wyczułam, że wszędzie wokół, za wszystkimi zamkniętymi drzwiami wzdłuż korytarza, są ludzie. Podjęłam błyskawiczną decyzję i skręciłam w prawo, bez żadnego konkretnego powodu. Po prostu skręciłam i szybko ruszyłam naprzód, próbując zdecydować, które drzwi otworzyć, i żałując, że nie mam rentgena w oczach. Minęliśmy małą kuchnię z otwartymi drzwiami. Była pusta i pogrążona w ciemności. Następne pomieszczenie miało tabliczkę z napisem B7. Przez szparę pod drzwiami nie przenikało światło. Zatrzymałam się, spojrzałam na Lee i wskazałam kłamkę, pytając unosząc brwi. Wzruszył ramionami i pokiwał głową. Wzięłam głęboki oddech, przygarbiłam się, mocno złapałam kłamkę, nacisnęłam ją i otworzyłam drzwi.

W środku było zupełnie ciemno. Nie tylko zgaszono światło, lecz także zaciągnięto zasłony. Mimo to czułam, że są tam ludzie. Pomieszczenie było małe, ale zatłoczone. Słyszałam ciężkie oddechy, niektóre powolne i głębokie, a inne drżące i przeciągłe. Stałam, próbując przywyknąć do ciemności i nie wiedząc, czy powinnam zaryzykować i coś powiedzieć. Lee poklepał mnie po ramieniu i wyszłam z nim na korytarz.

- To cholernie ryzykowne - powiedział.

Strasznie się pocił.

Na końcu korytarza rozległ się hałas, więc szybko odwróciliśmy głowy w tamtą stronę. Ktoś otworzył drzwi od strony parkingu. Nie mieliśmy innego wyjścia. Rzuciliśmy się w stronę najbliższych drzwi z napisem B8. Próbowałam je otworzyć najciszej, jak się da, ale nie było czasu na subtelności. Wpadliśmy do środka, robiąc trochę hałasu. Lee pospiesznie zamknął za nami drzwi i wtedy czyjś głos zapytał szorstko:

- Kto tam?

Słyszając ojczysty język, poczułam ogromną ulgę. Głos należał do młodej kobiety, która mogła mieć jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat.

- Szukamy przyjaciółki - powiedziałam szybko.

Była to moja pierwsza rozmowa z dorosłą osobą od początku inwazji.

- Kim jesteście? - zapytała znowu.

Zawahałam się, a potem uczciwie odpowiedziałam:

- Ze względów bezpieczeństwa nie powinniśmy się chyba przedstawiać.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem drżący ze zdziwienia głos zapytał:

- Chcecie powiedzieć, że nie jesteście jeńcami?

- Zgadza się.

- O kurczę. Nie przypuszczałam, że ktoś jeszcze został.

- Jesteśmy tu bezpieczni? - zapytał Lee.

- Ilu was jest?

- Tylko my dwoje - powiedziałam.

- W takim razie do rana nic nie powinno wam grozić. Przepraszam, że tak na was warknęłam, kiedy weszliście, ale tutaj nigdy nic nie wiadomo. Czasami najlepszą obroną jest atak. Słuchajcie, obok mnie leży stara pani Simpson, dostała jedyne normalne łóżko. Wskoczcie pod nie, żeby nikt was nie zobaczył, kiedy nagle zapali się światło. Jezu, nie mogę w to uwierzyć.

Po omacku podeszliśmy do łóżka i wpełzliśmy pod nie. Pani Simpson pachniała dość nieciekawie, ale staraliśmy się nie zwracać na to uwagi.

- Co się dzieje? - zapytałam. - Kim jesteś? Kogo jeszcze tutaj trzymają?

- Nazywam się Nell Ford, pracowałam w zakładzie fryzjerskim. Mój mąż Stewart pracował dla Jacka Culvenora. Budowaliśmy dom przy Sherlock Road, obok zajezdni ciężarówek.

- Jesteś pacjentką szpitala?

- Tak. Trzeba być naprawdę chorym, żeby się tu dostać. Ale jutro albo pojutrze mnie wypuszczą. Wrócę na teren wystawowy.

- Więc wszyscy pacjenci to jeńcy?

- W tym budynku tak. Upchnęli nas tutaj jak sardynki, a sami zajęli najlepsze oddziały w głównej części szpitala.

- Macie tu pielęgniarki? I lekarzy?

Roześmiała się, ale był to śmiech pełen goryczy.

- Dali nam jedną pielęgniarkę. Phyllis de Steiger. Znacie ją? A lekarze mogą tu zaglądać tylko raz na jakiś czas, kiedy nie zajmują się leczeniem żołnierzy. Mamy szczęście, jeśli zjawiają się raz na dwa dni na pół godziny. W zasadzie sami musimy o siebie dbać. Jest

dość ciężko.

- Ile osób leży w tej sali?

- Siedem. To wyłęgarnia zarazków. Ale mniejsza z tym. Co tutaj robicie?

Wspomnieliście, że kogoś szukacie.

Leżąc obok Lee pod zakurzonym łóżkiem, poczułam rosnące napięcie i mocno wbiłam paznokcie w dłoń.

- Znasz Corrie Mackenzie? - szepnęłam. - I Kevina Holmesa?

- Aha, byliście z nimi, tak? - powiedziała. - To by się zgadzało. Już wiem, kim jesteście. To wy wysadziliście most.

Strasznie się pociłam. Nie wiedziałam, że jesteśmy aż tak znani. Nie odpowiedziałam.

- Nie martwcie się - roześmiała się Nell. - Nie pisnę słowa. Domyślam się, że chcecie się dowiedzieć, co się dzieje z waszymi przyjaciółmi?

- Tak, bardzo - szepnęłam.

- Kevin już doszedł do siebie. Jest na terenie wystawowym. A biedna mała Corrie...

Zamilkła. Poczulałam paskudny, niewyobrażalny ciężar w klatce piersiowej. W sercu.

- No wiesz, skarbie...

- Co? Co z nią?

- Widzisz, Corrie jest bardzo chora.

Potrafiłam myśleć tylko o tym, że Corrie żyje.

- Gdzie ona jest?

- Tutaj. Za ścianą. Ale jak już powiedziałam, jest bardzo chora.

- Co masz na myśli?

- No cóż, kochana, Corrie nadal jest wyłączona. To znaczy nieprzytomna. Znajduje się w tym stanie, odkąd przyjechała. Źle z nią.

- Możemy pójść ją zobaczyć?

- Jasne, że możecie, kochana. Ale odczekajcie jeszcze chwilę. Niedługo strażnicy zrobią obchód. Jest tylko jeden w ciągu nocy, ale przed chwilą wył alarm, więc mogą się trochę spóźnić.

- To my go wywołaliśmy - powiedział Lee. - Tylko w ten sposób mogliśmy odwrócić ich uwagę i wejść do środka.

- No tak. Podobno sprytne z was dzieciaki.

- Powiedz mi coś więcej o Corrie - poprosiłam. - Powiedz mi wszystko.

Nell westchnęła.

- Ojej. Chciałabym ci przekazać jakieś dobre wieści. Ale widzisz, potraktowali ją dość

ostro. Kev zawiózł ją prosto na izbę przyjęć i na początku pozwolili, żeby zbadał ją lekarz, ale kiedy się okazało, że to rana postrzałowa, strasznie się wkurzyli. Zamknęli ją w pokoju i nikogo tam nie wpuszczali, aż w końcu lekarze otworzyli drzwi łomem. Ale i tak musiała długo czekać na odpowiednią opiekę, a na przeniesienie do tego budynku jeszcze dłużej. Żołnierze powtarzali, że to „zła dziewczyna”. Chyba miała szczęście, że była nieprzytomna. Ale teraz biedactwo tylko leży. W końcu podali jej kroplówkę. Niewiele to pomogło. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Tylko ona leży w osobnym pomieszczeniu, ale zawsze ktoś przy niej czuwa. Dziś w nocy jest tam pani Slater. Pewnie ją znać.

Nastąpiła długa cisza. Po raz pierwszy poczułam prawdziwą nienawiść do żołnierzy. Była to tak mroczna i zła siła, że aż się wystraszyłam. Czułam się, jakby wypełniały mnie czarne rzygowiny - jakby jakiś demon wewnątrz mnie wymiotował czarną mazią. Bałam się, bałam się wszystkiego: nienawiści, którą czułam, nieprzytomności Corrie, ryzyka, które podejmowaliśmy z Lee, przebywając w tym szpitalu.

- Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z naszymi rodzinami? - zapytał Lee.

Nell cicho odchrząknęła.

- Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym poznać wasze nazwiska - powiedziała.

Więc się przedstawiliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, czy można jej zaufać, ale potrzeba dowiedzenia się czegoś o najbliższych była silniejsza niż względy bezpieczeństwa.

Nell, jak wszystkie fryzjerki, wiedziała wszystko o wszystkich. Moim rodzicom nic złego się nie stało, chociaż pierwszego dnia inwazji tata dostał kolbę karabinu w brzuch, bo za bardzo się stawiał, a potem parę razy został powalony na ziemię z tego samego powodu. Od początku się tego obawiałam. Farmerzy nie lubią, kiedy ktoś im rozkazuje. Nikt nie ma prawa im mówić, co mają robić - nawet ich córki. Tata musiał wpaść w szal, kiedy zdał sobie sprawę, że ludzie z innego kraju zamierzają go zamknąć i dyrygować nim przez kilka najbliższych lat - albo do końca jego życia.

Rodzinie Lee też nie stało się nic złego, choć na początku i oni przeżywali trudne chwile. Pobili się z żołnierzami, którzy wywlekli ich z restauracji. Może zostali surowiej potraktowani, dlatego że byli Azjatami. W każdym razie ojciec Lee miał złamaną rękę, a jego matka podbite oczy, ale dzieciom nie zrobiono krzywdy. Były jedynie wystraszone.

Poza tym wszyscy mieli się dość dobrze - nie licząc brata Homera, George'a, który rozciął sobie dłoń podczas krojenia warzyw, i młodszej siostry Fi, którą gnębiły silne ataki astmy. Niestety, wszystko wskazywało na to, że życie na terenie wystawowym to udreka. Nell powiedziała, że jest tam za dużo ludzi. Kanalizacja nie radziła sobie z takim obciążeniem, często brakowało jedzenia. W pawilonie dla koni były dwa prysznice przeznaczone dla

stajennych, ale nikomu nie pozwalano z nich korzystać, więc ludzie śmierdzieli i ciągle się drapali. W zadrapania i rany szybko wdawały się infekcje, więc bez przerwy wybuchały jakieś epidemie. Obecnie szalała ospa wietrzna, poprzednim razem świnka. Ludzie byli przybici, podenerwowani i zmęczeni. Nieustannie dochodziło do awantur. Niektórzy nie odzywali się do siebie, doszło do kilku prób samobójczych i zmarło dwanaście osób. Byli to głównie starsi ludzie, część z nich usunięto ze szpitala przed końcem leczenia, żeby zrobić miejsce dla żołnierzy. Zmarło również niemowlę, a dwudziestoletnia Angela Bates została zamordowana. Nikt nie wiedział, jak to się stało: pewnego ranka znaleziono jej ciało porzucone obok szaletu. Oczywiście wszyscy byli pewni, że zrobili to żołnierze, ale skarzenie się ich przełożonym było stratą czasu. Zagadka morderstwa pozostała nierozwiązana.

Gdy wyciągano ludzi z domów i spędzano ich na teren wystawowy, dochodziło do gwałtów, ale od tamtej pory się nie zdarzały. Nell powiedziała, że żołnierze są przeważnie zdyscyplinowani, choć poturbowali z dziesięć osób, które nie słuchały rozkazów. Kolesz nazwiskiem Spike Faraday, młody gniewny mieszkający niedaleko Champion Hill, został postrzelony w kolano, kiedy rzucił się na żołnierza, a sześć osób, które próbowały uciec, pobito i zawleczono do miejskiego aresztu. Inny Spike, Spike Florance, który pracował jako pomocnik na farmie, bez przerwy dostawał lanie, bo nie potrafił się podporządkować i ciągle prowokował strażników.

Sytuacja wyglądała zatem znacznie gorzej, niż myśleliśmy. Strzępy informacji przekazane przez członków ekip sprzątających i doniesienia radiowe o „czystej” inwazji natchnęły nas fałszywym optymizmem. Wyglądało na to, że jest coraz gorzej. W tym, co się tu działo, nie było nic czystego. Miałam ochotę pobiec umyć ręce.

Leżąc na materacu na podłodze Nell powiedziała dwie rzeczy, które wyjątkowo mną wstrząsnęły. Po pierwsze, wielu ludzi współpracowało z żołnierzami. Kiedy to usłyszałam, nie wiedziałam, co myśleć. Rzadko czytałam książki o wojnie i oglądałam filmy wojenne, ale zawsze miałam wrażenie, że po jednej ze stron stoją sami bohaterowie. Było się z nimi albo przeciwko nim - po dobrej albo po złej stronie - i nikt nie zmieniał frontu. Nell powiedziała, że niektórzy ludzie podlizują się żołnierzom jak najgorsi wazeliniarze, a co więcej, część z nich ochoczo pomaga najeźdźcom, oferując strażnikom różne przysługi i wspierając ich na wszelkie możliwe sposoby. Niektóre kobiety spędzały z żołnierzami noce.

Byliśmy w szoku.

- Dlaczego? - zapytał Lee. - Dlaczego to robią?

Nell gorzko się roześmiała. Zaczynałam się przyzwyczajać do tej goryczy w jej głosie.

- Słuchaj, skarbie - szepnęła. - Jestem fryzjerką, a wszyscy fryzjerzy to domorośli

psycholodzy. Wydaje nam się, że wiemy o ludziach wszystko, co tylko można wiedzieć. Ale na terenie wystawowym widziałam rzeczy, których nigdy nie zrozumieję, nawet gdybym żyła milion lat. Kto wie, co siedzi w głowach tych drani? Niektórzy robią to ze strachu. Inni w zamian za jedzenie, papierosy, alkohol albo nawet za prysznic czy butelkę szamponu. Część liczy chyba na odrobinę władzy. Pozostali zachowują się jak potulne owieczki i robią wszystko, co im się każe. Nie obchodzi ich, kto wydaje rozkazy. Liczy się to, że trzeba je wykonywać. Osobiście uważam, że to czubki. I w najbliższym czasie raczej się nie zmienią.

Znowu nastąpiła cisza, w której przyswajaliśmy sobie wszystkie te informacje. Jedynym słowem, na którym zdołałam się skupić, było słowo „owieczki”. Większość ludzi ma o nich bardzo niskie mniemanie, ale niewielu farmerów zgodziłoby się z takim podejściem.

- Mylisz się co do owiec, Nell - powiedziałam zatem. - One wcale nie lubią słuchać rozkazów. I nie są takie głupie, jak uważa większość ludzi. Mają doskonały instynkt przetrwania...

- Oj, przymknij się, Ellie - przerwał mi Lee zmęczonym głosem.

Nic nie poradzę, że lubię owce.

Nell zaczęła mówić o drugiej sprawie, która nas zszokowała. Powiedziała, że mnóstwo ludzi - naszych ludzi - nie może się doczekać tego, co żołnierze nazywają „kolonizacją”. Po przejęciu kontroli nad krajem najeźdźcy zamierzali sprowadzić miliony swoich rodaków. Każda rodzina miała dostać kilka akrów ziemi, którą zaczną uprawiać, wykorzystując nas jako niewolniczą siłę roboczą do najgorszych prac: strzyżenia owcom tyłków, kopania ziemniaków, sprzątanania domów.

- Dlaczego ktoś z naszych miałby tego chcieć? - szepnęłam.

W głębi serca byłam coraz bardziej wystraszona. Miałam wrażenie, że to wszystko jest zbyt złe, zbyt okropne i że nie ma dla nas żadnej nadziei.

- No wiesz - powiedziała Nell. Jej odpowiedzi stawały się coraz mniej konkretne, ona też była zmęczona. - Po prostu... gdybyście pomieszkali na terenie wystawowym, pewnie byście to zrozumieli. Tam jest okropnie, tłoczno. Ludzie najzwyczajniej chcą się stamtąd wydostać. Pragną świeżego powietrza, marzą, żeby rozprostować nogi. Dlatego zgłaszają się na ochotnika do grup sprzątających. Chyba każda odmiana wydaje im się dobra.

Kiedy to mówiła, żołnierze rozpoczęli obchód. Usłyszeliśmy ich bez trudu - raczej nie starali się zachować ciszy. Otworzyli drzwi i włączyli światło, a sekundę później znowu je zgasili. Od tak dawna nie byłam w pomieszczeniu z elektrycznym oświetleniem, że błysk podziałał na mnie jak uderzenie w głowę. Potężne wrażenie. Ja i Lee przywarliśmy do

podłogi, wdychając kurz i zapach starego drewna.

- Zwykle nie włączają światła - szepnęła Nell, kiedy żołnierze zniknęli. - Wasz alarm przeciwpożarowy musiał ich trochę wystraszyć.

Byłam pewna, że nie udało im się znaleźć źródła dymu, bo w przeciwnym razie obchód odbywałby się w znacznie bardziej gorączkowej atmosferze. Homer zabrał worek, który miał narzucić na bombę dymną, kiedy wpadną do pomieszczenia piętro wyżej. Znaleźliby tylko salę pełną dymu, który pojawił się z niewiadomej przyczyny. Homer wybrał pracownię rentgenowską, bo widząc tak skomplikowaną aparaturę, żołnierze nie mieliby pojęcia, które z urządzeń ponosi winę za kłęby dymu.

Słyszeliśmy odgłos butów żołnierzy. Wrócili korytarzem na swój posterunek. W końcu nadeszła chwila, o którą tak żarliwie się modliłam. Pragnęłam jej bardzo, ale z jakiegoś powodu czułam ogromny strach. Chyba po prostu nie wiedziałam, co zobaczę w pokoju B10: moją najlepszą przyjaciółkę, najwierniejszą kumpelkę Corrie... czy może jakiegoś zniekształconego potwora, warzywo.

- Teraz powinniście być bezpieczni - szepnęła Nell. - Ale uważajcie.

W zasadzie nie potrzebowałam takiej rady. Nie zamierzałam przecież pokrzykiwać na korytarzu ani rozbijać się wózkami inwalidzkimi.

Wypełzliśmy spod łóżka jak węże z krzaków jeżyn.

- Powodzenia - powiedziała Nell.

- Zajrzymy do ciebie przed wyjściem.

- Jasne, skarbie.

Ostrożnie otworzyłam drzwi i wyjrzałam na korytarz. Było tam dość ciemno i zupełnie pusto. Oraz zimniej niż w ciepłe i zapachu ludzkich ciał w sali B8. Na paluszkach pobiegłam korytarzem, wiedząc, że Lee jest tuż za mną. Kiedy jednak dotarliśmy do drzwi Corrie, nie miałam odwagi ich otworzyć. Od dnia inwazji wiele razy musiałam sięgać do swoich zasobów odwagi. Zadziwiające było to, że zawsze ją tam znajdowałam, choć czasami trzeba było kopać naprawdę głęboko, pozostawało jej przecież tak mało.

Teraz słabo oparłam się o drzwi i przycisnęłam do nich głowę. Nie było to zbyt mądre posunięcie - może nie aż tak głupie jak pokrzykiwanie na korytarzu albo urządzenie sobie rajdu na wózkach inwalidzkich, ale niewiele mądrzejsze. Lee objął mnie, a ja odwróciłam się i wtuliłam twarz w jego pierś. Nie płakałam, ale byłam mu wdzięczna za ten silny uścisk i milczące zrozumienie. Gdzieś głęboko w nim znajdowało się miejsce, którego ja chyba w sobie nie miałam. Może właśnie stamtąd wydobywała się jego muzyka. Cokolwiek to było, połączyłam się z tym na kilka sekund i zyskałam odrobinę siły. Jak po transfuzji krwi.

- Wejdiesz pierwszy? - zapytałam, odsuwając głowę od jego miłej, ciepłej piersi.

Puścił mnie, przekręcił gałkę w drzwiach, a następnie je otworzył. Wszedł do sali i przytrzymał dla mnie drzwi. Wślizgnęłam się do środka, w tamten mrok.

- Kto tam? - zapytał czyjś wystraszony głos.

Przez chwilę byłam przekonana, że to Corrie, i wydałam z siebie zduszony okrzyk. Pomyślałam, że to duch albo cud - że Corrie nagle odzyskała przytomność i przemówiła do nas. Potem przypomniałam sobie o pani Slater.

- To ja, pani Slater. Ellie. Jest ze mną Lee.

- Ellie! Och! Lee!

Kobieta poderwała się z miejsca, przewracając coś po drodze.

Dość dobrze znaliśmy panią Slater. Należała do tych osób, które upychają w dobie jakieś trzydzieści dwie godziny. Wiele lat temu jej mąż zginął w wypadku, jadąc traktorem, i od tamtej pory pani Slater prowadziła gospodarstwo rolne, wychowywała dzieci, napisała dwie książki poświęcone ogrodnictwu, nauczyła się kaligrafii i pikowania oraz dotarła na półmetek studiów z historii sztuki na uniwersytecie otwartym. Znajdowała nawet czas na dyżury w szkolnej stołówce: jej najmłodszy syn Jason był w dziesiątej klasie.

Pewnego razu pani Slater powiedziała mi, że istnieją dwa rodzaje ludzi: ci, którzy oglądają telewizję, i ci, którzy działają.

Teraz powitała mnie najsilniejszym uściskiem w moim życiu. W końcu zaczęłam płakać. Upłynęło dużo czasu, odkąd uroniłam ostatnią łzę. Pani Slater była pierwszą znaną mi dorosłą osobą, którą ostatnio widziałam, pierwszą dorosłą osobą, która mnie przytuliła i połączyła z dawnym, kochanym, szczęśliwym światem. Była pierwszym łącznikiem z moimi rodzicami, bo bardzo przyjaźniła się z mamą.

- Och, Ellie - powiedziała. - Biedne dziecko. Na dodatek paskudnie pachniesz.

- Pani Slater! - roześmiałam się i na znak protestu lekko pacnęłam ją w ramię.

Potem pani Slater uściskała Lee.

Chyba przebywaliśmy z sobą tak długo, że nie mieliśmy pojęcia, jak okropnie prześmierdliśmy. Wcześniej regularnie kąpaliśmy się w strumieniu, ale ostatnio woda bardzo się oziębiła i robiliśmy to trochę rzadziej.

- Nie przejmujcie się - uspokoiła nas pani Slater. - Na terenie wystawowym ludzie cuchną jeszcze gorzej. O wiele gorzej. Ale pacjenci szpitala biorą prysznic co drugi dzień, więc szybko zapominamy o smrodzie.

Przestałam jej słuchać. Odwróciłam się w stronę łóżka, gdzie leżała milcząca Corrie. Przez okna wpadało światło z parkingu. Na szybach było widać skroploną parę. W pokoju

panował półmrok, jak w kościele późnym popołudniem, zanim włączą światła. Wyróżniały się tylko bardzo ciemne i bardzo jasne obiekty. Drzwi szafy przypominały ciemną bliznę na ścianie. Szafka nocna była białym kształtem czujnie przycupniętym przy łóżku Corrie. Wydawała się wręcz jaskrawa. Prześcieradło przykrywające Corrie jaśniało milczącym blaskiem. Jej głowa na poduszce była małą czarną plamą, nieruchomym okrągłym kamieniem. Nie widziałam rysów twarzy. Próbowałam zobaczyć oczy, nos, usta. Nie udało mi się i nagle przestraszyłam się tej czarnej plamy, jakby nie była człowiekiem, jakby to wcale nie była Corrie. Wpatrywałam się w nią, usiłując zdusić strach w żołądku, uniemożliwić mu dotarcie do gardła i ust. To jej usta czy tylko cień? To jej oczy czy tylko czarne punkciki, gra światel? Zapomniałam o Lee i pani Slater. Nie tylko o tym, że są w pokoju, lecz o tym, że w ogóle istnieją. Zostałam sam na sam z tym kształtem w łóżku. Powoli zrobiłam trzy małe kroki w jego stronę. I nagle, kiedy zmieniałam pozycję i światło padło na łóżko pod innym kątem, odnalazłam Corrie. To była ona: jej delikatna skóra, okrągła twarz i zamknięte oczy. Otworzyłam lekko usta ze zdziwienia, bo wyglądała inaczej niż Corrie z naszej wspólnej przeszłości i inaczej niż Corrie z moich przerażających wyobrażeń. Nie była zmizerniała, poturbowana ani posiniaczona, ale z drugiej strony nie wyglądała na szczęśliwą, pełną życia i rozmowną. Przypominała woskową lalkę, w pełni ukształtowaną podobiznę Corrie. Jej wargi lekko drżały z każdym wdechem i wydechem, ale poza tym nie zauważyłam żadnego ruchu. Żyła, ale z jakiegoś powodu nie było jej już wśród nas.

Nie bałam się jej, ale bałam się jej dotknąć. Wcześniej zamierzałam zapytać panią Slater, czy mogę dotknąć Corrie, czy to bezpieczne, ale teraz ta myśl wyleciała mi z głowy. Po chwili pochyliłam się i koniuszkiem drżącego palca musnęłam jej prawy policzek. To nie była ta Corrie, którą przytulałam, używałam jako poduszki i z którą urządziłyśmy zapasy. To nie była ta Corrie, która tak często siedziała mi na kolanach w zatłoczonym szkolnym autobusie. Tamta Corrie cicho mi się wymknęła, pozostawiając za sobą tę spokojnie oddychającą, bladą zastępczynię. Pochyliłam się jeszcze niżej i pocałowałam ją w czoło, a potem położyłam głowę na poduszce obok. Nic nie powiedziałam. W zasadzie nawet o niczym nie myślałam. Corrie miała chłodną skórę, ale wtedy tego nie zauważyłam. Uświadomiłam to sobie dopiero później. Czułam, jak oddycha obok mnie. Stałam tak przez jakiś czas. Przez długi czas.

W końcu wyprostowałam się i szepnęłam jej do ucha:

- Trzymaj się, Corrie. Uważaj na siebie.

Potem wymknęłam się na korytarz i czekałam na Lee. Nie pożegnałam się z panią Slater, co było trochę niegrzeczne.

Lee dość długo nie wychodził, więc schowałam się za koszem na brudną bieliznę. W końcu się zjawił. Wyprostowałam się i ruszyłam z powrotem do B8, żeby się pożegnać z Nell.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytała. - Przygnębiło cię to?

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego zadałam jej pytanie, które nie dawało mi spokoju:

- Powiedziałaś, że Kevin już doszedł do siebie, prawda?

- Tak to ujęłam?

- Tak. Co to znaczy?

Próbowała wymyślić jakieś pocieszające kłamstwo, ale jej się nie udało. Po chwili poddała się i powiedziała prawdę.

- Dość mocno go pobili, Ellie.

Po chwili skradaliśmy się korytarzem w stronę wyjścia. Nell powiedziała nam, gdzie są żołnierze: w pokoju pielęgniarek obok drzwi. Schowaliśmy się w małej kuchni jakieś dwadzieścia metrów od wyjścia. Złapałam Lee za głowę i pociągnęłam ją w dół, żeby szepnąć mu do ucha:

- Chcę znaleźć jakiś nóż.

- Po co?

- Żeby zabić tych żołnierzy.

Poczułam, że jego ciało lekko drgnęło, jakby dotknął zacisków baterii. Przez chwilę milczał i stał wyprostowany, a ja siedziałam obok niego przycupnięta jak zwierzę, którym się stałam. Potem znowu się pochylił i zbliżył usta do mojego ucha.

- Nie możesz tego zrobić, Ellie.

- Dlaczego?

- Zemszczą się na pacjentach.

Nie rozmawialiśmy więcej. Czekaliśmy. Czekaliśmy, aż żołnierze zrobią sobie przerwę, dając nam szansę przemknienia obok ich posterunku. Od czasu do czasu słyszeliśmy, jak rozmawiają w swoim gardłowym języku. W ich głosach pobrzmiwało jednak coś w rodzaju rzewnej melodii, która wydawała się niemal ładna. Chwilami rozlegał się także dziewczęcy głos, niski i zachrypnięty, roześmiany i rzucający uwagi, które były wypowiedane po angielsku, ale zbyt cicho, abyśmy mogli zrozumieć słowa. Po tym, co powiedziała Nell, miałam najgorsze podejrzenia co do obecności tej dziewczyny wśród żołnierzy i byłam na nią wściekła.

Jeden ze strażników przeszedł obok naszej kryjówki, idąc do toalety, ale nie wiedzieliśmy, gdzie jest drugi, więc nie odważyliśmy się wyjść. Była trzecia czterdzieści pięć. Kilka minut później żołnierz wrócił i nic więcej się nie działo aż do czwartej

dwadzieścia, kiedy jego kolega pokonał tę samą drogę do łazienki. Kilka sekund później na progu kuchni stanęła wysoka dziewczyna, która mogła mieć jakieś dziewiętnaście lat, i zwrócona w naszą stronę szepnęła:

- Szybko, ten drugi zasnął. Tylko nie hałasujcie.

Zamurowało nas i przez chwilę zastanawialiśmy się, czy naprawdę mówiła do nas. Potem doszliśmy do wniosku, że tak. Wstaliśmy i przemknęliśmy obok wózków inwalidzkich w stronę wyjścia. Dziewczyna już zniknęła. Kim była? Skąd wiedziała, że tam jesteśmy? Nadal nie znam odpowiedzi na te pytania, ale kimkolwiek była i cokolwiek robiła z tymi żołnierzami, wiem, że wiele jej zawdzięczamy.

4

Homer był pod wrażeniem, kiedy usłyszał, że jesteśmy tacy znani i że cieszymy się złą sławą wśród najeźdźców.

- Pokażmy im, że nadal jesteśmy w grze - powiedział, wolno rozciągając usta w złowrogim uśmiechu.

Lekko zadrżałam. Mimo morderczego impulsu, który poczułam w szpitalu, nadal nie potrafiłam się przyzwyczaić do ryzyka, do stawiania twarzą w twarz ze śmiercią i grania jej na nosie, co Homerowi sprawiało chyba największą przyjemność. Ale czy naprawdę to lubił? Przypomniałam sobie, że nazwał odwagę stanem umysłu i powtarzał, że trzeba myśleć odważnie. Spróbowałam i naprawdę podziałało. Przynajmniej trochę. Włączyłam się do rozmowy, jakbyśmy gadali o meczu netballu albo o teście z chemii. A mówiliśmy o celach, taktyce, ryzyku i niebezpiecznych pomysłach. Zajęło nam to półtora dnia. Czułam się dość dziwnie, bo przez cały ten czas ani razu się nie pokłóciliśmy. Nikt nie krzychał ani nawet nie podnosił głosu. Z drugiej strony rzadko żartowaliśmy. Miało to jakiś związek z tym, co ja i Lee powiedzieliśmy reszcie o Corrie i Kevinie. Z wieściami na temat ludzi przetrzymywanych na terenie wystawowym i z tym, że niektórzy z nich zaczynają pękać. A przede wszystkim z nowym poczuciem, które nami zawładnęło: że jako jedne z nielicznych osób będących na wolności powinniśmy zrobić coś więcej. Ciężka na nas pewna odpowiedzialność i należało przystąpić do działania.

Dlatego potraktowaliśmy sprawę poważnie. Śmiertelnie poważnie.

Doszliśmy do wniosku, że Wirrawee nie powinno być naszym głównym celem. Kochaliśmy to miasto i było ono centrum naszego życia, ale musieliśmy przyznać, że los kraju nie zależy od naszej miejsciny. Chcąc zadać wrogowi silny cios, musieliśmy znaleźć ważniejszy ośrodek jego działań, a to oznaczało powrót do autostrady biegnącej od Zatoki Szewca. Gdy widzieliśmy ją po raz ostatni, była pełna konwojów. Najwidoczniej stała się dla najeźdźców głównym punktem desantowym, z którego ciężarówki sunęły ku najważniejszym polom bitwy. Wysadzenie w powietrze mostu na pewno skomplikowało im życie, bo teraz musieli jeździć okrężną drogą. Ale nie zanosilo się na to, żeby przegrali przez to wojnę.

Dlatego wyruszyliśmy na kolejny długi spacer po wsi. Opuściliśmy Wirrawee o drugiej trzydzieści, mimo największego zimna i zmęczenia, i człapaliśmy naprzód, trzymając

się zasad bezpieczeństwa: podzieleni na pary sprawdzaliśmy każde skrzyżowanie i cicho przemykaliśmy ulicami miasta. Minęliśmy most, którego żadne z nas nie widziało od pamiętnej nocnej imprezy z benzyną. Tym razem szłam z Fi, bo potrzebowałam chwili odpoczynku od Lee, i chociaż w dalszym ciągu byłam bardzo przybita wspomnieniem pogrążonej w śpiączce Corrie, humor trochę mi się poprawił, kiedy zbliżyliśmy się do mostu i zobaczyłam, jak wielkich dokonaliśmy zniszczeń. W zasadzie konstrukcja została zrównana z ziemią. A dokładniej mówiąc, z rzeką. Most był stary i drewniany, więc po eksplozji musiał płonąć tak szybko, że nikt nie zdołał ugasić pożaru. Z wody i z błota wystawało tylko kilka czerniałych filarów, a poza tym po moście nie został nawet ślad. Na brzegu od strony miasta leżały długie rzędy betonowych płyt. Najwidoczniej Wirrawee miało dostać nowy most, o którym jego mieszkańcy od dawna marzyli. I wszystko wskazywało na to, że ta konstrukcja będzie solidniejsza niż jej poprzedniczka.

Zatrzymałyśmy się na chwilę i patrzyłyśmy na zgliszcza z szerokim uśmiechem, czując przede wszystkim niedowierzanie, ale i odrobinę dumy. Nasze dzieło wprowadziło nas chyba w lekki szok - przynajmniej mnie, nie mogę się wypowiadać w imieniu Fi. Przejeżdżałyśmy tym mostem mnóstwo razy. Nigdy nie przypuszczałam, że pewnego dnia go zniszczę. Czułam się dziwnie na myśl, że zapiszemy się w historii jako ludzie, którzy wysadzili go w powietrze. Chciałam zostać zapamiętana jako osoba, która buduje, a nie niszczy. Zrobiliśmy to jednak w szczytnym celu. W wyniku wojny zmieniło się wiele rzeczy, a jedną z najmniejszych zmian było to, że nastolatki mogły teraz włóczyć się po okolicy i wysadzać w powietrze wszystko, co tylko chciały, a potem jeszcze zbierać za to oklaski. Jestem pewna, że kiedy szkolna doradczyni zawodowa pani Goh dała nam do wypełnienia stertę formularzy, nie zaznaczyłam opcji „terrorystka” ani „partyzant”.

Przedostaliśmy się na drugi brzeg mniej więcej kilometr dalej, w miejscu, gdzie wąska drewniana struktura podtrzymywała wielką rurę. Pewnie płynęły nią ścieki albo coś w tym rodzaju. Co do tego nie byłam pewna, ale przechodząc tamtędy, czułam napięcie i miałam wrażenie, że widać mnie jak na dłoni. Wprawdzie przemykaliśmy na drugą stronę po kolei, ale gdyby zjawili się żołnierze i zaczęli strzelać, byłibyśmy kompletnie bezradni.

Gdy dotarliśmy do autostrady, zauważyliśmy kilka zmian. Nawet o tak wczesnej porze panował na niej ruch. W ciągu półtorej godziny zobaczyliśmy dwa małe konwoje wyjeżdżające z Zatoki Szewca i jeden jadący w jej stronę. W Jigamory skręcały jednak z autostrady w Buttercup Lane, mijając dom Jacobów. Była to pewna zmiana, ale spodziewaliśmy się jej. Domyśliliśmy się, że właśnie tamtędy zostanie poprowadzony objazd, chociaż nowa trasa biegła przez słabiej zagospodarowane tereny wiejskie. Mniej więcej osiem

kilometrów dalej był most, który mógł wytrzymać tak duży ruch.

- Założę się, że dobrze go pilnują - powiedziała Robyn z uśmiechem.

Druga ważna zmiana polegała na tym, że patrole były teraz znacznie mniejsze. Widzieliśmy tylko dwa, oba niezmotoryzowane. Pierwszy tworzyło trzech żołnierzy, a drugi czterech. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Może byli pewni, że kontrolują tę część kraju, mimo że od wysadzenia mostu nad rzeką Heron upłynęło niewiele czasu. Może tak rozpaczliwie potrzebowali żołnierzy na innych obszarach, że zostali zmuszeni do uszczuplenia sił w Wirrawee. I chociaż mogłoby się wydawać, że mniejsze patrole są nam bardziej na rękę, tak naprawdę tylko komplikowały sytuację. Większe łatwiej było zauważyć, bo robiły mnóstwo hałasu. Te dwa małe prawie nas schwytały, bo przemieszczały się niemal bezszelestnie. Może właśnie dlatego wróg zdecydował się na mniejsze grupki.

Zanim się obejrzelśmy, poranek zaczął skubać obrzeża nieba i ledwie zdążyliśmy wrócić do naszej kryjówki w Wirrawee. Musieliśmy gnać jak szaleni, żeby zdążyć przed godzinami szczytu. Bez względu na to, czy była wojna, czy pokój, godziny szczytu w Wirrawee nigdy nie oznaczały korków na drogach, ale o świcie grzeczni chłopcy i grzeczne dziewczynki byli już w łóżkach, a my uważaliśmy się za grzecznych chłopców i dziewczynki. Ostatnie pół godziny chodzenia ulicami w szarym świetle dnia porządnie mnie wystraszyło. Usłyszeliśmy ciężarówkę na Maldon Street i dwa samochody, które pędem przecięły skrzyżowanie. Udało nam się jednak wrócić do domu z zestawem potrzebnych informacji.

Przespaliśmy się, a potem nadal układaliśmy plan, tyle że tym razem skupiliśmy się na szczegółach: na czasie, miejscu i sprzęcie.

Część planu polegała na tym, żeby dobrze się wyspać, zanim ruszymy do akcji. Byliśmy całkiem zadowoleni z przygotowań. Oczywiście nie wiedzieliśmy jeszcze, że nie sposób się przygotować na kaprysy losu i zbiegi okoliczności. Gdy pełniąc popołudniową wartę, patrzyłam na ulicę z okna sypialni na piętrze, widziałam ekipy sprzątające przewożone starymi ciężarówkami i autobusami z terenu wystawowego i zastanawiałam się, czy są wśród nich moi rodzice, czułam dziwny spokój i pewność. Czułam, że znowu robimy to, co należy. Zamiast snuć się po Piekło i narzekać, przystępowaliśmy do działania. Działanie wymaga pewnego odrębnego sposobu myślenia. Musieliśmy walczyć. Ci ludzie byli rakiem, który zakradł się do naszych żołądków i zainfekował całe organizmy. Musieliśmy być jak chirurdzy: odważni i mądrzy. Nie wystarczyło rozmyślać i gadać.

Następny dzień włókł się niemiłosiernie. Czułam się tak, jakbym obserwowała klepsydre przytkaną gliną. Przed południem zabroniłam sobie spoglądać na zegarek przez co najmniej pół godziny, ale dziesięć minut później mój wzrok znów uciekł w jego stronę.

Kiedy moja warta dobiegła końca, poszłam poszukać towarzystwa, które odwróciłoby moją uwagę, i znalazłam Chrisa. Siedział w salonie na piętrze i znowu gapił się na ekran telewizora.

- Coś ciekawego? - zapytałam, padając obok niego na kanapę.

- Może być. Chociaż nie ma zbyt wielkiego wyboru.

- A co oglądasz?

- MTV.

- Jakiś nowy zespół?

- Tak, zupełnie nowy styl muzyczny. Black rock. Bardzo subtelne granie.

- Na to wygląda. Dziwne, nie? Prawie przestałam myśleć o telewizji. Chociaż w zasadzie nigdy zbyt często jej nie oglądałam, więc to chyba nic niezwykłego.

- Ja oglądałem bez przerwy. Jestem uzależniony od telewizji. Chociaż właściwie aż tak bardzo za nią nie tęsknię.

Nagle odwrócił się do mnie ze śmiechem i chciał coś dodać. Zanim zaczął mówić, poczułam jego oddech - słodki, mdlący zapach alkoholu. Byłam w takim szoku, że nie usłyszałam, co powiedział. Chyba wspomniał, że pociągnął do swojego pokoju kabel radiowy, żeby móc słuchać telewizji nawet tam. Była dopiero jedenasta trzydzieści, a on już coś wypił! Staralam się kontrolować wyraz twarzy. Teraz, kiedy poczułam woń oddechu Chrisa, zauważyłam też inne oznaki: miał problemy z wymówieniem dłuższych słów, rozbiegany wzrok i lekko skrzywiony uśmiech, jakby nie był w stanie dopasować go do ust. Mruknełam, że muszę iść do łazienki, i wyszłam, czując, jak krew wrze w moich żyłach. Nie mogłam tego pojąć. Za czternaście godzin mieliśmy zaatakować konwój, zdając się na pomoc pijanego Chrisa.

Szukałam lepszego miejsca i w końcu trafiłam do łazienki. Zamknęłam drzwi, a potem usiadłam na klapie sedesu. Pochyliłam się i objęłam obiema rękami. Powoli zaczynałam się o nas bać. Corrie leżała w szpitalu, Kevin został uwięziony, a Chris po cichu popijał. Byliśmy w poważnych tarapatach. Fiksowaliśmy. Dziś w nocy jedno, dwoje albo i sześcioro z nas mogło zostać zastrzelonych. Co z nas zostanie jutro? Pięć trupów i skacowany Chris? Podobno Bóg czuwa nad dziećmi i pijanymi. Żałowałam, że już nie jestem dzieckiem. Trzymałam się za brzuch, bo właśnie stamtąd wydobywał się największy ból. Zastanawiałam się, co będzie, jeśli dostanę zapalenia wyrostka robaczkowego. Czy Homer rozetnie mnie wtedy scyzorykiem? Zaczęłam gryźć bok lewej ręki, a prawą nadal trzymałam się za brzuch. Długo tak siedziałam. Wcześniej byłam świadoma każdej upływającej sekundy, ale teraz zupełnie straciłam poczucie czasu. W końcu zrobiło mi się strasznie zimno. Myślałam, że

zamarznę, że nie będę się w stanie ruszyć i że jeśli się wyprostuję albo wstanę, moje kości popękają i połamią się.

Po dłuższej chwili ktoś zapukał do drzwi.

- Ellie, jesteś tam? - zawołała Robyn. - Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziałam, ale i tak otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

- Ellie! Co się stało?

- Chyba mam zapalenie wyrostka robaczkowego - mruknęłam.

Roześmiała się, ale zrobiła to cicho i szybko umilkła, za co byłam jej wdzięczna.

- Oj, Ellie, po prostu panikujesz. Wierz mi, znam to uczucie. Człowiek zaczyna sobie wyobrażać każdą możliwą katastrofę i zanim się obejrzy, nabiera przekonania, że one wszystkie są nieuniknione. Myśli nawet, że już do nich dochodzi.

Usiadła na krawędzi wanny. Chciałam jej powiedzieć o Chrisie, ale nie wiedziałam jak. Zamiast tego zapytałam:

- Robyn, myślisz, że się załamujemy?

Nie zlekceważyła moich obaw, tak jak zrobiłoby wiele osób. To nie było w jej stylu. Pomyślała chwilę, a potem powiedziała:

- Nie, nie wydaje mi się. Radzimy sobie całkiem nieźle. To nie jest normalna sytuacja, prawda? Więc nie bardzo jest z czym ją porównać. Ale moim zdaniem dajemy radę.

- To takie trudne. Nie wiem, jak zdołamy przetrwać. Może zwariujemy. Może już nam odbiło, tyle że o tym nie wiemy.

- Wiesz, co mi to przypomina?

- Co?

- Szadracha, Mészacha i Abed-Nega.

- Jezu, a co to za jedni?

- Postacie z mojej ulubionej historii. Ktoś w rodzaju moich bohaterów.

- Myślałam, że to jakiś rosyjski zespół rockowy.

Roześmiała się.

- Nie, niezupełnie.

- Opowiedz mi tę historię.

Domyśliłam się, że to coś z Biblii. W kwestii religii Robyn była twarda jak skała, co wcale mi nie przeszkadzało. Zresztą zawsze lubiałam słuchać opowieści. Te trzy imiona wydawały mi się jakby znajome, ale nie wiedziałam, gdzie się z nimi zetknęłam.

- No więc Szadrach, Mészach i Abed-Nego mieszkali w Babilonie dawno, dawno temu. Nie chcieli oddawać czci złotemu posagowi, więc król kazał ich wrzucić do pieca. W

piecu było tak gorąco, że spłonęli nawet ludzie, którzy ich tam wrzucali. Nikt nie mógł się tam zbliżyć, ale król obserwował wszystko z oddali i pośród płomieni i dymu migały mu postacie trzech mężczyzn. Co dziwne, miał wrażenie, że w piecu są cztery osoby, a nie trzy. A jeszcze dziwniejsze było to, że bez względu na to, jak mocno buchały płomienie, mężczyźni chodzili wśród nich, jakby ogień w ogóle im nie szkodził. Po jakimś czasie król rozkazał otworzyć drzwi do pieca. Ze środka wyszli trzej mężczyźni: Szadrach, Mészach i Abed-Nego. A król zrozumiał, że w płomieniach towarzyszył im anioł. Poza tym władca zdał sobie sprawę, że Bóg, który nad nimi czuwał, musi być silniejszy niż jakikolwiek złoty posąg, i natychmiast się nawrócił.

- Mhm, niezła historia - powiedziałam.

Podobało mi się, że Robyn nigdy nie prawila mi kazań. Po chwili dodałam:

- Ale jaki to ma związek z nami?

- No wiesz, my właśnie jesteśmy w piecu.

- Z aniołem?

- Czasami czuję, że ktoś nam towarzyszy, że ktoś nas wspiera.

- Ale nie zawsze?

- Chyba zawsze. Nie potrafię tylko wyjaśnić, dlaczego dzieją się pewne rzeczy, na przykład dlaczego Corrie została postrzelona. Czasami mam wrażenie, że nic nie jest w stanie powstrzymać kostuchy, nawet Bóg. Śmierć idzie przez kraj, wymachując kosą, która może cię dosięgnąć, albo i nie. Mówiąc inaczej, czasami Bóg cię zbawia, a innym razem nie. Nie wiem, dlaczego dokonuje takich, a nie innych wyborów. Po prostu muszę mu ufać i wierzyć, że robi to z jakiegoś dobrego powodu.

- Hmm.

Znowu rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem przyszedł Homer.

- Wejdz - zawołałyśmy razem, a on wszedł.

- Jak zwykle - powiedział. - Dziewczyny w łazience. Ktoś mógłby nakręcić serial o dziewczynach gadających w łazience.

Homer chciał przeanalizować z nami listę potrzebnych rzeczy. Zamierzaliśmy ich poszukać w domach na wsi, bo w mieście raczej nikomu nie były potrzebne. Zeszliśmy do jadalni, położyliśmy kartkę na stole i wzięliśmy się do pracy. Nie po raz pierwszy Homer zadziwił mnie wiedzą na przedziwne tematy, którą czerpał nie wiadomo skąd. Pomógł mu Chris, który też znał mnóstwo niecodziennych faktów, i nabrałam podejrzania, że on też uważał na lekcjach chemii znacznie bardziej, niż przypuszczałam. Zawsze wiedziałam, że to bystry chłopak, ale nigdy nie podejrzewałam go o zainteresowanie naukami ścisłymi.

Lista nie była zbyt długa - potrzebowaliśmy niewiele rzeczy - ale wszystko wskazywało na to, że musimy opuścić miasto jak najwcześniej - gdy tylko się ściemni. To trochę zwiększało ryzyko, ale jedynie w ten sposób mogliśmy zrobić wszystko, co zamierzaliśmy.

Wyruszyliśmy mniej więcej o dziewiątej i poruszaliśmy się z największą ostrożnością. Czekaliśmy na mnóstwo chodzenia. Wiedziałam, że rano będziemy padnięci. Już teraz miałam dość maszerowania. Tęskniłam za motorami, którymi uciekliśmy spod mostu i które nadal czekały ukryte w moim domu. Bezpieczeństwo było jednak najważniejsze. Cały czas czujnie się rozglądaliśmy.

Większość potrzebnych rzeczy znaleźliśmy w domu Fleetów, który wcześniej wykorzystaliśmy jako kryjówkę. Najtrudniej było znaleźć wystarczająco duże, długie i mocne gwoździe. Po krótkich poszukiwaniach, odrobinie stolarstwa i krztynie improwizacji mogliśmy opuścić tamten dom o pierwszej trzydziści - trochę spóźnieni, ale nie tak bardzo. Półtorej godziny później byliśmy już u celu: zbliżaliśmy się do stromego wykopu przy Buttercup Lane. Po drodze mijaliśmy gęste krzaki. Już raz się w nich schowaliśmy, kiedy usłyszeliśmy nadjeżdżający konwój. Tuż przed wykopem Fi, która szła przodem, znowu dała sygnał do ukrycia się. Musiała zauważyć patrol, więc pochyliłam się i jak najszybciej pobiegłam w zarośla. Za mną ciemny cień, czyli Lee, zeskoczył z nasypu i wylądował jakieś dwa metry dalej. Nie widziałam pozostałych. Chris i Homer byli gdzieś z tyłu, a Robyn z przodu, razem z Fi. Gdy tylko się schowałam, usłyszałam chrzęst żwiru pod butami: tuż nad moją głową trzech żołnierzy szło gęsiego jak gdyby nigdy nic. Przywarłam do ziemi z nadzieją, że pozostali też dobrze się ukryli. Odgłos kroków stawał się coraz wolniejszy, a potem zupełnie ucichł. Zaryzykowałam i wychyliwszy się, zobaczyłam plecy jednego z żołnierzy, które powoli się ode mnie oddalały. To chyba była kobieta. Po chwili zniknęła mi z oczu.

Nie wiedziałam, co robić. Nie miałam pojęcia, dlaczego się zatrzymali. Możliwe, że zobaczyli któreś z nas, ale w takim wypadku rozległyby się pewnie gorączkowe okrzyki. W mojej głowie kłębiły się rozpaczliwe myśli. Co powinnam zrobić? Co mogę zrobić? Podźwignęłam się trochę i podczołgałam z metr w stronę drogi, bojąc się, że w każdej chwili grozi mi wpadnięcie w pułapkę. Nagle z powrotem przywarłam do ziemi. Po prawej usłyszałam huk wystrzału ze śrutówki, który rozległ się tak blisko, że aż zadzwoniło mi w uszach. Leżałam i nie mogłam oddychać. Usłyszałam kilka okrzyków, a potem wrzask - ochrypliwy i przerażający. Śrutówka wypaliła ponownie, ale tym razem huk był stłumiony. Poczulałam ostry zapach dymu. Miałam nadzieję, że to dwururka i że nikt więcej nie jest

uzbrojony. Z taką myślą w głowie wdrapałam się na nasyp i wyskoczyłam na drogę.

Pierwszą rzeczą, którą usłyszałam, był tupot czyichś stóp. Ktoś biegł w panice drogą. Niewiele widziałam - zaledwie ciemny kształt - ale rozpoznałam jednego z żołnierzy. Wtedy rozległ się trzask łamanych gałęzi. Odwróciłam się gwałtownie, zastanawiając się, czy nadciąga moja śmierć, czy to ostatni ruch, jaki kiedykolwiek wykonam i ostatni widok, jaki zobaczę. Moim oczom ukazał się jednak Homer, który zbliżał się do mnie, słaniając się na nogach, a tuż za nim, nieco z lewej, szedł Chris, wydając z siebie paskudne wymiotne odgłosy. Kiedy Homer podszedł bliżej, zauważyłam, że cały przód koszuli ma we krwi, gęstej i lepkiej. Reszta naszej grupki wychodziła z kryjówek i biegła do nas. Rozdarłam koszulę Homera i pomacałam jego klatkę piersiową i ramiona, ale nie mogłam znaleźć rany.

- Nie, nie - powiedział, odpychając mnie. - Nie jestem ranny.

- Co się stało? - krzyknęłam do niego. Byłam kompletnie oszołomiona. - Zabraliście im broń?

Pokręcił głową i zaczął bezładnie wymachiwać rękami. Najwyraźniej nie był w stanie odpowiedzieć. Za to Chris, który w dalszym ciągu się trząsał, ale nagle stał się zadziwiająco spokojny, odpowiedział za niego:

- Homer miał w plecaku śrutówkę - powiedział. - Obrzyna.

Fi wydała zduszony okrzyk. Zszokowani wpatrywaliśmy się w Homera. Wcześniej kilkakrotnie rozmawialiśmy o naszym skromnym składziku broni i uzgodniliśmy, że lepiej w ogóle zrezygnować z tak marnego sprzętu. Wiedzieliśmy, że gdyby nas złapali z bronią, byłoby po nas. Na sto procent.

Zaatakowała mnie bezładna mieszanina uczuć: złość, zdziwienie, niedowierzanie. Musiałam jednak odsunąć ją na bok. Nadal ścisnęłam poły koszuli Homera, ale szybko je wypuściłam i krzyknęłam do Chrisa:

- Co się stało? Co się stało?

- Mieliśmy najgorszego na świecie pecha. Było ich troje: dwóch facetów i babka. Faceci postanowili się odpryskać akurat w tych krzakach, w których się schowaliśmy. Rzucili karabiny i podeszli do zarośli. Byli ze trzy kroki od nas i podchodzili coraz bliżej, rozpinając rozporki. Przeszliby nam po głowach. Obok Homera leżał jego plecak i Homer wsunął do niego rękę, chyba po to, żeby wymacać splotę. Nagle ją wyjął, podniósł i wypalił.

Chris mówił szybko, odtwarzając wszystko z pamięci, próbując dokładnie to przywołać i opisać, jakby śledził film rozgrywający się w jego głowie.

- Koleś runął do tyłu. Ten drugi krzyknął i rzucił się na Homera. Homer przesunął splotę w bok. Nadal leżał na ziemi. Zanim ten żołnierz na niego runął, rozległ się drugi

strzał, trysnęła ta cała krew, a potem Homer wygramolił się spod niego i przyszedł tutaj. Kobieta uciekła drogą, ale nie mogliśmy na to nic poradzić. To dwururka. Nie wiem, czy Homer zabrał więcej nabojów, a zresztą i tak nie byłoby czasu, żeby przeładować. Kobieta pędziła, jakby ją diabeł gonił.

- Zejdźmy z drogi - powiedziała Robyn. - Najlepiej w ogóle się stąd wynośmy.

Już kiedy to mówiła, zauważyłam w oddali błysk: słabą poświatę reflektorów konwoju, który zaczynał długą wspinaczkę pod górę, w stronę wykopu. Myśli tak szybko przemykały w mojej głowie, że wpadały jedna na drugą. Konwój zbliżał się z przeciwnej strony niż ta, w którą uciekła kobieta. Ile czasu zajmie jej ściągnięcie posiłków? Czy jest w stanie nawiązać łączność z konwojem? Złapałam Chrisa za rękę.

- Sprawdźcie drogę. Gdzie rzucili karabiny?

- Kawalek dalej.

- Weź je. I wszystko inne też. Reszta do wykopu. Fi, zajmij się Homerem. Rozłóżcie gwoździe i bądźcie gotowi do akcji.

Pobiegłam za Chrisem. Wzięliśmy obydwaj karabiny. Jeden był starą trzysta trójką, a drugi nowoczesnym karabinem maszynowym, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Obok nich leżał mały futerał. Otworzyłam go i wyciągnęłam coś, co miałam nadzieję w nim znaleźć: niewielki aparat nadawczo-odbiorczy. Była szansa, że każdy patrol miał tylko jedno radio.

- Gdzie wasze rzeczy? Twoje i Homera.

- Zostały tam - Chris wskazał zarośla z tyłu.

Złapałam latarkę i spojrzałam na niego.

- A co jeśli jeszcze żyją? - zapytał.

Przystanąłam, a potem wzruszyłam ramionami i weszłam w zarośla. Dzieliło nas od nich zaledwie kilka metrów. W świetle latarki widziałam krew na trawie, a dalej skrawek zrytej ziemi. Ślad doprowadził mnie do ciała: żołnierz leżał na plecach z otwartymi oczami, ale już nie żył. Jego pierś wyglądała tak, jakby rozdarły ją dwie olbrzymie ręce. Odwróciłam latarkę i zobaczyłam dwa plecaki, a obok nich zakrwawionego obrzyna. Chris podniósł plecaki, a ja sięgnęłam po broń, próbując powstrzymać drzenie, kiedy moje dłonie dotknęły lepkiej kolby. Wyprostowałam się i w tej samej chwili usłyszałam najgorszy odgłos na świecie: łkanie połączone z piskiem. Poświeciłam w tamtą stronę. Jakies dziesięć metrów dalej zauważyłam buty wystające spod małej akacji. Podeszłam bliżej, ale Chris zaczął się wycofywać. Wzbudził tym moją pogardę, chociaż z drugiej strony, żałowałam, że nie potrafię postąpić tak samo jak on. Rozchyliłam gałęzie i poświeciłam na rannego mężczyznę. To

zadziwiająco, że udało mu się przeczołgać te kilka metrów. Leżał wykręcony na lewym boku, z prawą ręką wyciągniętą w stronę pnia akacji, który lekko ścisnął. Drugą ręką trzymał się za brzuch. Od czasu do czasu jęczał, ale chyba był nieprzytomny. Wszędzie wokół niego widziałam krew, jej część była już rozsmarowana na ziemi, ale z brzucha ciągle płynęła świeża. Wydawała się gęsta i lepka. Jego dłoń usiłowała zatrzymać wnętrzności i inne paskudztwa wylewające się z brzucha. Podeszłam do Chrisa. Domyślałam się, jak wygląda moja twarz: była zimna i zastygła, pozbawiona wyrazu.

- Który plecak jest Homera? - zapytałam.

Podał mi go, a ja zajrzałam do środka. Znalazłam tam co najmniej dziesięć naboju wrzuconych luzem. Wzięłam tylko jeden, załadowałam śrutówkę, poszłam prosto do tego żołnierza i przystawiłam mu lufę do głowy. Potem - Boże, wybac mi - bez zastanowienia, odpędzając od siebie wszystkie myśli, pociągnęłam za spust.

Później wszystko potoczyło się w dzikim tempie. Czułam, że mamy najwyżej dwie minuty. Huk wystrzału dzwonił mi w uszach. Zignorowałam go, podobnie jak to, co przed chwilą zrobiłam. Pobiegliśmy co sił w nogach w stronę wykopu. Pozostali rozłożyli gwoździe. Omal się o jeden nie potknęłam. Miały piętnaście centymetrów długości i każdy tkwił w kawałku drewna, które służyło za podstawę i utrzymywało gwoździe w pionie. Fi już na nas czekała. Była tak blada, że wyglądała jak albinoska.

- Co to za wystrzał? - zapytała rozdygotana.

- To nic, Fi. Bądź dzielna. - Dotknęłam jej ramienia i pobiegłam do pozostałej trójki. - Jesteśmy gotowi?

- Tak, ale... co z tą kobietą, która uciekła? Przecież może...

- Nie wydaje mi się. Znalazłam radio. Raczej nie wzięli dwóch.

- Obyś miała rację - powiedziała Robyn.

- Ma - ponuro powiedział Lee.

W jednym z tych dziwnych, szalonych przebłysków intuicji zrozumiałam, jak bardzo Lee chciał przeprowadzić tę akcję. Chyba nawet gdyby czołgi jechały prosto na nas, nie porzuciłby tego zamiaru. Honor i zemsta bardzo dużo dla niego znaczyły.

Homer trochę się uspokoił, ale nadal nic nie mówił. Trzymał dwie butelki z benzyną.

Usłyszałam warkot ciężarówek. Kierowcy jadący z przodu redukowali biegi, więc prawdopodobnie zbliżali się do wzniesienia. Złapałam swoje butelki i sięgnęłam po zapalniczkę. Słabe światła pierwszej ciężarówki zaczynały wyzierać zza drzew. Konwoje zawsze osłaniały reflektory jakimiś nasadkami, które ograniczały snopy światła do lekkiej poświaty. Chyba najeźdźcy bali się ataków z powietrza, ale domyśliłam się, że skoro ostatnio

nie widywaliśmy zbyt wielu naszych samolotów, kierowcy czują się dość bezpieczni.

Mieliśmy nadzieję, że uda się to zmienić.

Zmęczone silniki odsapnęły. Kierowcy szybko zmienili biegi i ciężarówki zaczęły staczać się z góry, nabierając prędkości.

Schowaliśmy się, tak żeby powitać ich na zakręcie, gdy tylko wynurzą się z wykopu. Zakładaliśmy, że będą jechać szybko, sunąc drogą w stronę naszego zakrętu. Mieliśmy rację. Dodali gazu. Zbliżyli się w okamgnieniu. Nagle rozległ się ryk silnika, nieskrępowany drzewami i pagórkami. Wyraźnie ujrzałam trzy pierwsze pojazdy, same ciężarówki, ciemnozielone wywrotki z barierkami i plandekami. Potem wszystko stanęło na głowie. W pierwszej ciężarówce gwoździe przebiły dwie przednie opony równocześnie. Odgłos był taki, jakby wybuchła bomba. Potężna eksplozja. Nie mogłam uwierzyć, że zrobiła aż tyle hałasu i wytworzyła aż tyle dymu. Kawałki gumy rozsypały się po drodze. Ciężarówka z dużą prędkością i z piskiem opon obróciła się w poprzek drogi i uderzyła w drzewo. Druga najwidoczniej ominęła wszystkie gwoździe, bo opony miała nietknięte, ale chcąc uniknąć zdarzenia z pierwszym pojazdem, gwałtownie miotła się po całej drodze, a jej kierowca siłował się z kierownicą. W końcu, pięćdziesiąt metrów od nas, odzyskał panowanie nad ciężarówką i dodał gazu. Poczulałam niesmak. Nie mogłam uwierzyć, że kierowca porzuci swoich kolegów. Bardziej interesowały mnie jednak kolejne pojazdy. Opona trzeciego z nich przebiła się z następnym wielkim hukiem i pojawiło się tyle białego dymu, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Widziałam jednak wystarczająco dużo, bo ciężarówka pokonała tę samą trasę co pierwsza. Wpadła w poślizg i mocno uderzyła w tył pierwszego pojazdu. Czwarta przebiła tylną oponę i obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, a w końcu zatrzymała się pięćdziesiąt metrów dalej, na środku drogi. Piąta zahamowała tak gwałtownie, że przez chwilę chybotwała się jak szalona, a po chwili wjechał w nią pojazd nadjeżdżający z tyłu. Usłyszałam jeszcze kilka odgłosów zderzenia, ale nie sposób było powiedzieć, co się właściwie działo. Pojawiło się mnóstwo dymu i wokół panował taki hałas, jakby nastąpił koniec świata.

Zobaczyłam płonąca pochodnię, która sunęła w powietrzu ku piątej ciężarówce, i zdałam sobie sprawę, że do akcji wkroczył Lee. To pchnęło mnie do działania. Podpaliłam pierwszy koktajl, odczekałam chwilę i rzuciłam go w tę samą stronę co Lee, a potem szybko zrobiłam to samo z drugim. Dołączyli do nas pozostali. Na moment niebo rozjaśniły gorące spadające gwiazdy. Wśród dymu widziałam mnóstwo płomieni, więc coś musiało się palić, chociaż nie było słychać żadnych eksplozji. Odezwał się karabin: jakiś automat, który z początku strzelał na oślep, w drzewa nad naszymi głowami, ale stopniowo kule świstały coraz

niżej.

Wszyscy szybko zaczęliśmy się wycofywać. Przycupnęliśmy nad ziemią i przedzieraliśmy się przez kłujące dzikie krzaki jeżyn. Homer był tuż przede mną. Zobaczyłam, że nadal trzyma swoje koktajle Mołotowa. Nie rzucił ich.

- Homer, rzuć butelki - zawołałam.

Zrobił to i przez chwilę myślałam, że spowodowałam katastrofę, bo dokładnie w chwili, kiedy pociski Homera upadły na ziemię, rozległ się tak ogromny huk, że ziemia zadrżała mi pod nogami. Dopiero po kilku sekundach zdałam sobie sprawę, że wybuch nastąpił gdzieś za nami i wcale nie wywołały go butelki. Potem poczułam falę uderzeniową, która omal nie ścięła mnie z nóg, a następnie gorący podmuch, suchy żar. Jakby ktoś otworzył drzwi pieca hutniczego. Uspokoiliam się, odzyskałam równowagę i zaczęłam biec. Pozostali - przynajmniej ci, których widziałam - robili to samo. Słyszałam skrzypienie drzew, które rozłupywały się i padały na ziemię za moimi plecami. Na pewno nie przyznano by nam żadnej nagrody w dziedzinie ekologii. Biegłam dalej. Nie czułam jednak zbyt wielkiego strachu. Wiedziałam, że nie są w stanie nas ścigać w lesie. Znaleźliśmy się w naszym naturalnym środowisku. Byłam tu zadomowiona tak samo jak oposy, wombaty i kakadu. Niech wszyscy obcy stąd uciekają i niech żaden intruz nie odważy się tu zapuścić. To była nasza ziemia i zamierzaliśmy jej bronić!

5

Wracając przez pola, czułam się dość niezwykle. Wyobraziłam sobie, że ogromny cień przesuwa się po niebie i dotrzymuje kroku mojemu małemu ciału na ziemi. Przerazał mnie, naprawdę przerażał, ale nie potrafiłam od niego uciec. Unosił się nade mną jak milcząca, ciemna istota wyrastająca z moich stóp. Wiedziałam, że jeśli wyciągnę rękę i spróbuję go dotknąć, nic nie poczuję. Tak to już jest z cieniami. Powietrze wokół wydawało się jednak zimniejsze i ciemniejsze. Zastanawiałam się, czy od tej pory moje życie już zawsze będzie tak wyglądało i czy po każdym człowieku, którego zabiję, cień będzie coraz większy, ciemniejszy, potworniejszy.

Spojrzałam na pozostałych. Próbowałam skupić na nich wzrok i dzięki temu cień stopniowo znikał. Po chwili, jakby za sprawą nagłego przyływu krwi do oczu, ujrzałam ich bardzo wyraźnie. Ukazały mi się wszystkie szczegóły ich wyglądu. Może zmieniło się światło albo coś w tym rodzaju. Nagle znaleźli się na ogromnym ekranie kinowym, na tle chmur i ciemniejącego nieba. Czułam się tak, jakbym ich widziała po raz pierwszy w życiu, jakbym patrzyła na nich oczami innych ludzi. Obcych ludzi.

Mieliśmy na sobie ciemne ubrania. W tamtych dniach wkładaliśmy je odruchowo. Czasami strasznie tęskniłam za jasnymi, kolorowymi ciuchami, ale póki co mogłam o nich tylko pomarzyć. Tym razem jednak pragnęłam szarości i khaki. Chciałam, żeby te kolory przylgnęły do mojego ciała, żeby stały się moim strojem żałobnym.

Szliśmy rozproszeni na otwartej przestrzeni dwóch pól. To było ryzykowne, ale nie aż tak bardzo, jak by się wydawało. Jedyne zagrożenie mogło nadciągnąć drogą powietrzną, ale uznaliśmy, że usłyszymy helikoptery wystarczająco wcześnie, żeby gdzieś się ukryć. Wokół rosło sporo drzew.

To był długi spacer. Boże, tak strasznie się zmęczyłam. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Chris spuścił głowę i został lekko w tyle. Moim nowym wzrokiem zobaczyłam, jaki jest mały i wąty: jasnowłosy poważny chłopak, który wyglądał trochę młodziej niż reszta z nas. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, nieco z boku, szła Fi, która nawet mimo wyczerpania poruszała się z gracją, jakby jej stopom wystarczyło lekko muskać ziemię, by każdy krok prowadził ją naprzód. Idąc, rozglądała się jak dziki łabędź szukający wody. Nie po raz pierwszy marzyłam o tym, aby mieć chociaż jedną czwartą jej stylu. Patrząc na nią,

zapominało się, że jej ubranie też jest złachmanione, a ciało śmierdzące i brudne. Miała klasę, chociaż nie była tego świadoma. Właśnie na tym polegał jej sekret, a ponieważ ja o tym wiedziałam, nie miałam szans jej dorównać.

W każdym razie był to jeden z powodów, dla których nie miałam szans jej dorównać.

Po mojej lewej stronie w odległości stu metrów wędrował Homer, prawie niewidoczny na tle rzadkich topoli posadzonych dla osłony przed wiatrem. Był duży i krzepki. Kiedy tak szedł, lekko przygarbiony, z pochyloną głową dla ochrony twarzy przed zimnym wiatrem, bardziej niż kiedykolwiek przypominał niedźwiedzia. Trudno było odgadnąć, co przeżywa. Dawniej tak często wpadał w tarapaty, że powinien był już do tego przywyknąć. Teraz sytuacja wyglądała trochę inaczej. Nadal nie byłam pewna, czy powinnam się na niego złościć. Złamał jedną z naszych zasad, ale moja wściekłość została stłumiona przez żal i przerażenie tym, co zrobił, oraz przez zakłopotanie, bo prawdopodobnie to on miał rację, a my byliśmy w błędzie. Nie było czasu sprawdzić, jak Homer się czuje, czy wszystko z nim w porządku. Musiałam z tym poczekać, aż znowu znajdziemy się w spokojnym, bezpiecznym Piekło. Tymczasem zastanawianie się, co może czuć Homer, pomagało mi uciec od wnikania we własne uczucia.

Z drugiej strony szła Robyn. Patrząc na nią, pomyślałam o bohaterach z dawnych czasów. Na przykład o królach, którzy oprócz imion zawsze mieli jakieś przydomki: Edward Wyznawca, Ethelred Bezradny, Wilhelm Zdobywca. Robyn stała się dla mnie Robyn Nieustraszoną. Kiedy wokół było spokojnie i zwyczajnie, niczym się nie wyróżniała. Gdy jednak robiło się gorąco, chwyciła siekiere, wymachiwała nią nad głową i ruszała do ataku. W najstraszniejszych, najbardziej przerażających chwilach była w najlepszej formie. Nic nie potrafiło jej zrazić. Może czuła, że zło jej nie dosięgnie. Nie wiem. Nawet teraz szła całkiem odprężona, z podniesioną głową. Wydawało mi się nawet, że sobie podśpiewuje, bo lewą dłonią uderzała o udo.

Lee też był w dość dobrym stanie. Tamtej nocy, kiedy wysadziliśmy most, cieszył się, ale nie umiał za bardzo nam pomóc ze względu na ranną nogę. Tym razem zadaliśmy wrogowi poważny cios - wiedzieliśmy o tym - i Lee odegrał w tej akcji ważną rolę. Gdy byliśmy na otwartej przestrzeni albo pokonywaliśmy duże odległości, poruszał się jak rasowy koń wyścigowy. Teraz też szedł z wawym krokiem i patrząc prosto przed siebie, pokonywał kilometr za kilometrem. Od czasu do czasu spoglądał w moją stronę i uśmiechał się albo puszczał oko. Nie wiedziałam, czy powinnam się cieszyć, że Lee jest z siebie taki dumny, czy też martwić się, że spodobało mu się zabijanie ludzi i sianie zniszczenia. Przynajmniej dzięki temu jego życie stawało się mniej skomplikowane.

Jeśli chodzi o mnie, w mojej głowie panował taki ścisk, że myśli wychodziły uszami. Nie zdziwiłabym się, gdyby zaczęły wyciekać nosem. Po prostu było za dużo do analizowania. Więc zamiast myśleć, odepchnęłam wszystko i zaczęłam powtarzać francuskie czasowniki nieregularne. *Je vis, tu vis, il vit, nous vivons, vous vivez, ils vivent. Je meurs, tu meurs, il meurt, nous mourons, vous mourez, ils mourent.* Powtarzanie czasowników wydawało się bezpieczniejsze niż rozmyślanie o naszej zasadzce i dzięki temu ogromny ciemny cień dał mi jeszcze chwilę wytchnienia.

Dotarliśmy do mojego domu w ostatnich promieniach słońca. Tym razem nie weszłam do środka. Dom już zaczynał wyglądać obco, jak stary budynek, w którym kiedyś mieszkaliśmy, dawno temu. Było widać, że jest pusty. Trawa się rozrosła, wybujała i potargana. Szyba w jednym z okien wykuszowych w jadalni pękła w poprzek - nie mam pojęcia dlaczego. Może zderzył się z nią jakiś ptak. Połowa winorośli spadła z treliża i pełzła po ścieżce i ogrodzie. To była moja wina. Tata powtarzał mi dziesiątki razy, żeby lepiej przycinać pnącza.

Wierny land-rover cierpliwie czekał w zaroślach, schowany przed wścibskimi spojrzzeniami. Podjechałam do szopy i napełniłam bak benzyną. Na szczęście przechowywaliśmy paliwo w wiszącym zbiorniku, więc pomogła mi grawitacja. Wiedziałam jednak, że pewnego dnia benzyna się skończy. Nie miałam pojęcia, co wtedy zrobimy. Westchnęłam, przekreśliłam końcówkę węża, żeby odciąć dopływ benzyny, i wdrapałam się na zbiornik, żeby zakręcić zawór. Brak benzyny był tylko jednym z bardzo wielu problemów.

Właśnie przystępowaliśmy do wieczornego zadania. Pojechaliśmy do gospodarstwa na wzgórzu. Było małe i zupełnie o nim zapomniałam. Należało do Kingów, których widziałam tylko raz, na pocście. On pracował na pół etatu jako pracownik społeczny w szpitalu, a ona uczyła dwa razy w tygodniu muzyki w szkole podstawowej. Tak naprawdę interesowała ich jednak samowystarczalność. Zbudowali dom z błota i cegły na działce kupionej od pana Rowntree. Ziemia była słaba, a zapłacili za nią wysoką cenę. Tata twierdził, że pan Rowntree ich oskubał. W każdym razie mieszkali na końcu pylistej drogi, bez prądu i telefonu, hodowali różne krowy, świnie, kury, gęsi i łaciate owce oraz wychowywali dwoje bardzo brudnych i bardzo nieśmiałych dzieci.

Gospodarstwo przedstawiało opłakany widok. Niszczące budynki i ogrodzenie, zbyt wiele padliny, zagroda pełna wygłodniałych owiec, które zjadły całą paszę, jaka była w środku, a teraz były wychudzone i ledwie trzymały się na nogach. Przynajmniej je uratowaliśmy, otwierając bramę. Miałam nadzieję, że ekipy sprzątające mogą karmić i wypuszczać bydło: mnóstwo zwierząt potrzebowało paszy, żeby przetrwać zimą, a jeśli

najeźdźcy chcieli zachować stada w dobrym stanie, powinni byli zadbać o nie już teraz.

Przemknęło mi przez myśl, że Kingowie mogą nadal się tutaj ukrywać, ale nie było po nich śladu. Jacyś uczniowie pani King mieli chyba występować na festynie, więc prawdopodobnie cała rodzina pojechała feralnego dnia do miasta i została uwięziona. W domu i nowej, pokrytej ocynkowaną blachą szopie za domem natrafiliśmy jednak na żyłą złota. Worki ziemniaków i mąki, słoje dżemów i karton brzoskwiń w puszcze, które kupili po niższej cenie, bo puszki były powgniatane. Do tego była tam karma dla kur, herbata i kawa oraz dwanaście butelek piwa domowej roboty, które Chris skwapliwie zaniósł do samochodu. Ryż, cukier, płatki owsiane, olej, dżem, chutney. Niestety, nie znaleźliśmy czekolady.

Kiedy skończyliśmy, wzięliśmy wszystkie torby i worki, jakie udało nam się znaleźć, i ruszyliśmy w stronę sadu. Drzewa były młode, ale mimo aktywności oposów i papug rodziły sporo owoców. Nigdy nie zapomnę pierwszego chrupiącego i soczystego kęsa twardego jonatana prosto z drzewa. W życiu nie widziałam niczego tak białego i czystego, nie próbowałam czegoś tak soczystego. Kilka dni wcześniej jedliśmy jabłka u Corrie, ale te wydawały się inne. Oczywiście nie chodziło o to, że owoce uległy jakiejś cudownej przemianie. Widocznie to ja się zmieniłam. Szukałam rozgrzeszenia i w jakiś dziwny sposób dało mi je to jabłko. Wiem, że kiedy utraci się niewinność, nie można jej odzyskać, ale dzięki nieskazitelnej bieli owocu poczułam, że nie wszystko na tym świecie jest zgniłe i zepsute, że niektóre rzeczy nadal mogą być czyste. Słodki smak wypełnił mi usta, a po brodzie pociekło kilka kropel soku.

Ogołociliśmy drzewa z jonatanów, grannie, fuji, gruszek i pigw. Zjadłam pięć jabłek i znowu trochę mnie przeczyszcilo, ale po zerwaniu tych pięknych owoców tamtego chłodnego, rzeńskiego wieczoru poczułam się odrobinę lepiej, żywiej.

Ostatni rarytas zabraliśmy pod wpływem chwili. Siedzieliśmy już w land-roverze i powoli jechaliśmy wyboistą drogą, pogrążeni w milczeniu. Włączyłam światła postojowe, bo osłaniał nas baldachim z drzew, więc byliśmy raczej bezpieczni. Prowadzenie samochodu nocą bez świateł jest koszmarnie przerażające. Spośród wszystkich rzeczy, które robiliśmy od początku inwazji, ta napawała mnie największym strachem. Przypominała jechanie przez nicość, przez ciemną otchłań. Czułam się wtedy dziwne i bez względu na to, jak często to robiłam, nie potrafiłam do tego przywyknąć.

W każdym razie w tym słabym świetle zauważyłam dwie pary oczu, które ciekawie nam się przyglądały. Większość zwierząt, które ostatnio widywaliśmy, zaczynała już dziczeć i od razu uciekała, ale te małe stworzenia nie. Miały pecha. Były to dwa jagniątka, mniej więcej półroczne, czarne, prawdopodobnie bliźnięta. Domyśliłam się, że ich matka zginęła,

ale były już wystarczająco duże i nie potrzebowały jej mleka. Wyglądały całkiem niezłe.

- Pieczona jagnięcina! - powiedziałam i przyhamowałam.

To był tylko impuls, ale po chwili pomyślałam: czemu nie? Zatrzymałam samochód i spojrzałam na pozostałych.

- Mam ochotę na pieczoną jagnięcinę? - zapytałam.

Wydawali się zbyt zmęczeni, żeby myśleć, a co dopiero odpowiedzieć, ale Homer zareagował. Wykazał więcej entuzjazmu niż w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wysiadł z jednej strony, a ja z drugiej. Jagniątka stały potulne jak owieczki. Tak, jak owieczki - nic nie poradzę, że tak się mówi. Robyn i Lee też się ożywili na myśl o porządnym posiłku. Żadne z nas nie jest wegetarianinem - w tej części świata wegetarianizm to grzech śmiertelny. Złapaliśmy jagniątka i przewróciliśmy je na grzbiety, znaleźliśmy sznurek i spętaliśmy im nogi, a potem jakimś cudem znaleźliśmy dla nich miejsce z tyłu samochodu.

- Ale chyba nie zjedzą ziemniaków? - zaniepokoiła się Fi, próbując odsunąć ciężki worek kartofli od głowy jednego z jagniąt.

- Nie, Fi. Cukru też nie.

Kiedy podjechaliśmy do mojego domu, poszłam zerwać trochę mięty, nie zważając na pozostałych. Ten krótki spacer po miętę prawie mnie wykończył. Gdy pochyliłam się nad rośliną, poczułam, że wraca ogromny ciemny cień, który wisi nade mną jak orzeł, jak drapieżca. Bałam się podnieść głowę. Noc i tak była dość mroczna, ale wiedziałam, że bez względu na to, jak ciemne będzie niebo, moje piętno okaże się jeszcze ciemniejsze.

Popełniłam błąd, idąc po miętę w pojedynkę. Od chwili zastrzelenia tamtego żołnierza przy Buttercup Lane po raz pierwszy zostałam sama. Miałam wrażenie, że gdy tylko oddaliłam się od przyjaciół, niebo wypełnił ten okropny cień.

Siedziałam przycupnięta przez parę minut. Włosy łaskotały mnie w kark i nie czułam już zapachu mięty, chociaż zatopiłam w niej twarz. Po chwili usłyszałam wołanie Homera, a potem ciężkie kroki. Jego ciało przedarło się przez wybijające laki. Minęło trochę czasu, zanim mnie znalazł, bo nie byłam w stanie odpowiedzieć na jego wołania. Słyszałam jednak coraz większy niepokój w jego głosie. Kiedy w końcu mnie zobaczył, zachował się zaskakująco delikatnie. Pomasażował mi kark i wymamrotał słowa, które nie do końca zrozumiałam.

Wróciliśmy razem do samochodu. Bez słowa, nie patrząc na pozostałych, przekreśliłam kluczyk w stacyjce. W końcu rozpoczęliśmy powolne zjeżdżanie w dół, ku miejscu, które traktowałam teraz jak dom: ku Piekłu. Ukryliśmy land-rovera tam gdzie zawsze, uwiązaliśmy jagnięta i zostawiliśmy im wiadro wody, a potem wzięliśmy część zapasów i zaczęliśmy schodzić na dół. Albo raczej staczać się. Dotarliśmy do kresu naszych

fizycznych i psychicznych możliwości. Cieszyłam się, że nie musimy kopać głębiej w poszukiwaniu dodatkowych pokładów energii. Bo chyba nikomu nie zostało jej zbyt wiele. Powoli dotarłam do zagajnika. Szło mi tak dobrze, że gdyby nie strome uskoki, które nadwyręzały mięśnie moich ud, mogłabym chyba tak iść w nieskończoność. Kiedy dotarliśmy do obozowiska, Homer musiał mnie szturchnąć w plecy, żebym się zatrzymała - jakby znajdował się tam mój wyłącznik energii. Wgramoliliśmy się do namiotów, mruknęliśmy dobranoc i wpadliśmy do swoich prywatnych piekieł snu.

Udało mi się zasnąć, chociaż wcale się tego nie spodziewałam. Przez całą noc śnił mi się ktoś bardzo wielki, bardzo zły. Wisiał nade mną i mówił do mnie donośnym głosem, który wibrował w moim ciele. Obudziłam się wcześniej i przytuliłam się mocno do Fi. Nie wiem, co się działo w mojej głowie: gnębiła mnie myśl, że muszę się ukrywać, że nie mogę zostać sama. Czułam, że pada na mnie cień śmierci i tak jak szczur, który boi się sowy, chciałam się za czymś schować. Tylko że w przeciwieństwie do szczura, wolałam się schować za jakimś człowiekiem.

Myślę, że od tamtej nocy wszystkiego robię mniej: mniej śpię, mniej jem, mniej mówię. Czuję, że w mniejszym stopniu jestem człowiekiem, bo zabiłam umierającego żołnierza i teraz sama jestem mniej żywa.

W końcu wstałam i umyłam twarz.

Dzień włókł się godzina za godziną. W zasadzie nikt nic nie robił. A już z pewnością nikt nie poruszał żadnych ważnych tematów.

Zostawiliśmy większość zapasów w land-roverze. Kusilo mnie, żeby zostawić je tam na zawsze. Ale późnym popołudniem, kiedy obudziłam się z drzemki - jednej z tych, po których człowiek czuje się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem - zmusiłam się do zebrania ekipy. Myślałam przede wszystkim o owcach i chciałam udowodnić pozostałym, że nadal mogę się do czegoś przydać, że nie jestem złym człowiekiem, nawet jeśli zabijam ludzi.

Namówienie ich na tę wyprawę nie było jednak łatwym zadaniem. Chris tylko jęknął.

- Chyba możemy z tym poczekać do jutra, nie?

Nie patrząc mi w oczy, wycofał się z powrotem do namiotu. Homer spał tak głęboko, że nie chciałam go budzić. Lee nie wydawał się zachwycony moim pomysłem, ale był zbyt dumny, żeby odmówić, więc odłożył książkę i wstał bez słowa. Robyn podała mniej więcej dwadzieścia powodów, dla których moglibyśmy to odłożyć do następnego dnia, ale w ostatniej chwili, kiedy już ruszaliśmy w drogę, zmieniła zdanie i poszła z nami. Najlepsza była Fi. Wyczołgała się ze spiwora i powiedziała:

- Ruch na świeżym powietrzu! Właśnie tego mi trzeba: więcej ruchu na świeżym

powietrzu!

Wybaczyłam jej tę uszczypliwość, bo była wesola, akurat kiedy potrzebowałam odrobiny wesołości.

Wyruszyliśmy około czwartej. Tym razem aktywność fizyczna mi służyła. Wyglądało na to, że odzyskałam trochę zdrowia i energii. Wszyscy tak dobrze znaliśmy szlak, że po drodze mogliśmy swobodnie rozmawiać, bez konieczności skupiania się na tym, gdzie stawiać stopy. Mozolnie maszerowaliśmy w górę ścieżki, która wiała się wokół urwisk, przez zarośla aż do pięknie zbudowanego mostu pozostawionego przez jedyną oprócz nas istotę ludzką, jaka kiedykolwiek mieszkała w tej dzikiej, skalistej kotlinie. Gdyby stary pustelnik zjawił się nagle i zobaczył, jak przechodzimy przez jego most, zupełnie jak w bajce o trolu i trzech koziołkach, ze zdziwienia połknąłby własną brodę. Kto mógł przewidzieć, co przyniesie los i w jaki sposób zostanie wykorzystane Piekło? Przyszłość mogła nas zaskoczyć. Na przykład końcem wojny. Była to jedyna miła racjonalna myśl, którą się pocieszałam, kiedy wlekliśmy się w górę Wombegonoo.

W zasadzie nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że Lee i Robyn próbują być weseli i pogodni, żeby poprawić mi humor. Fi namówiła nas na zabawę w „pamiętam”, która stała się jedną z naszych ulubionych gier. Była dobrym i dość prostym sposobem na zabicie czasu: wystarczyło powiedzieć zdanie zaczynające się od „pamiętam” i trzymać się prawdy. Chyba polubiliśmy ją dlatego, że pomagała przywołać normalne życie, to sprzed inwazji. Tym razem raczej nie byłam w nastroju do snucia wspomnień, ale i tak się przyłączyłam.

Zaczęła Fi.

- Pamiętam, jak rodzice Sally Geddes zabrali mnie do twojej restauracji, Lee, i zamówiłam kotlety jagnięce, bo te wszystkie chińskie nazwy wydały mi się zbyt dziwne.

- Nie chińskie, tylko tajskie i wietnamskie - mruknął Lee, a potem dodał głośniejszym głosem: - Pamiętam, jak bolały mnie palce po godzinach gry na skrzypcach, a nauczycielka kazała mi ćwiczyć przez następną godzinę.

- Pamiętam, jak kiedyś zrozumiałam, że pan Oates mówi, że po mszy wystąpi grupa królów, a kiedy uradowana wybiegłam na zewnątrz, okazało się, że tak naprawdę chodziło mu o próbę chóru.

- Pamiętam, jak po raz pierwszy zobaczyłam skrzyżowanie ze światłami.

- Och, Ellie! Ale z ciebie wieśniara!

- Pamiętam, jak robiłam galaretkę z przepisu i w punkcie trzecim było napisane: „Do lodówki”, a ja zaczęłam się zastanawiać, po co miałabym wchodzić do lodówki.

- Fi! Zmyślasz!

- Nie, to prawda, przysięgam.

- Pamiętam, że kiedyś myślałem, że wszyscy nauczyciele mnie lubią, a pewnego dnia w drugiej klasie usłyszałem, jak jedna nauczycielka mówi, że wyjechała z dużego miasta, żeby uniknąć takich dzieci jak ja.

To znowu był Lee.

- Pamiętam, jak w siódmej klasie Ellie zawsze zajmowała dla mnie miejsce, aż pewnego dnia tego nie zrobiła i poczułam się tak, jakby nastąpił koniec świata. Poszłam do domu i długo płakałam.

Ja też to pamiętałam i ogarnęło mnie poczucie winy. Po prostu miałam wtedy troszeczkę dość towarzystwa Robyn i chciałam zdobyć innych przyjaciół.

- Pamiętam, że kiedy byłam mała, przechodziłam obok krowy w klatce, a ona podniosła ogon i narobiła mi na głowę.

- Pamiętam, jak w pierwszej klasie powiedziałem nauczycielce, że nasz kot został wyszufelkowany, a ona musiała się bardzo długo zastanawiać, o co mi chodzi.

- A o co ci chodziło?

- O to, że został wykastrowany, oczywiście.

Fi cichutko się roześmiała, co przypominało dźwięk dzwoneczków na wietrze.

- Pamiętam, jak pewnego razu przez pomyłkę wszedłem do damskiej przebieralni na basenie.

- Przez pomyłkę! Jasne, Lee, jasne.

- Pamiętam, jak zakochałam się w Jasonie i bez przerwy do niego wydzwaniałam, żeby godzinami gadać przez telefon, i pewnego dnia, kiedy już się nagadałam, odpowiedziała mi tylko głucha cisza w słuchawce, więc w końcu się rozłączyłam. Następnego dnia w szkole zapytałam go, co się stało, a Jason przyznał, że zasnął w trakcie rozmowy.

- Pamiętam, że po pierwszym dniu w szkole byłam tak zachwycona, że poszłam spać w mundurku, na który włożyłam piżamę. Od tamtej pory moje zdanie na temat szkoły dramatycznie się zmieniło.

- Pamiętam, jak rodzice chcieli mnie posłać do szkoły z internatem, a ja schowałam się pod werandą i siedziałam tam cztery godziny, dopóki nie zrezygnowali z tego pomysłu.

- Pamiętam, że w drugiej klasie wymieniłem skrzypce na batonik Mars, a kiedy rodzice się o tym dowiedzieli, dostali szału i zadzwonili do rodziców tamtego chłopaka, żeby unieważnić transakcję. Nawet nie pamiętam, kto to był.

- Ja pamiętam - powiedziała Fi. - Steve.

- To by się zgadzało - potwierdziłam.

Steve, mój Steve, mój były, zawsze miał dobrą nawijkę.

- Twoja kolej, Robyn - powiedziała Fi.

- Dobra, muszę chwilę pomyśleć. Okej, pamiętam, jak dziadek mnie podniósł i uściskał, ale zapomniał, że ma w ustach papierosa, i poparzył mi policzek.

- Pamiętam, że kiedy byliśmy mali, patrzyłam, jak Homer robi siku, i postanowiłam, że też będę to robiła na stojąco, więc ściągnęłam spodnie i spróbowałam. Nie wyszło najlepiej - dodałam, pewnie niepotrzebnie.

- Pamiętam, jak po raz ostatni widziałam rodziców - powiedziała Fi. - Mama zaznaczyła, że wyprawa na biwak wcale nie oznacza, że nie powinnam myć zębów po każdym posiłku.

- Pamiętam, jak mój ojciec powiedział, że jesteśmy najgorzej zorganizowaną zgrają, jaką kiedykolwiek widział, i że gdybyśmy pracowali u niego na farmie, od razu by nas wylał - powiedziałam, mimo że to nie była moja kolej. Znowu ogarniał mnie ponury nastrój. - Potem wskoczył na motor i odjechał bez pożegnania.

- Pamiętam, że tata był bardzo niespokojny, kiedy wychodziłem z domu - powiedział Lee. - Powtarzał, żebym był ostrożny i unikał niebezpieczeństw.

- A ty go posłuchałeś - podsumowała Robyn. - No tak, skoro poruszyliśmy ten przygnębiający temat, zdradzę wam, w jakich okolicznościach widziałam po raz ostatni moich rodziców. Otworzyłam drzwi do ich sypialni, żeby się pożegnać, i przyłapałam ich na uprawianiu namiętnej miłości na narzucie. Na szczęście mnie nie zauważyli, więc cichutko zamknęłam drzwi, odczekałam chwilę, a potem zapukałam, najgłośniejszym jak umiałam zawołałam: „Cześć!”, i pobiegłam do samochodu.

Historia Robyn dokonała czegoś niemożliwego: rozśmieszyła mnie.

- Zastanawiałam się, dlaczego tak się szczyrzyłaś, wsiadając wtedy do samochodu - powiedziała Fi, kiedy przestaliśmy się śmiać. - Myślałam, że to z czystej radości na mój widok.

- To też - zapewniła ją Robyn.

Właśnie dotarliśmy na szczyt Wombegonoo.

Był to zimny i nieosłonięty wierzchołek, oddalony od bezpiecznego Piekła. Nie chmurzyło się, ale wiał mocny, gwałtowny wiatr. Kilka chmur, lekkich jak wata cukrowa i wiszących tak nisko, że prawie można było ich dosięgnąć, zwlekało z ucieczką. Dawno nie padał deszcz, ale okrutnie zimny wiatr sugerował, że wkrótce może się to zmienić. Za najdalszymi górami widzieliśmy wierzchołki gęstych białych chmur. Wyglądały, jakby

czekały. Stałam i próbowałam zobaczyć Zatokę Szewca, policzyć ewentualne okręty, ale było zbyt ciemno.

Usiedliśmy na pięć minut, żeby odsapnąć, i przeznacziliśmy ten czas na podziwianie dzikiego piękna naszego nowego domu w ostatnich promieniach słońca. Wiedziałam, dlaczego przez tyle lat Piekło tak bardzo mnie przerażało. Nawet teraz, kiedy tak dobrze je znaliśmy, miało w sobie aurę potencjalnego zagrożenia, która towarzyszy niektórym zwierzętom w zoo. A może chodziło o mnie, może teraz wszystko kojarzyło mi się z zagrożeniem. Piekło było barwną gmatwaniną drzew i skał: ciemnozielonych, rdzawobrazowych, szarych i czarnych. Wyglądało jak wysypisko dla bogów, wielki gąszcz żywych organizmów, które rosły bez niczyjej pomocy i rad, zgodnie z własnymi dzikimi zasadami. To było dla nas odpowiednie miejsce.

Wzięliśmy radio Corrie, z którego musieliśmy korzystać bardzo oszczędnie, bo nasze nieliczne baterie szybko się wyładowywały. Nauczyliśmy się jednak, gdzie i kiedy szukać serwisów informacyjnych, więc od razu złapaliśmy amerykańską stację. Musieliśmy chwilę poczekać, bo losy naszego kraju zeszły na dalszy plan i już od dwóch tygodni nie zajmowały pierwszego miejsca. Tego wieczoru zajmowaliśmy czwarte. Świat szybko o nas zapominał. Zdobyliśmy niewiele nowych informacji. Zastosowano sankcje gospodarcze, które miały przynieść jakieś skutki. Straciliśmy kontrolę nad wszystkimi częściami kraju z wyjątkiem najbardziej odludnych obszarów i kilku większych miast. Odrzutowiec amerykańskich sił powietrznych uprzejmie przetransportował naszych najważniejszych polityków do Stanów, gdzie byli rozdarci między wygłaszaniem inspirujących przemówień o odwadze a zaciekłym zaprzeczaniem temu, jakoby to ich polityka osłabiła nasz kraj. W tamtej chwili trudno było powstrzymać Lee od roztrzaskania radia.

Na niektórych obszarach nadal działali partyzanci, ale wielkie połacie kraju były już tak ściśle kontrolowane, że zaczęto sprowadzać pierwszych obcych osadników. Tylko Nowa Zelandia udzielała nam bezpośredniej pomocy militarnej, przysyłając oddziały i zapasy. Z całego świata, zwłaszcza z Nowej Gwinei, płynęło nieoficjalne prywatne wsparcie, ale tamtejszy rząd był rozdarty między strachem przed sprowokowaniem ataku a obawą, że i tak będzie następny na liście. Równowaga sił w Azji i na Pacyfiku zmieniła się tak bardzo, że ludzie nadal nie mogli się z tym pogodzić. Jakaś polityk z Indii próbowała wynegocjować układ pokojowy w imieniu ONZ, ale jak dotąd wszystkie jej propozycje były zdecydowanie odrzucane.

Następna informacja podana przez radio dotyczyła sławnego koszykarza z Chicago, który złamał nogę.

Wiadomości nas przygnębiły. Szliśmy do samochodu w milczeniu. Ja i Robyn zarzuciłyśmy jagnięta na plecy, a pozostali wzięli wszystko, co byli w stanie udźwignąć. Zniesienie reszty produktów wymagało jeszcze co najmniej jednej wyprawy. Mieliśmy szczęście, że przypomniałyśmy sobie o małej farmie Kingów. Ich zapasy gwarantowały nam przetrwanie zimy i kawałka wiosny. Wiedzieliśmy, że potem możemy zostać zmuszeni do wykradania jedzenia z farm zajętych przez osadników, ale uznaliśmy, że tym, podobnie jak zapasami benzyny oraz losem naszych rodzin i przyjaciół, będziemy się martwili później.

6

Siedziałam z Lee przed drzwiami chatki pustelnika. W tym maleńkim schronieniu człowiek, który uciekł od mrocznego i przerażającego świata, znalazł jakąś formę spokoju. Być może. Nie wiedzieliśmy tego na pewno. My też uciekliśmy od paskudnego świata, ale nie potrafiliśmy odciąć się od niego tak jak ten mężczyzna. Część naszego świata przynieśliśmy tu z sobą, a poza tym co jakiś czas musieliśmy do niego wracać.

Mimo to w małym domku poczułam coś w rodzaju spokoju. Nie było miejsca bardziej oddalonego od cywilizacji. Czasami pełzałam tu korytem strumienia, tak jak chory pies pełźnie w ciemne zarośla, żeby umrzeć albo wyzdrowieć. Czasami przychodziłam tu w poszukiwaniu złudzenia, że inni ludzie nie istnieją. Czasami nawiedzała mnie niewyraźna myśl, że mogę tu znaleźć odpowiedzi, których nie znajdę nigdzie indziej. W końcu pustelnik mieszkał w tej chatce samotnie wiele lat. Uwolniony od rozpraszaćcych hałasów świata, musiał mieć mnóstwo czasu na rozmyślanie, więc jego myśli musiały być wyjątkowe, prawda? A może po prostu byłam naiwna?

Zaczęłam sprzątać w chatce i wokół niej, powoli, czasami z pomocą Lee. Wiedziałam, że nigdy nie będzie lśniła jak dom na przedmieściach z reklamy telewizyjnej, ale lewa strona wyglądała już całkiem schludnie i wyraźniej odznaczała się na tle zarośli, które prawie ją pochłonęły. W czasach pokoju nigdy nie byłam fanką prac domowych, ale efekty naszych starań napawały mnie dumą.

Tym razem, niedługo po ataku na konwój, nie miałam jednak ochoty na dalsze sprzątanie. Siedziałam tylko oparta plecami o ciepłą pierś Lee, i pozwalałam, by obejmował mnie swoimi długimi rękami i by jego delikatne palce muzyka robiły, co chciały. Miałam nadzieję, że jeśli będzie mnie trzymał wystarczająco mocno i dotykał wystarczająco namiętnie, udowodni mi, że nadal żyjemy, a może nawet zdoła przegonić mój cień. Dzień był zimny i szary. Czułam się zimna i szara w środku i na zewnątrz.

W zasadzie nigdy nie rozmawialiśmy o ataku na konwój - to znaczy żadne z nas, a nie tylko ja i Lee. To było nietypowe. Normalnie z przejęciem gadaliśmy o wszystkim, co się działo. Możliwe jednak, że ta sprawa była zbyt poważna. Nie samo wysadzenie ciężarówek w powietrze, bo to akurat było w porządku i przypominało akcję z mostem: dramatyczną, straszną, emocjonującą. Gorsze były szczegóły osobiste. To, że Homer nie powiedział nam o

śrutówce, że strzelił do żołnierzy, i to, że ja dobiłam rannego. Te sprawy były tak intymne, że nie potrafiłam o nich rozmawiać. Przypominałoby to rozmawianie o własnej krwi.

Mimo wszystko - przynajmniej tamtego dnia - rozmawialiśmy z Lee o ważnych sprawach, o rzeczach, które faktycznie się liczą.

- Dobrze się czujesz po tej wielkiej strzelaninie? - zapytał.

- Nie wiem. Nie wiem już, jak się czuję.

- Ale nadal masz jakieś uczucia?

Jego dłoń była pod moją koszulką i głaskała mnie po brzuchu.

Uśmiechnęłam się.

- O tak. Parę mi zostało. Ale ostatnio mam wrażenie, że głównie te złe.

Nastąpiła mniej więcej minuta ciszy, a potem Lee zapytał:

- Na przykład jakie?

- Strach. Złość. Smutek. Wystarczy na początek?

- Nie ma żadnych pozytywnych?

- Nie bardzo.

- Ani jednego?

- Oj, wiem, co chciałbyś usłyszeć. Pewnie o miłości do ciebie i tak dalej.

- Nie. Wcale nie chciałem, żebyś to powiedziała. - Wydawał się urażony. - Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Po prostu boję się o ciebie.

- Przepraszam. Przepraszam. Chyba przestałam myśleć jak normalny człowiek. Wszystko jest jakieś zniekształcone. Możesz uwierzyć, że inne kraje nie chcą dla nas nic zrobić?

- No wiesz, wydaje mi się, że wcześniej też najechano na kilka krajów i wtedy to my im nie pomogliśmy.

- Myślałam, że z nami jest inaczej. Myślałam, że wszyscy nas kochają.

- Chyba po prostu nas lubili. Między lubieniem i kochaniem jest zasadnicza różnica.

- Jasne, nie musisz mi o tym mówić. A jak jest z tobą: to lubienie czy kochanie?

Lubisz mnie czy kochasz?

Powiedziałam to jak gdyby nigdy nic, ale czekając na jego odpowiedź, czułam zdenerwowanie.

- To poważne pytanie.

Środkowym palcem zaczął zataczać kręgi wokół mojego pępka, a potem przesunął się trochę wyżej. Moja skóra ożywała tam, gdzie jej dotknął, ale reszta ciała nadal była zimna. Po chwili powiedział, bardzo powoli:

- Lubię cię razem ze wszystkimi twoimi wadami, Ellie, więc to chyba jest miłość.

Z początku byłam trochę zła. Pomyślałam o wszystkich wadach Lee: o jego posepnych rozmyślaniach, złych humorach, pragnieniu zemsty. Wiedziałam jednak, że ja też mam wady: apodyktyczność, brak taktu, czasami nadmierną skłonność do krytykowania innych. I po chwili zdałam sobie sprawę, jak wielki powiedział mi komplement, jak poważne było jego wyznanie. Miał rację: istnieje różnica między tym, co czujesz, zanim poznasz daną osobę, a tym, co czujesz później. Miewałam już chwile oszołomienia, które bierze się za miłość: kiedy widzisz kogoś tak pięknego, że masz ochotę iść za nim przez resztę życia, byleby tylko ciągle się na niego gapić. Ten rodzaj miłości niewiele znaczył. Tak jak wtedy, kiedy niektórzy przyjaciele z klasy mówili, że „kochają” jakąś gwiazdę filmową albo piosenkarza. To nie była prawdziwa miłość. Lee mówił o uczuciach wielkich jak te góry. Przez chwilę w moim umyśle otworzył się nowy świat, w którym byłam dorosła, ciężko pracowałam, skupiałam wokół siebie grupę ludzi, byłam ich przywódczynią. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że myślę o rodzicielstwie. O nie! Nie taki był mój plan. Usiadłam prosto i odkleiłam dłoń Lee od mojej piersi.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie chcę, żeby to się zrobiło zbyt poważne.

- Owszem, chcesz.

- Lee! Nie mów mi, co czuję.

Tylko się roześmiał.

- No wiesz, sama nie wiesz, co czujesz, więc równie dobrze mogę ci powiedzieć.

- Co?! Wypraszam sobie!

- Więc jednak wiesz, co czujesz?

- Tak! Jasne, że tak.

- Dobra, wal.

- Co masz na myśli?

- Skoro jesteś pewna, że wiesz, co czujesz, powiedz mi. Nie mogę się doczekać.

- Och! Jesteś taki wnerwiający. Dobra, pytasz, co czuję? Hmm. Okej. Hmm, hmm, hmm. Okej, już wiem. Czuję się zakręcona.

- Widzisz! Miałem rację! Nie wiesz, co czujesz.

- Właśnie że wiem! Czuję się zakręcona. Przecież przed chwilą ci powiedziałam.

- Ale zakręcenie to nie uczucie!

- Właśnie, że tak!

Przyciągnął mnie do siebie z powrotem.

- Ellie, znowu stosujesz swoje stare sztuczki. Za dużo myślenia, za mało uczucia.

Całował mnie mocno przez dłuższą chwilę i w końcu zaczęłam go całować równie namiętnie. Potem pocałunki stały się powolne i delikatne, trochę lepkie, ale przyjemne. Nadal jednak gnębiło mnie kilka spraw, więc kiedy przzerwaliśmy, żeby zaczerpnąć oddechu, i Lee trącał nosem moje ramię, zaczęłam jeszcze raz:

- Lee, wiem, że próbujesz zamknąć mi usta pocałunkami, ale mówię poważnie: boję się o nas, o ciebie i mnie. Nie wiem, co się stanie, dokąd nas to zaprowadzi. I nie mów mi głupot w stylu: „Nikt nie jest w stanie przewidzieć przyszłości”. Powiedz coś, czego jeszcze nie wiem.

- A co mogę powiedzieć? Przyszłość jest... sam nie wiem, jaka jest przyszłość. To czysta kartka papieru, na której rysujemy kreski, ale czasami osuwa nam się ręka i kreski nie wychodzą tak, jakbyśmy chcieli.

Lee powiedział to rozmarzonym tonem, spoglądając na baldachim z gałęzi nad naszymi głowami. Byłam pod wrażeniem.

- Ale odłot. Wymyśliłeś to w tej chwili?

- Mniej więcej. To znaczy myślałem o tym już wcześniej, ale tym razem wyszło akurat tak. W każdym razie to prawda i tylko to się liczy.

- Chyba masz rację. Ale tu, w Piekło, przeważnie rysujemy te kreski tak, jak nam się podoba. A przynajmniej częściej niż kiedyś stawiamy na swoim. Nie ma tu żadnej dorosłej osoby, która mogłaby nas złapać za rękę.

- Tak, ale mamy własne myśli, które pełnią tę samą funkcję co dorośli. Najlepszym dowodem są nasze wspólne narady. Założę się, że mnóstwo osób oczekiwałoby, że urządzimy tu orgię seksu, narkotyków i czekolady, a zachowujemy się całkiem grzecznie. Jak do tej pory.

- Ach tak? Co to znaczy?

- Przecież wiesz.

- Masz na myśli seks, narkotyki czy czekoladę?

- Wiem, która z tych spraw znaczy dla mnie najwięcej, i na pewno nie jest to czekolada.

- Uważasz, że powinniśmy to zrobić, prawda?

- To - droczył się ze mną - czyli co?

- Dobrze wiesz.

- Okej, tak, uważam, że powinniśmy to zrobić.

- Wiedziałam - westchnęłam z powagą, chociaż wcale nie byłam pewna, czy mówić

poważnie, czy po prostu się wygłupia.

- I ty też chcesz to zrobić.

- Czasami tak - przyznałam, trochę się czerwieniąc.

- I tak naprawdę właśnie o tym jest ta rozmowa, prawda?

- Możliwe. - Westchnęłam i odgarnęłam włosy z twarzy. - Jezu, Lee - powiedziałam, odwracając się do niego gwałtownie i łapiąc go za koszulę - czasami chcę tego tak bardzo, że aż puchnie mi skóra.

- Myślisz, że Homer i Fi już to zrobili?

- Nie. Fi na pewno by mi powiedziała.

- Dziewczyny są zabawne. Opowiadają sobie takie rzeczy.

- A faceci nie? Daj spokój, nie ściemniaj.

- W każdym razie po tym, co o nich napisałaś, może wcale nie być taka chętna do zwierzeń.

- Po tym, co o nich napisałam, prawie na siebie nie spojrzeli.

- Tak, rzeczywiście zachowują się trochę dziwnie. Hej, czekaj, zamierzasz zapisać tę rozmowę?

- Jeśli to zrobię, na pewno nikomu nie pokażę.

- Lepiej nie. No więc - odwrócił się do mnie, podniósł moją dłoń i zaczął ją głaskać - o co chodzi, Ellie? Co się dzieje? Po co prowadzimy tę rozmowę?

- Sama nie wiem. Martwi mnie tyle spraw, że można oszaleć. Na przykład czasami myślę, że jesteśmy razem tylko dlatego, że nie mamy tu innego wyboru. Gdybyśmy nadal chodzili do szkoły i nie doszłoby do żadnej inwazji, może nawet byśmy się nie przyjaźnili. Więc jesteśmy sobie pisani czy nie? A jeśli to tylko coś w stylu tych wakacyjnych przygód, które pokazują w amerykańskich filmach i które wydają się tak mało realne?

Lee chciał się odezwać, ale go powstrzymałam.

- Dobra, wiem, co zamierzasz powiedzieć: za dużo myślę. Przyznaję, masz rację. Chyba po prostu unikam pewnej poważnej kwestii. A ta kwestia to mniej więcej to, o czym przed chwilą wspomniałaś. Jesteśmy razem od jakiegoś czasu i całkiem nam ze sobą dobrze. Ale coś we mnie chce pójść krok dalej i wcale nie mam na myśli wyłącznie strony fizycznej, chociaż ona na pewno też jest elementem tej układanki. - Kiedy to mówiłam, po raz pierwszy poczułam, w czym może tkwić problem. - To chyba ma jakiś związek z tym, co się nam przydarzyło. Z inwazją, mieszkaniem w Piekło, akcjami, w których wysadzamy różne rzeczy w powietrze i zabijamy ludzi. Zastanawiam się, czy nasze życie już zawsze będzie tak wyglądało. Będziemy tu siedzieć i dreptać w miejscu? Co kilka tygodni wyjdziemy i

zabijemy paru żołnierzy? Jeśli to wszystko, co świat ma nam do zaoferowania w ciągu następnych pięćdziesięciu lat, to nie ma o czym mówić. Ja chcę iść naprzód, bez względu na to, co jeszcze będzie się działo wokół nas. Odkąd się tu znaleźliśmy, nie zrobiliśmy żadnych postępów. Niczego nie zbudowaliśmy, nie licząc kilku nędznych zagród dla kurczaków. Niczego się nie nauczyliśmy. Nie zrobiliśmy niczego pozytywnego.

- Ja uważam, że nauczyliśmy się bardzo dużo.

- Jasne, o nas samych i tego typu sprawach. Ale nie takie uczenie się mam na myśli. Chodzi mi o rzeczy, które same w sobie są bezużyteczne, a mimo to piękne, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Na przykład o nazwy gwiazdozbiorów i kształty, jakie tworzą na niebie. O to, że Michał Anioł malował sufit Kaplicy Sykstyńskiej, leżąc na plecach, a farba kapała mu do oczu. O ciąg Fibonacciego i kolejne etapy japońskiej ceremonii parzenia herbaty albo o francuskie słowo oznaczające kolej. Właśnie o takich rzeczach mówię. Nie rozumiesz?

- Chyba rozumiem. Masz na myśli to, że jeśli ominą nas te sprawy, poniesiemy klęskę, bez względu na to, co jeszcze się stanie, bez względu na to, ile razy zwyciężymy na polu bitwy.

- Właśnie. Jednak rozumiesz! Musimy robić coś pozytywnego, a nie tylko negatywnego. Zasianie tych wszystkich nasion było dobrą sprawą. Ale powinniśmy byli zasadzić też kwiaty. Pustelnik to rozumiał. Dlatego zasadził róże. A kiedy robił most, nie ograniczył się do przetrzucenia przez strumień paru pniaków. Wykonał go pięknie, żeby przetrwał setki lat. Musimy zacząć tworzyć i myśleć długofalowo. Zostawiać coś po sobie. Życie jest najważniejsze! Tak!

Skoczyłam na nogi i odtńczyłam taniec w ciemnej chatce pustelnika, a potem wróciłam z garściami płatków róż, którymi hojnie obsypałam twarz Lee. To jednak mi nie wystarczyło. Nagle zyskałam tyle energii, że mogłabym posadzić tysiąc drzew, pocałować tysiąc chłopaków i zbudować tysiąc domów. Zamiast tego szybko pobiegłam do obozowiska, popędziłam zygzakiem przez polanę, a potem ruszyłam w górę, żeby obejrzeć zachód słońca z Szatańskich Schodów.

Gdy było już ciemno i muchy poszły spać, zabiliśmy z Homerem jedno z jagniąt. Przyklęłam na zwierzęciu, Homer podciął mu gardło, a potem ja mocnym szarpnięciem skręciłam mu kark, pozwalając, żeby wypłynęła krew, żeby wysączyło się życie. Wspólnie obdarliśmy jagnię ze skóry. Wielka pięść Homera załatwiła sprawę brzucha i mostka. Nie paliłam się do tego. Bałam się, że nie będę w stanie temu podołać, że odezwą się okropne wspomnienia z zasadzki. Ale nie. Być może to rozmowa z Lee oczyściła niebo z mojego groźnego cienia. W każdym razie, gdy tylko złapałam jagnię, odruchowo zaczęłam robić to,

co za dawnych czasów. Zawsze sami zabijaliśmy zwierzęta na mięso. Zarzynanie ich nigdy nie staje się obojętne. Na przykład wyjęcie ciepłego serca, które wygląda tak, jakby nadal tętniło w nim życie, zawsze jest potężnym doznaniem, bez względu na to, ile razy się to serce trzymało. Przynajmniej dla mnie. Dlatego nie działa się wtedy jak robot i nie przypomina to obierania ziemniaków. Ku mojej uldze okazało się jednak, że wszystko poszło mniej więcej tak jak zwykle. Naprawdę odetchnęłam.

Odcieiliśmy głowę i wrzuciliśmy ją do dołu, który Fi wykopała na odpadki. Nie jestem wielbicieleką mózgu, a tamtej nocy nie byłam w stanie się zmusić do obdarcia łba ze skóry i ucięcia języka. Potem rozciągnęliśmy jagnię na gałęzi, żeby je wypatroszyć. Czuliśmy tak wielką presję pozostałych, którzy czekali na pieczeń, że od razu poćwiartowaliśmy mięso, mimo że lepiej poczekać, aż ostygnie. Odcieiliśmy kilka pierwszych kawałków, niezbyt ładnie, po trapersku, i od razu trafiły nad ogień. Minęła północ, zanim nasze wygłodniałe usta zacisnęły się na gorącym, różowym mięsie, ale warto było czekać. Najedliśmy się do syta, uśmiechając się do siebie nawzajem i rozrywając mięso poczerńiałymi, tłustymi palcami. Śmierć jednego może być narodzinami drugiego. Poczulałam nowy zapach, nową pewność.

7

To, co wydarzyło się później, było konsekwencją mojego pomysłu, przyznaję. Odpowiedzialność ponosi Ellie. Zniecierpliwienie, poczucie, że robimy zbyt mało, że niczego nie zmieniamy, pchnęło mnie do działania. Zawsze uważałam, że po drugiej stronie Piekła musi być jakiś szlak, że można wykorzystać strumień jako ścieżkę. W końcu musiał dokąś prowadzić, a nie mógł przecież płynąć w górę. Sąsiednią dolinę przecinała rzeka Holloway i było tam miasteczko Risdon. Nie miałam pojęcia, czy szlak można pokonać pieszo, ale pomyślałam, że warto spróbować. Tęskniłam do nowych pól, nowych krajobrazów, może także do nowych ludzi. To było jak pragnienie wakacji. Mimo tego, co mówiło radio i nasz rozsądek, miałam niewyraźne poczucie, że po drugiej stronie wszystko wygląda inaczej, że wyjdziemy z gór do nowego, zielonego, spokojnego świata, pozostawiając za sobą brzydotę i rozpacz Wirrawee. Nie podzieliłam się tym marzeniem z pozostałymi. Po prostu powiedziałam, że musimy opracować trasę ewentualnej ucieczki i powinniśmy się dowiedzieć, co słychać nad Holloway. W końcu wiedza to władza.

Zareagowali całkiem pozytywnie. Nie musiałam ich długo namawiać. Wcześniej Homer kilkakrotnie sugerował, że powinniśmy poszukać innych ludzi, dołączyć do innych grup, a istniała szansa, że w Risdon to się uda. Poza tym chyba wszyscy byliśmy gotowi spróbować czegoś nowego. To dawało nam poczucie, że robimy coś konstruktywnego. Tylko Chris wolał zostać w obozie. Zresztą lepiej było kogoś tu zostawić, żeby doglądał kurcząt i drugiej owieczki. Nie byłam jednak pewna, czy wyznaczenie do tego zadania Chrisa to dobry pomysł. Coraz bardziej się izolował, pisał w notesie, siedząc sam jak palec, i wpatrywał się w urwiska. Chyba wypił całe piwo, które przywieźliśmy od Kingów, bo nigdzie nie mogłam znaleźć butelek, a Lee też nie wiedział, co się z nimi stało. Z drugiej strony, o ile było mi wiadomo, nie mieliśmy więcej alkoholu, więc pomyślałam, że to właśnie jego brak sprawił naszego przyjaciela w tak podły nastrój. Czasami Chris rzucał się w wir działania - na przykład wybudował nam porządną dużą szopę, w której mogliśmy suszyć drewno na opał. Zajęło mu to trzy dni i nie chciał niczyjej pomocy, ale kiedy już skończył, w zasadzie nie zrobił nic więcej.

Wiedzieliśmy, że jeśli uda nam się przedostać do Risdon, może nas nie być kilka nocy, więc starannie się spakowaliśmy, zabierając śpiwory, swetry i płaszcze

przeciwdeszczowe. Zamiast namiotów wzięliśmy kilka tropików i maty, które były lżejsze i zaspokajały nasze potrzeby.

Wybuchła wielka kłótnia dotycząca sposobu pokonania strumienia. Homer, który stopniowo odzyskiwał swoje normalne asertywne Ja, powiedział, że powinniśmy iść w butach, bo w ten sposób zmniejszymy ryzyko poślizgnięcia się na jakimś kamieniu. Ja twierdziłam, że powinniśmy iść boso, żeby buty były suche i ciepłe, kiedy w końcu wyjdziemy z wody. Jesień zbliżała się wielkimi krokami, więc brodzenie w zimnej wodzie i pokonywanie w ten sposób dużych odległości nie wydawało się nęcące żadnemu z nas.

W końcu sprzeczka doprowadziła do wielkiej kłótni, która powinna była wybuchnąć wieki temu: do kłótni na temat tego, dlaczego Homer zabrał broń, kiedy szliśmy zrobić zasadzkę przy Buttercup Lane.

Na początku Homer zachował się jak typowy despota.

- To, co robię, to moja sprawa - powiedział. - Nie obchodzi mnie, co o tym myślicie.

- Świetnie - odparłam. - Domyślam się, że kiedy dostaniesz pęcherzy, każesz nam się nieść. Homer, jeśli nie zadamy o stopy, będziemy do niczego.

- Dobrze, mam - powiedział, rzucając mi wściekłe spojrzenie brązowych oczu.

Przy Homerze zawsze czułam, że nie mogę się ugiąć, bo inaczej będzie po mnie. To niezwykle silny facet, który onieśmiela wiele osób, a potem chyba pogardza nimi za to, że są zbyt słabe, żeby mu się postawić. Dlatego ja zawsze mu się stawiam i tym razem zrobiłam podobnie.

- Jak to jest, że kiedy mówię, co według mnie powinniśmy zrobić, rzucasz teksty w stylu „dobrze, mam”, a kiedy sam próbujesz nami dyrygować, oczekujesz, że natychmiast się zgodzimy? Chyba nie jesteś seksistą, co, Homer?

Zupełnie jakbym pytała rybę, czy jest mokra.

- Ellie, wiem, że nie znosisz, kiedy nie możesz postawić na swoim w każdej najdrobniejszej sprawie...

- Tak? A kiedy po raz ostatni postawiłam na swoim?

- Jeszcze pytasz?! Na przykład dzisiaj rano, kiedy zabroniłaś Chrisowi rozpalić ognisko. Albo dwie godziny temu, gdy nie pozwoliłaś, żeby Lee otworzył puszkę brzoskwiń.

- Jasne, a zauważyłaś, co łączy te dwa przypadki? Staram się, żebyśmy postępowali właściwie! Chcę, żebyśmy przeżyli! Jeśli ktoś zobaczy dym, już po nas. Jeśli zezjemy całe jedzenie, będziemy w poważnych kłopotach. Widzisz, nie mówię tego wszystkiego dla swojego widzimisię ani dlatego, że lubię dźwięk własnego głosu.

- Powinnaś częściej słuchać pozostałych, Ellie. Zachowujesz się tak, jakbyś ciągle

grała w sztuce dla jednego aktora.

To naprawdę mnie rozwścieczyło.

- Wielkie dzięki. Nigdy nie chciałam grać w sztuce dla jednego aktora. Najwyżej w sztuce dla jednej aktorki. Potwierdzasz tylko to, co przed chwilą powiedziałam. Nawiasem mówiąc, ciekawie to brzmi w twoich ustach. Przecież to ty okazałeś się kretynem, który po cichu obciął śrutówkę i schował ją do plecaka, po tym jak wszyscy uzgodniliśmy, że nie będziemy nosić przy sobie broni. Grając w sztuce dla jednego aktora, naraziłeś nas na niebezpieczeństwo, a przy tym działałeś z premedytacją. Ja nigdy czegoś takiego nie zrobiłam. Jesteś tak bardzo przekonany o swojej nieomyślności, że nie obchodzi cię, co myślą inni.

- Ale miałem rację, prawda? Gdybym nie zabrał tej śrutówki, ja i Chris bylibyśmy już martwi. Możliwe, że wszyscy bylibyśmy martwi. Uratowałem ci życie, Ellie. Hej, jestem bohaterem.

- Jasne, jak zwykle przypisujesz sobie zasługi, mimo że po prostu miałeś fuksa. Miałeś tyle cholernego szczęścia, Homer, że nawet jeszcze tego nie pojąłeś. Gdyby ci kolesie nie zostawili karabinów przed pójściem w krzaki, nie miałbyś nawet czasu wyjąć swojej drogocennej śrutówki.

- Trzymałem ją w ręku, Ellie. Nie jestem aż taki powolny. Byłem gotowy.

- A gdyby zaskoczył nas patrol? Gdyby złapali nas z obrzynem? Postawiliby nas pod drzewem i zastrzelili, a ty miałbyś na rękach krew pięciu osób.

- Ale tak się nie stało, prawda? To dowodzi, że miałem rację.

- To niczego nie dowodzi! Po prostu miałeś fuksa!

- Nie, bo to, że nic nam się nie stało, świadczy o tym, że dobrze się zabezpieczyliśmy. Nie ma czegoś takiego jak fuks. Jak powiedział pewien golfiarz, dobrzy gracze zawsze mają szczęście. Dopóki będziemy ostrożni i rozważni, szczęście będzie nam sprzyjało. Nie wierzę w fuksy. Doszedłem do tego wniosku, zanim postanowiłem zabrać broń.

- Homer! Odbiło ci! Nie masz pojęcia, co mogło nas tam spotkać! Nie wierzysz w fuksy? Nie znasz życia. Życie to same fuksy. Zachowujesz się tak, jakbyś mógł wszystko kontrolować. Uważasz się za Boga! Jezu, nawet w golfie piłeczka może uderzyć w drzewo i wpaść prosto do dołka. Jak byś to wytłumaczył? Zresztą nie o to chodzi - dodałam szybko, na wypadek gdyby jednak umiał to wytłumaczyć. - Chodzi o to, że musisz się stosować do decyzji grupy. Nie możesz nas ignorować i robić, co ci się podoba. Siedzimy w tym wszyscy razem. I nie zarzucaj mi, że próbuję grać w sztuce dla jednego aktora, bo ty próbujesz kierować całym teatrem.

- Dajcie spokój - powiedział Chris.

Pozostali zareagowali na naszą kłótnię w różny sposób. Robyn stała oparta o motykę, przyglądając się i słuchając z wielkim zainteresowaniem. Fi, która nie znosiła konfliktów, poszła do nowego wychodka, który stał pięćdziesiąt metrów dalej, w zaroślach. Lee czytał książkę zatytułowaną *Red Shift* i nawet nie podniósł wzroku. Chris strugał smoka w kawałku drewna. Ostatnio często zajmował się tego typu rzeczami i szło mu naprawdę nieźle. Nasza kłótnia budziła w nim jednak smutek i złość, więc kilka minut po tym, jak się wtrącił, poszedł nad strumień. Reszta z nas rozpoczęła przygotowania do wyprawy.

Byłam trochę wkurzona, rzucałam różnymi przedmiotami i na wszystkich warczałam. Dopiero kiedy Fi wróciła z wychodka, trochę się uspokoiłam. A dokładniej mówiąc, ona mnie uspokoiła. Podniosła kij, który straciłam - ten, którego używaliśmy do suszenia bielizny - i próbowała ustawić go z powrotem na miejscu. Jeden koniec opierał się na rozwidlonych gałęziach drzewa, których nie mogła dosięgnąć, więc podeszłam, żeby ją podesadzić. Ku mojemu przerażeniu, kiedy ją dotknęłam, lekko się skrzywiła. Był to nieznaczny grymas, ale przez sekundę wyglądała tak, jakby myślała, że ją uderzę.

- Och, Fi! - powiedziałam. Zrobiło mi się naprawdę smutno.

- Przepraszam, Ellie - zaczęła się tłumaczyć. - Po prostu mnie zaskoczyłaś, to wszystko.

Usiadłam na ziemi obok namiotu i skrzyżowałam nogi.

- Fi, czy ja się zmieniłam w potwora?

- Nie, Ellie, jasne, że nie. Po prostu tyle się tu dzieje, że trudno się przyzwyczaić.

- Bardzo się zmieniłam?

- Nie, nie. Ellie, jesteś silną osobą, a kiedy wokół są silne osoby, zawsze wybuchają kłótnie. To znaczy Homer jest silny, Robyn jest silna i Lee jest o wiele silniejszy, niż nam się wydaje. Dlatego trudno uniknąć tarć.

- Każdy jest silny na swój sposób. Nie przypuszczałam, że Kevin ma w sobie siłę, dopóki nie zawiózł Corrie do szpitala. A kiedy wysadzaliśmy most, zachowałeś się jak prawdziwa twardzielka.

- Tylko że nie jestem silna w kontaktach z ludźmi.

- Nadal jesteś na mnie zła za to, co napisałam o tobie i Homerze?

- Nie! Jasne, że nie! Po prostu przeżyłam lekki szok, kiedy to przeczytałam. Nic więcej. Twój problem polega na tym, że jesteś zbyt szczerą, a ja nie byłam na to przygotowana. Napisałaś to, co większość ludzi myśli, ale o czym nigdy nie mówi. Albo zapisuje to w pamiętnikach, których nikomu nie pokazuje.

- Tyle że ty i Homer nadal trzymacie się na dystans.

- Tak, ale nie wiem, czy to przez to, co napisałaś. On jest taki skomplikowany. Czasami bywa czuły i słodki, a kiedy indziej traktuje mnie jak powietrze. To bardzo dobijające.

Wszystko wskazywało na to, że nastał dzień ważnych rozmów. Może przygotowania do drogi rozwiązały nam języki. Ostatnią rozmowę przeprowadziłam z Chrisem i okazała się jeszcze trudniejsza niż ta z Homerem. Specjalnie poszłam nad strumień, żeby go poszukać, bo miałam poczucie winy, że ostatnio go zaniedbuję. Im bardziej był posepny, tym bardziej go unikałam. Podobnie jak reszta. A to chyba dodatkowo go przygnębiało. Dlatego święta Ellie postanowiła naprawić sytuację i ruszyła nad strumień z silnym postanowieniem, że dla odmiany zrobi coś dobrego.

Kiedy go znalazłam, siedział na głazie i patrzył na swoją bosą lewą stopę. Przez chwilę nie widziałam, co go tak zaciekawiło, ale potem zauważyłam paskudną czarną wypukłość na jego skórze przypominającą podłużny, brzydki pęcherz nabiegły krwią. Spojrzałam na nią, zadrżałam, spojrzałam jeszcze raz i zdałam sobie sprawę, że to pijawka. Chris siedział spokojnie i patrzył, jak nabrzmiewa jego krwią.

- Fuj - skrzywiłam się. - Po co to robisz?

Wzruszył ramionami.

- Zabijam czas.

Nawet nie podniósł głowy.

- Nie, pytam poważnie, po co?

Tym razem wcale nie odpowiedział. Przez cały czas pijawka siedziała na nodze, coraz większa i czarniejsza. Trudno było przy niej rozmawiać. Nie potrafiłam oderwać od niej oczu. Ale spróbowałam.

- Nie zapomnisz poszukać jaj za tą płaską skałą? Blossom czasami je tam składa.

Blossom była rudą kurą o dość posepnym wyglądzie, która nie cieszyła się sympatią pozostałych niosek.

- Jasne.

- Co zamierzasz robić, kiedy nas nie będzie?

- Nie wiem. Znajdę sobie jakieś zajęcie.

- Chris, wszystko w porządku? Ostatnio ciągle nas unikasz. Masz nas dość czy co? Coś cię gnębi?

- Nie, nie. Wszystko gra.

- Ale dawniej gadaliśmy, prowadziliśmy długie rozmowy. Dlaczego już tego nie

robimy?

- Nie wiem. Nie ma o czym gadać.

- Tyle się dzieje. Jesteśmy w samym środku najważniejszych wydarzeń w naszym życiu. Moglibyśmy znaleźć mnóstwo tematów.

Znowu wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od tego paskudztwa na swojej nodze.

- Bardzo bym chciała zobaczyć więcej twoich wierszy.

Długo wpatrywał się w pijawkę, ale nie odpowiadał. W końcu mruknął:

- Tak, podobało mi się to, jak je skomentowałaś. - Potem dodał, jakby do siebie: - Może powinienem ci pokazać następne. Może tak, może nie.

Odwrócił się i sięgnął w stronę kurtki, która leżała na skale. Odruchowo ją podniosłam i podałam mu. Wtedy znowu poczułam stęchły, słodkawy zapach alkoholu w jego oddechu. Zatem jego zapasy jeszcze się nie skończyły. Wyjął pudełko zapalek. Zupełnie nie zwracał na mnie uwagi. Poczułam rezygnację i przygnębienie. Po rozmowie z Fi miałam trochę lepszy humor, który teraz znowu się popsuł. Usłyszałam wołanie Robyn. Nasza ekipa była już gotowa do drogi.

- No to do zobaczenia - powiedziałam do Chrisa - za parę godzin albo parę dni.

Nawet nie odpowiedział. Wdrapałam się z powrotem na wzgórze, wzięłam plecak i ruszyłam w stronę miejsca, gdzie strumień wślizgiwał się pod grubą warstwę krzaków, prowadząc do chatki pustelnika i jeszcze dalej. Fi, Homer i Lee już poszli. Tylko Robyn na mnie czekała. Zdjęłam buty i skarpetki. Osiągnęliśmy kompromis - mieliśmy iść w butach, ale bez skarpetek, więc włożyłam buty z powrotem, weszłam do zimnej wody i ruszyłam za resztą. Czy ta wyprawa to dobry pomysł? Nie byłam pewna, ale w zasadzie nie zaprzętałam sobie tym głowy. Postawiliśmy sobie konkretne zadanie i byłam przekonana, że jeśli zachowamy ostrożność, nic złego nas nie spotka. Z wyjątkiem odmrożenia, pomyślałam, czując, jak woda przecieka mi do butów. I z wyjątkiem pijawek. Nerwowo spoglądałam w dół, chcąc się upewnić, że nie przypuszczają zdradzieckich ataków na moje nogi.

Minęliśmy starą chatkę i poszliśmy dalej. Znaleźliśmy się na nowym terenie. Już po chwili poczułam się niepewnie. Pochylona ślizgałam się na kamieniach, czułam ból idący od zmarzniętych stóp, stękałam i narzekałam, ale szłam dalej. Ciągłe próbowałam przesunąć plecak w wygodniejsze miejsce i z każdą minutą czułam się coraz bardziej jak żółw.

- Paskudny sposób zarabiania na życie - powiedziałam do tyłka Robyn.

Roześmiała się. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Lekko odwróciła głowę i zapytała:

- Hej, El, czy raki gryzą?
- No jasne, na każdym postoju licz palce u nóg. To wygłodniałe stworzonka.
- A ważki?
- Tak samo.
- A bunyipy?
- One są najgorsze.

Potem musiałyśmy się pochylić jeszcze bardziej, bo krzaki zaczęły nas ciągnąć za włosy. Na chwilę trzeba było przerwać rozmowę.

Szliśmy dość długo. Kiedy już się przyzwyczaiłam, nie było tak źle. Przez kilka pierwszych minut człowiek poci się i czuje ból, ale potem łapie rytm i idzie z prądem. Zmagania trwają wewnątrz i na zewnątrz, ale na szczęście początkowe napięcie w końcu mija. Ciężko człapałam za Robyn, która szła za Lee, który szedł za Fi, która szła za Homerem. Czasami strumień rozszerzał się i szumiał na żwirze, co było całkiem miłe. Czasami zdarzało mi się poślizgnąć na gładkim kamieniu albo nadepnąć na ostrą krawędź. Czasami musieliśmy omijać głębie. Na jednym odcinku strumień płynął piaszczystym korytem prosto i ponuro przez jakieś osiemdziesiąt metrów, więc my też mogliśmy się wyprostować i sunąć jak po autostradzie.

Zawsze uważałam Piekło za kotlinę, ale w zasadzie nie miałam na to żadnych dowodów. Ze Szwu Krawca drugi koniec Piekła wyglądał jak pasmo skał i zieleni znacznie niższe niż Szew. To pasmo tworzyło skraj kotliny, którego jedynym naprawdę wysokim punktem był szczyt Mount Turner. Dalej leżała jednak dolina Holloway i strumień musiał jakoś do niej dotrzeć.

Nasz uciążliwy marsz trwał dwie godziny i przeważnie prowadził w dół. Zastanawiałam się, czy będę jeszcze w stanie stanąć prosto, czy też już zawsze będę chodziła pochyłona jak garbaty potwór z dziczy. Nagle zauważyłam, że tyłek Robyn skreślił i zaczął się ode mnie oddalać, wychodząc ze strumienia. Zerknęłam w górę. Robyn gramoliła się na brzeg, gdzie czekali pozostali, którzy już rozłożyli się nad wodą i zdejmowali buty, a potem z jękiem rozcierali stopy, próbując przywrócić w nich krążenie. Po raz pierwszy od opuszczenia obozowiska znaleźliśmy się na polanie. Miała zaledwie kilka metrów, ale to nam wystarczyło. Docierały tu nawet ciepłe promienie słońca, w których można się było położyć. Przez otwór w grubym baldachimie drzew widzieliśmy bezchmurne błękitne niebo.

- Mmm, jak miło - powiedziała Robyn.

- Dzięki Bogu, że znaleźliśmy tę polankę - ucieszyłam się. - Nie byłabym w stanie iść dalej. Wymoczyłam nogi za wszystkie czasy. Czyj to był w ogóle pomysł?

- Twój - odpowiedział mi chór czterech głosów.

Zdjęłam przemoczone buty i rozejrzałam się wokół, pocierając stopy i łydki. Strumień płynął swoją drogą, ale kawałek dalej zmieniał ton. Słyszałam gwałtowniejszy, głośniejszy, bardziej osamotniony dźwięk. Korony drzew przepuszczały tu więcej światła, a wcześniejsze zielone i brązowe tło zastąpił błękit. Poruszając się jak pacjentka szpitala dzień po operacji, pokuśtykałam na skraj polany, a Homer ruszył za mną. Weszliśmy kilka metrów w pas drzew i stanęliśmy, żeby się rozejrzeć. Przed nami rozciągała się dolina Holloway.

Podaję, że większości ludzi by się tam nie spodobało. Lato było suche i chociaż nadrzeczne podmokłe niziny były lekko zielone, pola za Risdon zostały wypalone do jednolitej barwy ochry, która wydawała się częścią mojego życia, częścią mnie. Bujna zieleń naszych wiosen i wczesnego lata nigdy nie trwała długo. Bardziej przywykłam do tej suchej, monotonnej żółci - tak bardzo, że na pewnym etapie we mnie wsiąkła i nie byłam już pewna, gdzie jest granica między mną i tym krajobrazem. Pamiętam, jak pan Kassar w szkole mówił, że wrócił do domu po rocznym pobycie w Anglii i jego serce wezbrało miłością na widok tych spalonych słońcem równin. Wiedziałam, co miał na myśli. Doskonale to rozumiałam.

Oczywiście żółć nie była wszechobecna. Widziałam ciemnozielone plamy drzew i pasma roślinności posadzonej dla ochrony przed wiatrem, połyskliwe blaszane dachy przypominające małe kwadratowe baseny oraz zbiorniki, szopy, zagrody, tamy i niekończące się monotonne ogrodzenia. Należałam do tej ziemi w jeszcze większym stopniu niż do lasu i gór oraz w znacznie większym stopniu niż do miast i miasteczek. Na tych skwarnych, szemrzających polach czułam się jak w domu.

Między nami a doliną były jednak urwiska i rosło mnóstwo drzew. Nie zdając sobie z tego sprawy, okrążyliśmy Mount Turner i teraz góra wznosiła się po naszej lewej stronie. Staliśmy z Homerem na krawędzi jednego z najniższych urwisk, z którego strumień spływał na dół długą struzką i lądował na skałach pięćdziesiąt metrów niżej, a potem, bulgocząc, znowu wpływał pod zarośla. Krzaki widoczne w dole wydawały się równie gęste jak te, przez które przedzieraliśmy się w Piekło.

- Całe szczęście, że nie ma z nami Kevina - powiedział Homer, spoglądając w przepaść.

- Jak to? Dlaczego?

- Nie wiedziałaś? Ma lęk wysokości.

- Boże! Czy istnieje coś, czego ten facet się nie boi? A zawsze zgrywał takiego twardziela.

- Mmm. Ale chyba ostatecznie okazał się twardzielem.

- Chyba tak.

Wróciliśmy do pozostałych i podzieliliśmy się z nimi wrażeniami. Potem zostawiliśmy plecaki i poszliśmy na spacer wzdłuż urwiska, szukając drogi na dół.

- Nie licząc skoku na bungee... - zaczął Lee dziesięć minut później.

- Musimy znaleźć taką drogę, którą będzie można wrócić - powiedziała Robyn, jak zawsze pragmatyczna.

Urwisko po tej stronie okazało się niedostępne: porastał je gęsty las, gdzieniegdzie krawędzie były mocno poszarpane, a skały niebezpiecznie śliskie. Daliśmy za wygraną i ruszyliśmy w drugą stronę. Znowu minęliśmy strumień i skierowaliśmy się ku nagim połaciom skały łupkowej. Znaleźliśmy tylko jedną możliwość: wyschnięte drzewo, które przechyliło się i spadło z urwiska. Jego nagi biały szkielet opierał się o skalną ścianę. Gałęzie niczym kości sterczały na wszystkie strony, tworząc coś w rodzaju naturalnej drabiny.

- Jejku - powiedziała Fi swoim babcinym głosem, kiedy stanęliśmy, żeby mu się przyjrzeć.

- Nie ma szans - powiedział Lee.

- Nie widzę przeszkód - oznajmiła Robyn.

- Nie mam ubezpieczenia zdrowotnego - upierał się Lee.

- Powinniśmy byli przynieść jakąś linę - zawyrokował Homer.

- Powinniśmy byli przynieść ruchome schody.

- Moim zdaniem to wykonalne - wtrąciłam. - Jeśli pierwsza osoba ruszy bez plecaka i dotrze na dół, możemy po prostu rzucić jej resztę sprzętu.

Wszyscy utkwili we mnie wzrok. Kiedy skończyłam mówić, dalej na mnie patrzyli. Poczulałam się niezręcznie.

- Kto wpadł na pomysł, żebyśmy urządzili tę wyprawę? - zapytał Homer.

Nadal się na mnie gapili. Westchnęłam i zaczęłam zdejmować plecak. Miałam dziwne wrażenie, że odprowadzając mnie na skraj urwiska, otoczyli mnie zwartym szykiem. Czyżby się obawiali, że spróbuję zwać? Wyglądało na to, że nie mam wyjścia. Stanęłam na czworaka i zaczęłam zsuwać się tyłem z krawędzi skały.

- Złap mnie za rękę - powiedział Homer.

- To bez sensu. Jeśli można tam zejść tylko dzięki czyjejś pomocy, to co zrobi ostatni z nas?

Wierzchołek drzewa był mniej więcej trzy metry niżej, ale uznałam, że uda mi się do niego dotrzeć. Krawędź urwiska była zaokrąglona, a nie stroma, więc moimi największymi problemami był luźny żwir i konieczność wcelowania stopami w pień. Dzięki kilku

wskazówkom Robyn ustawiłam się w odpowiednim miejscu, a potem na kilka sekund zawisłam w powietrzu. Musiałam zaufać przeznaczeniu i skoczyć. A właściwie się zsunąć. Wzięłam oddech, przełknęłam ślinę i puściłam się. Ześlizgiwanie się trwało zaledwie sekundę, ale przyszła mi do głowy okropna myśl, że mogę nie trafić w pień i runąć w przepaść. Mocniej przywarłam do ściany i próbowałam uchwycić się skały palcami. Potem dotknęłam stopami powalonego pnia i prawie natychmiast oplotłam go nogami. Zsunęłam się trochę niżej i objęłam go także rękami. Zamknęłam oczy i przytuliłam policzek do drewna.

- Wszystko w porządku? - zawołała Robyn.

- Jasne. - Otworzyłam oczy. - Próbuję tylko nie myśleć, jak wdrapiemy się z powrotem.

Spojrzałam w dół, szukając oparcia dla stóp. Kikuty gałęzi sterczały na całej długości pnia. Zadanie wydawało się dość łatwe. Postawiłam lewą stopę na pierwszej gałęzi i przeniosłam na nią ciężar całego ciała, prostując się z odrobiną ulgi. Gałąź od razu trzasnęła. Znowu przytuliłam się do pnia, a z góry spłynął mi na głowę potok rad: „Trzymaj stopy blisko drzewa”, „Nie przenoś całego ciężaru ciała na jedną gałąź”, „Najpierw wypróbuj, czy gałąź wytrzyma”. Były to dość sensowne sugestie, ale sama też bym na nie wpadła. Czułam, że koszula zaczyna mi się lepić od potu, który zalewał również czoło. Zaciśnęłam zęby i rozejrzałam się w poszukiwaniu następnej gałęzi.

Trzymając stopy jak najbliżej pnia, zaczęłam robić postępy. Ciężkie buty nie były idealne do tej roboty, ale innych nie miałam. Wykonanie zadania zajęło mi pięć minut, które dłużyły się jak piętnaście, ale w końcu poczułam niesamowitą ulgę i stanęłam na dole, plecami do lasu.

- No, dalej! - zawołałam.

- A co z plecakami?

- Włóżcie delikatne przedmioty do kieszeni i zrzucicie plecaki na dół.

Właśnie tak zrobili. Nie mieliśmy zbyt wielu delikatnych rzeczy: tylko latarki, radio i lornetkę. Potem musiałam robić uniki, żeby nie dostać plecakiem w głowę. Zupełnie jakby we mnie celowali. Nie, pewnie tylko mi się zdawało. Oparłam się pokusie podłożenia ognia pod pień, kiedy moi przyjaciele ostrożnie schodzili na dół, jeden po drugim.

- Będziemy musieli znaleźć jakiś sznur - powiedział Homer, kiedy wszyscy, odrobinę zdyszani, staliśmy już na dole. - Może w Risdon. Będzie nam łatwiej wejść z powrotem na górę.

Przez las nie prowadziła żadna ścieżka, a drzewa rosły gęsto. Zanosilo się na ciężką przeprawę. Wdrapaliśmy się trochę wyżej, znaleźliśmy mały przesmyk wśród skał i szliśmy

nim, dopóki się nie skończył. Potem już tylko przedzieraliśmy się przez zarośla. Pokonanie kilometra zajęło nam mniej więcej godzinę.

- Wolałabym już brodzić w strumieniu - powiedziałam do Fi.

I właśnie wtedy usłyszeliśmy głosy.

8

Po raz pierwszy zobaczyliśmy Bohaterów Harveya ze skalnego wzniesienia, z którego roztaczał się widok na obóz. Podkradliśmy się tak cicho, że wyraźnie słyszeliśmy ich głosy. Na dźwięk ojczystego języka poczuliśmy ogromną ulgę. Leżeliśmy z wytrzeszczonymi oczami, obserwowaliśmy ich i spoglądaliśmy na siebie ze zdumieniem. Miesiąc wcześniej od razu byśmy do nich pobiegli, wydając radosne okrzyki i wymachując rękami, ale teraz byliśmy tak ostrożni, że nawet darowanemu koniowi zajrzelibyśmy w zęby, nos, uszy i gardło, zanim w końcu zgodzilibyśmy się go przyjąć. A potem poprosilibyśmy go o referencje.

Mimo to nie było żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z prawdziwymi ludźmi. Część z nich nosiła mundury. O wielki eukaliptus rosnący na środku polany opierały się strzelby, a namioty zostały przysłonięte świeżo ściętymi gałęziami. Widziałam co najmniej dwadzieścia namiotów, a w ciągu kilkuminutowej obserwacji zauważyliśmy też ze dwadzieścia dorosłych osób, przeważnie mężczyzn. Cicho poruszali się po obozie. Atmosfera wydawała się luźna, co bardzo mi się spodobało. Jedynie wartownicy spisywali się fatalnie, bo nikt nas nie zauważył.

- No i? - zapytał Homer. - Idziemy do nich?

Lee zaczął się podnosić, ale pociągnęłam go z powrotem na ziemię.

- Zaczekaj - powiedziałam. - Co im powiemy?

- Jak to co?

- No wiecie... - zawahałam się.

Sama nie byłam pewna, o co mi chodzi, jaki impuls kazał mi zadać to pytanie. W końcu sformułowałam jedyne zdanie, jakie przyszło mi do głowy:

- Powiemy im o Piekło?

- Nie wiem. A czemu nie?

- Nie wiem. Po prostu z jakiegoś powodu nie chcę tego robić. Chcę, żeby Piekło zostało naszą sekretną kryjówką.

Homer chwilę się zastanawiał.

- Chyba nie musimy o nim wspominać. W każdym razie dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o tych ludziach.

Musiałam się tym zadowolić. Homer wstał i poprowadził nas w stronę obozu. Zanim ktokolwiek nas zauważył, pokonaliśmy z dziesięć metrów. Jakiś ubrany na zielono mężczyzna z łopata w ręku wyszedł z namiotu, zobaczył nas i gapił się z niedowierzaniem, a po chwili wyprostował się i wydał z siebie ptasi odgłos. Próbował naśladować kukaburę, ale wyszło mu średnio. Mimo to podziałało. Kilka sekund później otoczyli nas mężczyźni i kobiety, którzy zbiegli się z całego obozu. W sumie ze trzydzieści albo czterdzieści osób. Ze zdziwieniem zauważyłam, że niektóre kobiety mają makijaż. Najbardziej niepokojące było jednak to, że wszyscy zachowywali się strasznie powściągliwie. Kilka osób poklepało nas po plecach, ale większość nie odezwała się słowem. Otoczyli nas zwartym kręgiem i stali tak blisko, że czuliśmy zapach ich potu, włosów i oddechów. Nie wydawali się wrogo nastawieni, byli po prostu nieufni i czujni. Jakby na coś czekali.

W końcu się odezwałam:

- Witajcie. Bardzo się cieszymy, że was znaleźliśmy. Długo byliśmy sami.

Przez tłum przecisnął się niski, przysadzisty mężczyzna. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, miał czarne włosy, puciołowatą twarz i trzymał głowę przechyloną pod dość dziwnym kątem, trochę w bok i jednocześnie lekko do tyłu. Miał ogromny spiczasty nos, który nadawał jego twarzy władczy wygląd. Był ubrany w spłowiałe żółtawo-zielony mundur z bluzą ze stójką i krawatem, ale nie miał kapelusza. Krawat był koloru khaki, podobnie jak koszula. Pozostali rozstąpili się, robiąc mu miejsce. Mężczyzna przez chwilę nam się przyglądał, a potem skupił się na Homerze.

- Witajcie u Bohaterów Harveya, młodzi ludzie - powiedział. - Jestem major Harvey.

- Dzięki - odpowiedział skrzepowany Homer. - To wspaniale, że was znaleźliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś tu będzie.

- Chodźcie ze mną. Porozmawiamy.

Idąc przez obóz, nadal mieliśmy na plecach plecaki. Ta polana właściwie nie była polaną, bo rosło na niej tyle eukaliptusów, że chwilami trudno było się między nimi przecisnąć. W każdym wolnym miejscu stał jakiś namiot. Ale w porównaniu z gęstymi zaroślami wokół można to było uznać za polanę.

Jak na nasze standardy, namiot majora Harveya był wielki niczym salon. Wszyscy pięcioro moglibyśmy tam bez problemu spać. Stało w nim jednak tylko łóżko polowe osłonięte moskitierą, stolik i trzy krzesła oraz kilka pudeł i skrzyń. Położyliśmy plecaki na ziemi obok wejścia. Major Harvey zwawym krokiem podszedł do krzesła za stolikiem i usiadł, dając nam do zrozumienia, że sami powinniśmy znaleźć sobie jakieś miejsce. W końcu ja i Homer zajęliśmy dwa pozostałe krzesła, a reszta usiadła na ziemi.

Major zauważył, jak zerkam w stronę moskitiery, i nerwowo się roześmiał.

- Odrobina luksusu - wyjaśnił. - Mam dość wrażliwą skórę.

Wykrzywiłam usta w czymś w rodzaju uśmiechu, ale nie odpowiedziałam. Major znowu zwrócił się do Homera:

- Po pierwsze - zaczął - gratuluję, że udało się wam uniknąć wpadnięcia w szpony wroga. Widzę, że doskonale sobie radzicie. Będziecie musieli mi powiedzieć, jak tego dokonaliście.

Odchyliłam się na krześle. Poczułam ogromne zmęczenie. Miałam wrażenie, że za chwilę zasnę. Dorośli! W końcu znaleźliśmy się wśród dorosłych, którzy podejmują decyzje, biorą na siebie odpowiedzialność i mówią nam, co robić. Zamknęłam oczy.

- No więc - zaczął Homer niepewnym głosem.

Zdziwiłam się, słysząc, jak bardzo jest zdenerwowany. Jakby stracił całą pewność siebie w obliczu człowieka, który bardzo wyraźnie zaznaczył, że to on tu rządzi.

- No więc - powtórzył - kiedy zaczęła się inwazja, biwakowaliśmy w lesie. Dlatego to wszystko nas ominęło. Po wyjściu z lasu zobaczyliśmy, że ludzie zniknęli. Minęło trochę czasu, zanim zrozumieliśmy, co się stało. A gdy już zrozumieliśmy, szybko uciekliśmy z powrotem w dzicz i od tamtej pory się ukrywamy. Przeprowadziliśmy jednak kilka akcji. Rozwaliliśmy parę rzeczy. Wysadziliśmy w powietrze most Wirrawee i zaatakowaliśmy konwój, a oprócz tego wzięliśmy udział w kilku starciach. Straciliśmy jedną z naszych przyjaciółek, która dostała kulę w plecy, i przyjaciela, który zawiózł ją do szpitala. Obecny tu Lee został trafiony w nogę, ale poza tym radzimy sobie całkiem nieźle.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na majora Harveya. Przyglądał się Homerowi z namysłem. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale przenikliwe brązowe oczy patrzyły czujnie. Kilka sekund później, kiedy stało się oczywiste, że mężczyzna nie zamierza nic powiedzieć, Homer dodał:

- To fantastycznie, że was znaleźliśmy. Właśnie weszliśmy do doliny Holloway, żeby się rozejrzeć. Nie spodziewaliśmy się, że kogoś spotkamy. Wygląda na to, że stworzyliście tu małą armię.

Znowu zapadła cisza. Nie miałam pojęcia, dlaczego major Harvey milczy, ale mój mózg był zbyt ciężki i powolny, by prawidłowo działać. Czyżbym czegoś nie zauważyła? Teraz, kiedy znowu otaczali nas dorośli, spodziewaliśmy się jakiejś małej pochwały, odrobiny uznania. Czy nie po to są dorośli? Nie oczekiwaliśmy medali, ale czuliśmy, że przeszliśmy ciężki okres i daliśmy z siebie wszystko. Myślałam, że major choć trochę się ucieszy, kiedy usłyszy o naszych dokonaniach. Może zrobiliśmy za mało?

Kiedy major w końcu się odezwał, przeżyłam szok.

- Kto wam dał pozwolenie na wysadzenie mostu i zaatakowanie konwoju? - zapytał.

Homer gapił się na niego z ustami rozdziawionymi jak wiejski głupek. Gapił się na niego tak długo, że w końcu postanowiłam przejąć obowiązki rzecznika.

- O jakim pozwoleniu pan mówi? - zapytałam. - Nie mieliśmy nikogo, kogo można by zapytać o cokolwiek. Od początku inwazji prawie w ogóle nie rozmawialiśmy z dorosłymi ludźmi. Po prostu robiliśmy to, co uznaliśmy za słuszne.

- Wracając do mostu, skąd tak dużo wiecie na temat ładunków wybuchowych?

- Nic o nich nie wiemy - odpowiedział Homer. - Użyliśmy benzyny.

Major Harvey cierpko się uśmiechnął.

- W porządku - powiedział. - Jestem pewny, że zrobiliście wszystko, co w waszej mocy. Żyjemy w trudnych czasach. Ale teraz możecie zostawić sprawy w naszych rękach. Bez wątplenia odczujecie ulgę. Mimo że żadne z nas nie jest prawdziwym żołnierzem, posiadam wojskowe doświadczenie, a to jest obóz wojskowy, zorganizowany według wojskowych reguł. Od tej pory będziecie pod moim dowództwem. Koniec z niezależną działalnością. Czy to jasne?

Przytaknęliśmy. Byliśmy w lekkim szoku. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zamierzamy się sprzeciwić, trochę się odprężył. Wszyscy byli wyczerpani psychicznie, nie tylko ja. Siedzieliśmy i słuchaliśmy, jak objaśnia nam zasady panujące u Bohaterów Harveya.

- Ta dolina została opanowana przez wroga - powiedział - ale jest tu znacznie mniej wojsk niż w Wirrawee. Wirrawee ma dla najeźdźców ważne znaczenie, bo dopóki je kontrolują, kontrolują również drogę do Zatoki Szewca. A naszym zadaniem jest kontrolowanie jednego z ich głównych punktów desantowych. Nasze zadanie polega na jak najczęstszym nękaniu wroga, by sprawiać mu jak najwięcej kłopotu i zakłócać jego działania na wszelkie możliwe sposoby. Wróg ma ogromną przewagę liczebną i jest znacznie lepiej uzbrojony od nas. Mimo to udało nam się przeprowadzić pewne drobne działania. Uszkodziliśmy kilka pojazdów wroga, zniszczyliśmy dwie elektrownie i spowodowaliśmy znaczne straty w ludziach. - Uśmiechnął się cierpko. - Chyba mogę powiedzieć, że wróg jest co najmniej świadomy naszej działalności.

Uśmiechnęliśmy się i uprzejmie wymamrotaliśmy słowa uznania, a major Harvey ciągnął dalej:

- Za chwilę przedstawię was mojemu zastępcy, kapitanowi Killenowi.

Usłyszawszy to nazwisko, zachichotałam, ale major zmroził mnie spojrzeniem.

- Przepraszam - powiedziałam.

Zaczął mówić dalej, nie patrząc w moją stronę. Dopiero po chwili zrozumiałam, że poważnie go uraziłam.

- Jesteśmy jednostką bojową w służbie czynnej - oznajmił. - I przed chwilą mogliście zobaczyć, dlaczego nie spotkacie wśród nas zbyt wielu przedstawicielek piękniejszej płci. Skłonność do żarcików w nieodpowiednim momencie nie jest czymś, co tu popieramy.

Mój cichy śmiech ustąpił miejsca wściekłości połączonej z niedowierzaniem. Tylko dłoń Homera, która szybko wylądowała na moim kolanie, powstrzymała mnie od odpowiedzi. Piękniejsza płeć? Żarciki w nieodpowiednim momencie? Jezu, przecież ja się tylko roześmiałam.

Nie słuchałam dalszej części przemówienia. Siedziałam i kipiałam ze złości, dopóki nie zjawił się zastępca, kapitan Killen. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że major nie zapytał nawet, jak się nazywamy.

Kapitan wydawał się raczej nieszkodliwy: wysoki, chudy mężczyzna o łagodnym głosie. Miał duże jabłko Adama, które podskakiwało podczas mówienia, i bez przerwy mrugał. Okazało się jednak, że nie jest zbyt wylewny. Na chwilę zatrzymał się z nami przed namiotem majora Harveya, żeby wyjaśnić plan obozowiska, a potem oznajmił, że pokaże nam nasze kwatery. Znowu poprowadził nas przez polanę, ku jej zachodniemu krańcowi, i zatrzymał się przed innym dużym namiotem.

- Dwaj chłopcy - powiedział, wskazując wejście.

Homer i Lee zawahali się i spojrzeli na nas. Homer uniósł brwi, przewrócił oczami i zniknął w środku. Lee, jak zwykle niewzruszony, poszedł za nim. Kapitan Killen już się oddalał, więc szybko pobiegliśmy za nim. Lawirowaliśmy wśród namiotów, przeskakując nad linkami. Za nimi ciągnęło się ogrodzenie z chrustu, sklecone niezbyt starannie, ale wysokie na blisko metr, a jeszcze dalej stały kolejne namioty, wszystkie w kolorze zielonym.

Kapitan zatrzymał się i zawołał:

- Pani Hauff!

W jego ustach to nazwisko zabrzmiało jak kaszlnięcie. Z pierwszego namiotu wyszła pani Hauff. Była dużą kobietą, mniej więcej pięćdziesięcioletnią i mocno umalowaną. Miała na sobie czarny sweter i niebieskie dzinsy. Spojrzała na nas mniej więcej tak, jak sprzedawczyni w sklepie spogląda na klienta, który przyszedł zwrócić koszulkę.

- Więc to dla was muszę znaleźć jakieś miejsce? - zapytała. - No dobrze, chodźcie. Dziękuję, Brianie - zwróciła się do kapitana Killena, który skinął głową i obrócił się na pięcie.

Nerwowo ruszyliśmy za panią Hauff. Ulokowała nas w osobnych namiotach, mnie i Fi po sąsiedzku, ale Robyn osiemdziesiąt metrów dalej. W moim namiocie leżał już czyjś

śpiwór.

- Nie mieliśmy tu jeszcze dziewczyn w waszym wieku - powiedziała pani Hauff, kiedy już pokazała nam namioty - I nie chcemy żadnych wygłupów. Sama wychowałam trzy córki i wiem, jak to jest. Będziecie nosły swój ciężar tak samo jak pozostali. Nie liczcie na taryfę ulgową.

Ci wszyscy dorośli tak mnie przygnębili, że nic nie odpowiedziałam. Wgramoliłam się do namiotu, wpychając najpierw plecak. Marzyłam tylko o tym, żeby się wyspać. Przesunęłam śpiwór, który leżał w środku, a potem wyjęłam swój i rozłożyłam go z prawej strony. Wepchnęłam do koszuli trochę ubrań, żeby zrobić poduszkę, i położyłam się powolutku jak zmęczona staruszka cierpiąca na artretyzm. Przez kilka minut byłam zbyt zmęczona, żeby o czymkolwiek myśleć. Patrzyłam na zielone światło przenikające przez materiał namiotu. Dzień dobiegał końca i kiedy tak leżałam, światło szybko się zmieniało, nabierając ciemniejszego, przygaszonego odcienia. Ktoś przeszedł obok namiotu i po ścianie przemknął wielki, zniekształcony cień. Skuliłam się, przypominając sobie o cieniu, który przylgnął do mnie po tym, jak zastrzeliłam żołnierza. Kiedy mój umysł zaczął się uspokajać, zapytałam siebie, co o tym wszystkim myślę, co czuję. Powoli zdałam sobie sprawę, że czuję ulgę. Nie obchodziło mnie, jak głupi są ci ludzie, jak śmieszni i uprzedzeni. Byli dorośli, brali na siebie wszystkie zmartwienia i podejmowali wszystkie decyzje. Mogłam to zostawić w ich rękach. Nie musiałam już dłużej zmagać się z okropnymi dylematami. Wystarczyło po prostu zrobić to, co mi każą: być grzeczną dziewczynką, siedzieć cicho i odpoczywać.

Potem zamknęłam oczy i z radością powitałam upragniony sen.

Obudził mnie jakiś ruch w namiocie. Gwałtownie, choć z pewnym oporem, otworzyłam oczy. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć cokolwiek oprócz niewyraźnego zarysu postaci, która zbierała porozrzucane rzeczy: buty, przybory toaletowe, mój plecak.

- Przepraszam - powiedziałam i zaspana sięgnęłam po dzinsy.

Dziewczyna nawet na mnie nie spojrzała. Powiedziała tylko:

- Jeśli chcesz zostać w tym namiocie, będziesz musiała bardziej dbać o porządek.

- Przepraszam - powtórzyłam.

Wydawała się starsza ode mnie i najwyraźniej była wkurzona, ale pewnie po prostu nie zachwycała jej perspektywa dzielenia małego namiotu z obcą osobą.

Leżałam i przyglądałam się jej, aż w końcu moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Układała wszystko w zgrabne rzędkę. Zdjęła dzinsy, złożyła je i położyła równo w nogach śpiwora. Jezu, pomyślałam, będę musiała bardziej się postarać. Te wszystkie tygodnie bez mamy zrobiły ze mnie bałaganiarę.

Znowu zasnęłam i obudziłam się rano. Na zewnątrz było zimno, ale mimo to wstałam i szybko się ubrałam, z nadzieją, że uda mi się zachować jak najwięcej ciepła. Wkładając ubranie, zerkalam w stronę dziewczyny w drugim śpiworze. W słabym świetle poranka trudno było dojrzeć rysy jej twarzy. Miała rude włosy, które od razu przypomniały mi o Corrie, ale poza tym te dwie dziewczyny nie miały żadnych cech wspólnych. Ta wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat, miała małe, wąskie usta, zaciśnięte nawet we śnie. Zauważyłam tusz do rzęs albo jego pozostałości - możliwe, że były to tylko cienie pod zmęczonymi oczami, ale raczej nie. Pomysł robienia makijażu w lesie nadal mnie zadziwiał. Najpierw pani Hauff, a teraz moja współlokatorka. Od dawna nie widziałam umalowanej kobiety i nawet nie myślałam o makijażu. Natomiast to miejsce przypominało salon piękności.

Zostawiłam śpiącą dziewczynę w namiocie i wyskoczyłam na zewnątrz, by dokończyć wkładanie butów na zimnym, mokrym pniu. Trzeba było się namęczyć, żeby wsunąć je na nogi, ale kiedy już się tam znalazły, okazywały się bardzo wygodne. Dlatego warto było się posiłować o poranku. Zawiązałam sznurówki i poszłam na spacer wokół obozowiska, omijając ogrodzenie z chrustu i linki namiotów. W oddali zauważyłam namiot majora Harveya i obserwując go zza drzew, dostrzegłam również jego lokatora, który w mundurze siedział przy stoliku pochylony nad stertą papierów i uważnie je czytał. Nie zauważył mnie. Ruszyłam między drzewami w kierunku nieco jaśniejszej części polany. Byłam ciekawa, co jest za zaroślami, chciałam jeszcze raz spojrzeć na dolinę Holloway. Pokonałam sto metrów, ale choć jasne światło stwarzało wrażenie, że lada chwila wyjdę z lasu na otwartą przestrzeń, nic takiego się nie stało. Wszędzie rosły drzewa, gęste jak nigdzie indziej. Dziesięć minut później stanęłam i rozejrzałam się. Chwilami las przypominał ocean, z każdej strony wyglądał tak samo. Może gdybym miała lepszy węch, zauważałabym więcej różnic. Charakterystyczny zapach ziemi przesyconej wilgocią i roślinnością, ciężką woń mgły, delikatną eukaliptusową nutę. Wiedziałam, że każde drzewo i każde miejsce pachnie inaczej, ale chyba nigdy nie miałam czasu ani cierpliwości, żeby się nad tym zastanowić. Z nagłym zaciekawieniem padłam na czworaka i zaczęłam obwąchiwać stertę mokrych liści. Czułam się jak wombat. Zastanawiałam się, czy przypadkiem się w niego nie zmieniam. Przebiegłam kilka metrów na czworaka, próbując naśladować rytmiczny krok wombata w akcji. Zanurzyłam twarz w następnej stercie mokrych brązowych i czarnych liści.

Za moimi plecami rozległo się chrząknięcie, które bez wątplenia wydobyło się z ust człowieka.

To był Lee.

Jasne, zrobiło mi się głupio, ale jestem przekonana, że ludzie bez przerwy robią takie

rzeczy, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. No, może nie udają wombatów. Może nie obwąchują gnijących liści. No dobra, może w ogóle niczego takiego nie robią.

Usiedliśmy na pniu i Lee objął mnie silnym szczupłym ramieniem.

- Czego tam szukałeś? - zapytał, próbując powstrzymać śmiech.

- Oj, tego co zwykle. Korzonków, kiełków i liści. A ty szukałeś mnie?

- Nie, jesteś bonusem. Chciałem się na chwilę stamtąd wyrwać i pomyśleć. Dobrze się myśli tak wcześnie rano, prawda?

- Jasne, pod warunkiem że zdołasz się zmusić, żeby wstać.

Patrzyliśmy, jak światło robi się coraz jaśniejsze, a ziemia suchsza.

- Co myślisz o tych ludziach? - zapytałam.

- Ha! Niektórzy z nich są dziwni! Wczoraj wieczorem przez dwie godziny zabawiali mnie opowieściami o swoich bohaterskich czynach. Wygląda na to, że największą przyjemność sprawiło im podpalenie zepsutej ciężarówki. Widzieli, jak żołnierze ją zostawiają i odjeżdżają pikapem, więc w skali od zera do stu groziło im niebezpieczeństwo o wartości dwa.

- Powiedziałaś im, co zrobiliśmy?

- Nie, chcieli gadać tylko o sobie, więc siedziałem i słuchałem. Homer okazał się sprytniejszy: poszedł spać. Nie wiem, dlaczego nie wziąłem z niego przykładu. Chyba po prostu nie miałem siły.

- Dwie kobiety miały makijaż.

- Tak, zauważyłem.

- Chyba życie po tej stronie gór wygląda inaczej niż w Wirrawee, gdzie wszystko jest tak ściśle kontrolowane. Jak powiedział major Harvey, nie jest to żaden ważny strategicznie obszar. Więc Bohaterowie Harveya nie musieli chyba wykazywać się wielkim bohaterstwem.

- Bohaterowie Harveya! Ale drętwa nazwa.

- Jeszcze jak.

- Kim w takim razie jesteśmy my? Bohaterami Homera?

Godzinę później wróciliśmy do obozu i wpakowaliśmy się w tarapaty. Gdy tylko wynurzyliśmy się z lasu, podeszła do nas moja współlokatorka. Nawet nie spojrzała na Lee, skupiła się na mnie.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała. - I dlaczego byłaś z nim?

- Z nim? Masz na myśli Lee?

- Słuchaj, lepiej coś sobie wyjaśnijmy. Nie wolno wychodzić z obozu bez pozwolenia. Nie wolno wchodzić do obozu mężczyzn. Z mężczyznami można się widywać tylko przy

ognisku i w części stołówkowej. Poza tym mamy tu sporo pracy i powinnaś nam pomagać.

- Przepraszam - powiedziałam sztywno. - Nikt mi o tym nie mówił.

Wiedziałałam, że zachowuję się jak mięczak, ale nie miałam siły postawić się tej dziewczynie. Dla mnie walka dobiegła końca. Wojna zniknęła w chwili, w której otoczyli nas dorośli. Znowu czułam się jak ośmiolatka. Nic dziwnego. Przez jakiś czas pracowaliśmy ponad siły. W końcu mogłam zwolnić obroty. Chciałam jedynie zaszyć się w jakiejś kryjówce i już z niej nie wychodzić. Dlatego nie miałam nic przeciwko kilku kompromisom, byleby tylko zostać wśród tych ludzi. A już z pewnością nie chciałam z nimi zadzierać. Mrugnęłam porozumiewawczo do Lee i poszłam za dziewczyną do kuchni, gdzie rzuciła mi ścierkę do naczyń. Wyglądało na to, że ominęło mnie śniadanie. Widok resztek jedzenia unoszących się w tłustej szarej wodzie przyprawił mnie o mdłości. Mimo to bez narzekania wytarłam talerze, a potem rozwiesiłam ścierki na sznurku za namiotem. Potem poszłam poszukać pozostałych.

9

Dwa dni później wzięliśmy udział w naradzie zwołanej przez majora Harveya. Siedziałam z tyłu, oddzielona od Fi przez moją współlokatorkę Sharyn i współlokatorkę Fi Davinę. Robyn siedziała dwa rzędy przede mną, a chłopcy zajęli miejsca z przodu. Wszyscy mężczyźni byli z przodu, a kobiety z tyłu. Major Harvey wszedł na pieńki. Po jego prawej stronie stanął kapitan Killen, a po lewej pani Hauff.

W ciągu ostatnich dwóch dni wszystkie moje rozmowy z czworgiem przyjaciół były krótkie i nienaturalne. Wzbudziło w nas poczucie, że rozmawiając z sobą, robimy coś złego. Miałam wrażenie, że Sharyn wisi nade mną całymi dniami. Czułam się, jakbym była spadochroniarzem, a ona moim spadochronem. Trochę mnie to wkurzało, ale jednocześnie było uzależniające. Zwracałam się do niej w każdej najdrobniejszej sprawie. „Sharyn, myślisz, że powinnam spać z głową zwróconą w tę czy w tamtą stronę?”, „Czy te dzinsy wymagają prania?”, „Sharyn, czy mam włożyć ziemniaki do niebieskiej miski?”.

Sharyn była dużą dziewczyną i zawsze nosiła czarne zbyt obcisłe dzinsy. Jak spora część kobiet w obozie, miała na twarzy grubą warstwę makijażu. Próbowала mnie namówić, żebym też się malowała, ale jakoś nie mogłam się do tego zmusić. W takim otoczeniu makijaż wydawał mi się zbyt nienaturalny, nieodpowiedni.

Jedyną decyzją, jaką podjęliśmy z Homerem po krótkiej rozmowie z pozostałą trójką drugiego wieczoru, dotyczyła tego, że nazajutrz pójdziemy we dwoje po Chrisa. Niespełna godzinę po podjęciu tej decyzji natknęłam się na majora Harveya, który lawirował między drzewami, idąc w stronę swojego namiotu. Pomyślałam, że warto z nim porozmawiać o naszych zamiarach.

- Przepraszam, majorze Harvey - zagadnęłam go. - Czy mogłabym się z panem zobaczyć?

- Mam wrażenie, że właśnie mnie widzisz.

- Słucham?

- Przecież właśnie na mnie patrzysz, więc zakładam, że się ze mną widzisz. A może jest ciemniej, niż mi się zdaje.

Zacisnęłam zęby. Zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem, a potem znowu odwrócił wzrok.

- Czy w takim razie mogłabym z panem chwilę porozmawiać?

- Proszę bardzo.

- Chodzi o to, że ukrywał się z nami jeszcze jeden przyjaciel, Chris, którego zostawiliśmy w obozie. Pomyśleliśmy, że jutro rano mogłabym pójść z Homerem i go tu sprowadzić. To nie powinno zająć dużo czasu. Wrócimy przed podwieczorkiem.

Nastąpiła długa cisza. Nagle odniosłam wrażenie, że rzeczywiście zrobiło się ciemniej. Nie widziałam już rysów twarzy majora: wyglądał, jakby zamiast oczu miał tylko małe czarne oczodoły.

W końcu się odezwał, ale nie był zbyt rozmowny. Powiedział tylko: „Za mną”, a potem obrócił się na pięcie i szybko odszedł. Ruszyłam za nim do namiotu, a potem stanęłam naprzeciwko biurka i czekałam, aż usadowi się na krześle i zapali świecę. Nie poprosił, żebym usiadła. Migotliwe światło sprawiło, że na jego twarzy zatańczyły cienie. Od czasu do czasu, kiedy lekko przechylał głowę, widziałam błysk w jego oczach, ale w zasadzie siedział nieruchomo.

Przemówił, dopiero kiedy płomień świecy się wyprostował.

- Co wam powiedziałem dokładnie w tym miejscu zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu?

- Hmm, powiedział pan, że sytuacja nie wygląda tu aż tak źle jak w Wirrawee i że wysadziliście w powietrze jakieś elektrownie, i że panują tu wojskowe zasady, i... - nagle zdałam sobie sprawę, dlaczego major tak się zdenerwował - i że to operacja wojskowa.

- Właśnie. Operacja wojskowa. A co to oznacza w praktyce?

- To oznacza, że musimy słuchać rozkazów i tak dalej.

- Właśnie - podniósł głos. - Wiesz, co jest nie tak z tym krajem? Wiesz, dlaczego nas zaatakowano?

Poruszył się. Wsunął głowę jak wąż, który usłyszał jakiś groźny hałas.

- Powiem ci, co jest nie tak z tym krajem. Staliśmy się niedbali, staliśmy się miękcy, zapomnieliśmy o zasadach. Moim zdaniem, najeżdżając na nas, ci ludzie wyświadczyli nam przysługę. Możemy się od nich wiele nauczyć. Tworzą zdyscyplinowaną, zorganizowaną siłę dobrze dowodzonych żołnierzy. Nie usłyszysz od nich słowa na temat porozumienia. Nie usłyszysz od nich słowa o „prawach jednostki” ani o „wolności osobistej”. Oni nazywają rzeczy po imieniu. Gdybyśmy potrafili wzmocnić kręgosłup tego kraju, stworzylibyśmy naród, z którego można być dumnym, a nie bandę narzekających wygodnisiów.

Świeca buchnęła jasnym płomieniem, który na chwilę ukazał ponurą złość malującą się na twarzy majora.

- Powiem ci, czego nam tu trzeba. Powiem ci, czego trzeba ludziom - jeszcze bardziej podniósł głos, a ja stałam jak wmurowana. - Trzeba im silnego przywództwa, liderów, których mogą szanować. Których mogą podziwiać. Wiele lat temu ten kraj obrał zły kierunek, a teraz nastał czas, żeby wszystko naprawić!

Jasne, pomyślałam, skoro tak twierdzisz. Powoli zaczęłam się wycofywać.

Major rozparł się na krześle i sięgnął po stertę kartek.

- No - powiedział, nadając głosowi spokojny, rozsądny ton. - Jestem gotowy rozpatrzyć wasz wniosek. Zakładam, że wasz młody przyjaciel ma odpowiednią ilość pożywienia i jest dobrze ukryty.

- O tak.

- Więc nie ma wielkiego pośpiechu?

- Po prostu nie chcemy, żeby zbyt długo siedział tam sam, to wszystko.

- Powinniście byli o tym pomyśleć, zanim ruszyliście w drogę. Wy, którzy podejmujecie decyzje bez zastanowienia, musicie się jeszcze wiele nauczyć. Złóżcie pisemny wniosek o pozwolenie na powrót do obozowiska i sprowadzenie tu tego chłopca. Dołączcie szczegółową mapę, szacunkową ilość potrzebnego czasu oraz listę ekwipunku i personelu. To wszystko. Odmaszerować.

Wyszłam roztrzęsiona. To było ponad moje siły. Jeszcze bardziej niepokoiła mnie ulga, którą poczułam, kiedy major pokrzyżował nam plany. Wiedziałam, że musimy wrócić po Chrisa, ale wybierałam się po niego tylko i wyłącznie z poczucia obowiązku. W głębi serca nie czułam żadnego entuzjazmu ani na myśl o mozolnej przeprawie, ani na myśl o towarzystwie Chrisa. Miałam z tego powodu ogromne poczucie winy, bo wiedziałam, jak bym się czuła, gdybym to ja została sama w obozowisku, i wiedziałam, jak ważne jest to, żeby nasza szóstka trzymała się razem. Zależało od tego mnóstwo spraw.

Następnego dnia rano, przed naradą, miałam następne niemiłe spotkanie z majorem. Sharyn dała mi wiadro ze środkami czystości i kazała posprzątać w jego namiocie. Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że to wszystko było ukartowane, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Rozgoryczona powlekłam się do namiotu majora. Myślałam o Bohaterach Harveya. Ich problem polegał na udawaniu, że nie ma żadnej wojny. Pod wojskowymi przebraniami kryła się grupka zwyczajnych mieszczuchów w średnim wieku, którzy usiłowali żyć w lesie dokładnie tak samo, jak wcześniej w swoich ładnych ceglanych albo fornirowanych domach w Risdon. Plotkowali, wymieniali się ciekawostkami ogrodniczymi i rozmawiali o dzieciach. Sprzątali, gotowali albo krzatali się w obozie, wykonując różne dziwne prace. Dzień wcześniej jeden z nich zapytał, czy gram w brydża.

Jedynie major Harvey był inny. Napędzała go jakaś żądza, której inni nie czuli. Myślę, że delectował się władzą, ale jednocześnie nie mógł znieść tego, że jego podwładni nie są zaprawionymi w boju oddziałami, które mógłby rzucić na pole jakiejś wielkiej bitwy.

Snując takie myśli, zaczęłam sprzątać. Czułam gorycz i wrogość. Ścieranie kurzu i zamiatanie wydawało się zupełnie nie na miejscu. Poza tym czułam się upokorzona tym, że ja - Ellie, która wysadza w powietrze mosty - stałam się dziewczyną na posyłki u tej kurdupłowatej imitacji Hitlera. Zamaszystymi ruchami wymiotłam liście, które przygnał wiatr, zdjęłam pajęczynę wiszącą w lewym rogu namiotu i wypolerowałam dwa krzesła naprzeciw stolika. Na posłanie nawet nie spojrzałam. Nie miałam zamiaru go dotykać.

Okrzyżłam stolik, żeby posprzątać po drugiej stronie. Zobaczyłam plik kartek. Na wierzchu leżała szara teczka z napisem: „Poufne”. Nie wahałam się ani chwili. W zasadzie nie kierowała mną ciekawość, lecz zwyczajna pewność, że w środku znajdę coś śmiesznego. Pierwsza kartka formatu A4 nosiła tytuł „Raport z ataku na elektrownię” i była pokryta drobnym pismem. Pochyliłam się, żeby lepiej widzieć, ale gdy tylko zaczęłam czytać pierwsze zdanie, poczułam czyjąś obecność. Szybko podniosłam wzrok. Przy wejściu stał major z głową przechyloną w prawo i mierzył mnie wściekłym spojrzeniem ciemnych oczu.

Oczywiście nie mogłam się z tego wyłgać. Od razu było widać, że postąpiłam źle, a przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. Poza tym zdążyłam się już przekonać, że major nie ma poczucia humoru, więc nie było sensu obracać tego w żart.

- Przepraszam - powiedziałam skruszonym tonem. - Tylko spojrzałam.

Splótnął ręce na piersi, ale nie odpowiedział. Miał taki wnerwiający zwyczaj. Czułam, że jestem czerwona, ale nie mogłam na to nic poradzić. W końcu wzruszyłam ramionami, odwróciłam się w stronę stolika i zaczęłam go polerować. Dopiero wtedy major się odezwał:

- Widzę, że niczego nie zapamiętałaś z naszej wczorajszej rozmowy.

Nie odpowiedziałam. Szorowałam dalej.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć o dyscyplinie, młoda damo.

Nie przestawałam szorować.

- Zostaw to. Wracaj do pani Hauff. Nie chcę cię więcej widzieć w tym namiocie.

Szczypały mnie policzki. Zabrałam sprzęt i ruszyłam w stronę wyjścia. Napotkałam jednak pewien problem. Major Harvey zagradzał mi drogę i nic nie wskazywało na to, by zamierzał się odsunąć. A ja nie miałam najmniejszych szans, żeby się obok niego precisnąć. Dlatego stałam i czekałam. Po chwili lekko się odsunął i zastygł w bezruchu z rękami splecionymi na piersi. Najwidoczniej było to jedyne ustępstwo, na jakie mogłam liczyć, więc precisnęłam się obok niego i wyszłam na świeże powietrze, nie patrząc na niego już więcej.

Wracając do Sharyn, poczułam ulgę. Bywała szorstka, lubiła się rządzić i miała trudny charakter, ale nie budziła we mnie strachu. Nie była złym człowiekiem.

Po południu nie miałam czasu, żeby napisać wniosek o pozwolenie na wyprawę po Chrisa, a kiedy powiedziałam o tym Homerowi, poradził, żeby poczekać do następnego dnia, kiedy Harvey trochę się uspokoi. Dlatego zamiast pisać, poszłam na naradę.

Narada u majora Harveya w niczym nie przypominała naszych narad w Piekło. Składała się wyłącznie z długiego przemówienia majora. Pierwsza część była poświęcona zagrożeniu, w obliczu którego stanął nasz kraj, i potrzebie odwagi.

- Nastają okropne czasy - powiedział. - Podobnie jak wielu odważnych ludzi przed nami musimy bronić naszych wybrzeży, naszego dobytku oraz naszych kobiet i dzieci.

Kiedy to powiedział, poczułam, że znowu robię się czerwona na całej twarzy, tak jak w chwilach, kiedy jestem naprawdę wkurzona. Tym razem facet przegiął. Najwidoczniej mówiąc o odważnych ludziach, miał na myśli wyłącznie mężczyzn. Głośno przełknęłam ślinę i wypuściłam powietrze przez nos. Może to była kolejna lekcja dyscypliny przeznaczona dla mnie. Major Harvey dodał kilka słów o patriotyzmie, a potem sięgnął do historii.

- Tacy ludzie jak Winston Churchill zmienili bieg dziejów. Oczywiście nigdy nie śmiałybym przyrównywać się do Winstona Churchilla. Zrobię jednak, co w mojej mocy, żeby was poprowadzić. Możecie być pewni, że was nie zawiodę.

Przeszedł do drugiej części przemówienia poświęconej działaniom wojskowym. Taki temat bardziej mnie interesował. Miałam dość sprzątnia.

- Niedługo zadamy wrogowi następny cios - oznajmił major Harvey. - Później omówię szczegóły z częścią z was. Wraz z kapitanem Killenem wyznaczaliśmy kilka ważnych celów strategicznych. Jak wiecie, mamy bardzo mało ludzi i broni, a walczymy z wrogiem, który jest doskonale wyszkolony i dobrze wyposażony. Dlatego musimy działać z najwyższą ostrożnością. Mimo rozlicznych problemów zadaliśmy siłom wroga wiele strat, a choć jesteśmy zaledwie garstką dzielnych Bohaterów Harveya, mamy w tej wojnie ogromne zasługi. Naprawdę możemy być z siebie dumni. Jak wiecie, wskutek naszych działań uległy zniszczeniu dwie elektrownie i kilka pojazdów.

Większość przemówienia, które przez następne dwadzieścia minut w zasadzie kręciło się wokół jednego tematu, przypominała uwagi wygłoszone przez majora Harveya po naszym przybyciu do obozu. Trudno było mi się skupić. Ciągle miałam *déjà vu*, które sięgało daleko w przeszłość, do czasów sprzed inwazji, więc skupiałam się na odnalezieniu jego źródła. Zajęło mi to dobre pięć minut, ale w końcu zrozumiałam: to był szkolny apel.

Major Harvey przeszedł do trzeciej i ostatniej części przemówienia:

- Po raz kolejny pragnę podziękować pani Hauff i grupce jej pomocnic. Obóz nadal jest w nienagannym stanie, a posiłki są podawane o czasie i prezentują się wspaniale. Jak powiedział Napoleon: „Armia maszeruje na brzuchu”, a obecne wysokie morale Bohaterów Harveya to w niemałym stopniu zasługa dziewcząt pani Hauff.

Twarz pani Hauff nawet nie drgnęła, ale zauważyłam, że przez jej ogromne ciało przetoczyła się fala zadowolenia. Nadal byłam wściekła. Nie widziałam, żeby którykolwiek z mężczyzn sprzątał albo gotował. Ja od dwóch dni nie robiłam prawie nic innego: szorowałam garnki i patelnie, prałam pościel - to niełatwe zadanie, jeśli ma się tylko zimną wodę - i cerowałam skarpetki. Faceci zajmowali się męskimi sprawami: kopali rowy, zbierali drewno na opał i budowali małą drewnianą chatkę, która miała być nową siedzibą majora Harveya. Najbardziej dziwiło mnie to, że taki układ najwyraźniej wszystkim odpowiadał. W każdym razie wszystkim oprócz naszej piątki, chociaż nie miałam pewności co do Homera. Gdyby nie to, że w Piekło ciągle siedziałam mu na karku, wieczorami wkładałby pewnie kapcie i siadał przed ogniskiem, czekając, aż go obsłużymy.

- Na koniec - powiedział major Harvey - chcielibyśmy powitać pięcioro nowych rekrutów. To miło, że dołączyli do nas młodzi ludzie, i jestem pewien, że już wkrótce przyzwyczają się do dyscypliny związanej z operacją wojskową. Jak wielokrotnie powtarzałem starszym członkom Bohaterów Harveya: „Kiedy każą ci skakać, pytaj tylko, jak wysoko”.

Mówiąc to, wyszczerzył zęby w uśmiechu i spojrzał prosto na mnie, jakby sam wymyślił ten tekst. Najwidoczniej był już w lepszym humorze, więc odpowiedziałam mu słabym uśmiechem.

Zebranie dobiegło końca. Wracałam razem z mniej więcej trzydziestoletnią brązowowłosą kobietą przeciętnej urody. Bez względu na to, co akurat robiła, zawsze wydawała się zmęczona i wnerwiona. Miała na imię Olive. Sharyn odprowadziła nas wzrokiem, ale nie próbowała się przyłączyć. Chyba uznała, że z Olive jestem bezpieczna. Ja jednak postanowiłam zaryzykować i trochę się ponabijać.

- Zastanawiałam się, z czym mi się kojarzy to zebranie - powiedziałam. - I już wiem. Czuję się jak na szkolnym apelu.

Roześmiała się, ale szybko zamilkła z wyraźnym poczuciem winy.

- Chcesz powiedzieć, że już wiesz, czym zajmował się major Harvey przed inwazją? - zapytała.

- Nie. A nie był żołnierzem?

Znowu się roześmiała.

- Chyba żartujesz. Był zastępcą dyrektora liceum w Risdon.

- Aha! - poczułam się oszukana. Przez cały czas myślałam, że był jakąś supergwiazdą w wojsku. - W takim razie skąd tyle wie o armii?

- A to on coś wie o armii? Ta ekipa ma tyle wspólnego z wojskiem co kręgielnia. Harvey odsłużył półtora roku w Armii Rezerwowej. Chyba na tym się skończyło.

- A te opowieści o wysadzaniu w powietrze elektrowni i pojazdów wroga?

- Tak, opowieści. Krąży ich tu mnóstwo.

- To tylko gadanina?

Wzruszyła ramionami.

- No wiesz, jasne, wysadzili dwie elektrownie. Jedna zaopatrywała w energię południową część Risdon, a druga była centralą telefoniczną Duckling Flat. Nie znalazłabyś tam wtedy wrogiego żołnierza w promieniu dziesięciu kilometrów. Żadna z tych elektrowni nie miała reaktora jądrowego. Jedna była wielkości wychodka, a druga niewiele większa.

- A pojazdy? Co z wysadzonymi pojazdami?

- Pierwszym był porzucony i popsuty transporter opancerzony. Podpalili go. Wydaje im się, że zasłużyli tym na złote medale. Reszta ataków na pojazdy była taka sama. Po prostu szukają popsutych ciężarówek i porzuconych samochodów, a potem je podpalają.

- Nie do wiary!

Naprawdę byłam wstrząśnięta i wkurzona. Podejmowaliśmy tak wielkie ryzyko, dokonaliśmy tylu zniszczeń i przeszliśmy tyle okropnych chwil, a tymczasem te tłuste kurduple i wymalowane paniusie siedzieli na tyłkach i słodzili sobie nawzajem, pasąc się własnym samozadowoleniem. Na dodatek major Harvey traktował mnie tak, jakbym była czymś w rodzaju psiej kupy na jego nowym dywanie. A przecież zrobiłam dziesięć razy więcej niż on! Jak on śmiał?!

Ruszyłam na poszukiwanie Robyn i Fi, żeby im o tym powiedzieć, ale były z obstawą. Potem zauważyła mnie Sharyn i zaciągnęła do kuchni, żebym obrała ziemniaki. Kiedy człowiek jest wściekły, obieranie ziemniaków to kiepski pomysł. Gdy obierałam trzeci, głęboko zacięłam się w lewy kciuk i mocno krwawiłam, co tylko jeszcze bardziej mnie rozżłościło. Przyszła Olive i zabandażowała ranę. Powiedziała, że jest pielęgniarką, i rzeczywiście spisała się fachowo.

Zanim zdążyłam porozmawiać z pozostałymi, atmosfera w obozie uległa gwałtownej zmianie. Kiedy pokazywałam Sharyn, jak zrobić stojak do suszenia naczyń, obok zmywaka przeszły grupki mężczyzn. Sharyn bez słowa odłożyła drążek, który trzymała w ręku, i ruszyła za nimi. Ja też rzuciłam deski na ziemię i powlekłam się w tę samą stronę. Nikt się nie

odzywał, ale wyczuwało się nerwowe podniecenie. Wszyscy maszerowali lekko pochyleni do przodu, jakby dzięki temu mieli szybciej dotrzeć do celu. Zauważyłam, że wielu mężczyzn ma przy sobie karabiny. Byli znacznie lepiej uzbrojeni niż my.

Znowu zgromadziliśmy się w miejscu, gdzie wcześniej było zebranie. Tym razem na pieńku stanął kapitan Killen. Zastanawiałam się, kim był przed inwazją - księgowym? Nigdzie nie było widać majora Harveya.

- Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia operacji „Zjawa” - oznajmił oschłym tonem.

Ledwie go słyszałam, chociaż stałam zaledwie dwadzieścia pięć metrów od niego.

- W akcji weźmie udział tylko kilku mężczyzn, ale ci, którzy chcieliby się jej przyglądać, mogą śledzić działania z punktu obserwacyjnego na dukuie nad drogą Cannamulla.

Widownia!

Miałam ochotę zapytać, po ile są bilety. Zostało mi jednak wystarczająco oleju w głowie, żeby siedzieć cicho. Popatrzyłam na Homera, żeby wymienić porozumiewawcze spojrzenia, ale on wpatrywał się z kamienną twarzą w kapitana Killena i w ogóle się nie rozglądał.

- Operacja „Zjawa” uderzy wroga w czuły punkt - ciągnął kapitan Killen. - Tam, gdzie najbardziej go zaboli. To będzie największa akcja Bohaterów Harveya i najważniejszy cel wojskowy, jaki dotychczas zaatakowaliśmy. Do udziału w misji wyznaczyliśmy następujące osoby: Olsena, Allisona, Babbage’a...

W sumie wymienił dwanaście nazwisk. Najwidoczniej tak wyglądała mała grupka w pojęciu kapitana Killena. Nie było w niej ani Homera, ani Lee, co bardzo mnie ucieszyło. Robyn, Fi i ja nie miałyśmy najmniejszych szans. U Bohaterów Harveya dziewczyny się nie liczyły, chyba że chodziło o gotowanie albo sprzątanie. Nie zawahałam się jednak, kiedy Sharyn zapytała, czy chcę iść popatrzeć. Pomysł z widownią wydawał mi się komiczny, ale Sharyn i inni wcale się nie śmiali. Gdy zaczęły się przygotowania, w obozie zapanowała atmosfera powagi i skupienia. Jasne, że sprawa jest poważna, upomniałam się ze złością - każdy kontakt z wrogiem był poważną sprawą - ale wołałabym, żeby przestali się zachowywać jak bohaterowie amerykańskiego filmu wojennego. Wszystko robili inaczej niż my. Nasze krwawe starcia z wrogiem zaczynały przypominać odrealnione koszmary - z trudem mogłam uwierzyć, że naprawdę robiliśmy te wszystkie rzeczy.

Najwidoczniej jedyne zadanie widzów polegało na tym, by kapitan Killen i pozostali bohaterowie poczuli się dzielni i ważni. Ale wcale mi to nie przeszkadzało. Doszłam do wniosku, że obejrzenie tej akcji wcale nie oznacza, że od razu uznam tych gości za

bohaterów. Dlatego dołączyłam do grupy z nadzieją, że nie zostanę zauważona przez majora Harveya, który każe mi zawrócić. Było nas mniej więcej piętnastoro, w tym Fi, Robyn, Homer i Lee. Przed wyjściem z obozu musieliśmy oczywiście wysłuchać wielkiego kazania kapitana Killena.

- A teraz - zaczął, mierząc nas surowym spojrzeniem, jakbyśmy szli na szkolną wycieczkę do muzeum pełnego drogiej porcelany - chcę wyraźnie zaznaczyć, że wyruszamy na misję. Ci z was, którzy mają okazję nam towarzyszyć, muszą zrozumieć, że należy bezzwłocznie wykonywać rozkazy. Należy być cicho, nie wchodzić nam w drogę i ograniczyć rozmowy do minimum. Cały czas pozostawajcie w ukryciu. Do was, dzieciaki - z wściekłością zdałam sobie sprawę, że ma na myśli nas - zwracam się w szczególności: nie chcę słyszeć ani słowa z waszych ust. Nie przeszkadzajcie nam i zachowujcie się, jak należy.

Nie wiem, czego się obawiał - że zaczniemy się bawić w chowanego albo śpiewać skautowskie piosenki? Tym razem nie odważyłam się spojrzeć na Homera. Pewnie był o krok od wybuchu.

Czekałam, aż zjawi się major Harvey, ale po chwili pozostali ruszyli w drogę i musiałam ich dogonić. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że major z nami nie idzie. Byłam tak wściekła, że aż zgrzytałam zębami. Wołałam się powstrzymać od głośnych komentarzy. Też mi przywódca! Pogardałam nim. Potrafił tylko gadać.

Na czele dwunastu partyzantów maszerował kapitan Killen. Po jakimś czasie odłączyli się od nas i ruszyli wyschniętym korytem strumienia, które wiodło ich prosto w dół wzgórza.

Naszym dowódcą był poważnie wyglądający starszy mężczyzna w okularach. Miał na imię Terry. Nie odezwał się słowem, ale wyglądało na to, że wie, co robi. Poprowadził nas po grzbiecie wzgórza, między drzewami. Miałam nadzieję, że dobrze zna drogę, bo wracać mieliśmy już po ciemku. Szłam z Fi i jej opiekunką Daviną. Tuż przed nami szła Olive, a Robyn maszerowała z tyłu razem ze swoją współlokatorką. Nie było z nami Sharyn. Nie należała do fanek wysiłku fizycznego. Homer i Lee szli z przodu, za Terryem.

Maszerowaliśmy mniej więcej godzinę. Kiedy minęła mi złość, zrobiło się całkiem przyjemnie. Lubię las i ruch na świeżym powietrzu. Miałam już dość snucia się całymi dniami po obozie z Sharyn w roli najczęstszej towarzyszki. Nie czułam żadnego zagrożenia, więc strach nie psuł mi humoru. Wcześniej kapitan Killen powiedział, że będziemy daleko od miejsca akcji, a po rozmowie z Olive byłam przekonana, że kontakt z wrogiem zostanie ograniczony do minimum.

Stopniowo las robił się coraz rzadszy i między drzewami zaczęła się ukazywać dolina. Daleko w dole zauważyłam żółte skrawki drogi przypominające tor dla wyścigówek na

baterie, rozłożony na części przed schowaniem do pudełka. Wkrótce potem naszym oczom ukazały się dłuższe odcinki drogi, bo dolina rozszerzyła się i zrobiła bardziej płaska. Teraz musieliśmy unikać otwartej przestrzeni i trzymać się linii drzew. Przez większość czasu szłam z głową odchyloną do tyłu. Miło było znowu patrzeć na duże połacie bezchmurnego nieba. Kiedy maszerowaliśmy przez gęste zarośla, nasi opiekunowie zaczęli rozmawiać, ale szeptem, więc nie musiałam ich słuchać. Bardzo mi to odpowiadało.

Dukt był długim, biegnącym wzdłuż lasu brzydkim pasmem gliny, chwastów i odrostów stworzonym za pomocą buldożera. Terry kazał nam przechodzić na drugą stronę parami i biec ze spuszczoną głową, co brzmiało całkiem rozsądnie. Potem, kiedy wszyscy stanęli już u stóp wzgórza, wdrapaliśmy się na jego szczyt. Słońce zaczynało zachodzić. Powietrze szybko się oziębiało, a cienie drzew były tak długie, że ginęły w zaroślach po drugiej stronie szlaku. Dzięki wysiłkowi było nam jednak ciepło. Wzgórze okazało się strome i kiedy stanęliśmy na szczycie, byliśmy czerwoni i zdyszani. Ale opłacało się. Z góry roztaczał się wspaniały widok. Wirrawee leżało w otoczeniu pięknych terenów, ale w tej części świata nigdzie nie można znaleźć żyźniejszych ziem niż podmokłe niziny nad rzeką. Dostawały więcej deszczu niż okolice Wirrawee - z powodu kształtu gór czy coś w tym rodzaju - a wielu ludzi dodatkowo je nawadniało. Widać było długie rzędy rur, które wyglądały jak maszyny z filmu *science fiction*. Dalej rósł sad przykryty białą folią. Przypominał rzeźbę pod gołym niebem. Nawet o tej porze roku mnóstwo bliżej położonych pól miało zielony kolor, mimo że od początku inwazji prawdopodobnie nikt ich nie nawadniał. Dopiero w oddali widać było przepastną żółć wysuszonych równin. Zachodzące słońce kojarzyło się z wielkim czujnym stworzeniem broniącym swojego królestwa. Ziemia wydawała się taka spokojna, stara i cicha, jakby żalosne spory ludzi o prawo do życia na jej powierzchni nie miały żadnego znaczenia. Przypomnił mi się fragment wiersza Chrisa: „Ocean ignoruje żeglarza, pustynia ignoruje mnie”.

Zaczęłam się martwić o Chrisa i poczułam wyrzuty sumienia. Wiedziałam, że wyprawa z powrotem do Piekła będzie prawdziwą mordęgą. Postanowiłam, że nazajutrz z samego rana wybiorę się do majora Harveya i wytłumaczę mu, że powinniśmy pójść po przyjaciela. Wiedziałam, że gdyby w Piekło została Fi, a nie Chris, wyruszyłabym po nią dwa dni temu. Może to ja powinnam poprosić, żeby rano porozmawiała z majorem.

Podszedł do mnie Homer i odciągnął mnie na drugą stronę wzgórza. Bez słowa wskazał drogę. Właśnie tam znajdował się cel kapitana Killena. Wydawał się łatwym, ale smacznym kąskiem. W poprzek drogi stał wielki zielony czołg z lufą wycelowaną w zarośla.

- Niewiarygodne - mruknęłam.

Nawet z tej wysokości było widać, że czołg spotkało jakieś nieszczęście. Stał przechylony na bok i zdawało mi się, że w miejscu, w którym załoga straciła panowanie nad pojazdem, widać było wyłobienia w drodze. Właz pozostał otwarty i wokół nie było widać żywej duszy.

- Dokładnie jak z tamtym pojazdem opancerzonym - powiedziałam.

- Z czym? - zapytał Homer, słuchając mnie jednym uchem.

Wpatrywał się w czołg. Chyba czuł zazdrość.

- No wiesz, pierwszym pojazdem wroga, który wysadzili Bohaterowie Harveya, był pojazd opancerzony, porzucony tak samo jak ten czołg. Z resztą maszyn było tak samo.

Wtedy zaczął przysłuchiwać się uważnie.

- Jak to?

Przerwało nam ciche wołanie Robyn:

- Są tam.

Spojrzelśmy w dół. Partyzanci zbliżali się drogą, od czołgu dzielił ich jeszcze mniej więcej kilometr. Szli gęsiego w cieniu drzew, ale nie zachowywali szczególnej ostrożności. Na ich czele dostrzegliśmy kapitana Killena.

- Są dość pewni siebie - zauważyłam.

- Chyba mają to już przećwiczone - powiedziała Robyn.

- Oby - odezwał się Homer. - Więc co mówiłaś o tym pojeździe opancerzonym?

- Olive się wygadała. Ci kolesie to mięczaki. Nie atakują żadnego obiektu, jeśli nie jest zupełnie bezpieczny. Skupiają się na pojazdach, które się zepsuły albo wypadły z drogi tak jak ten czołg. Rozwalili w ten sposób kilka ciężarówek.

Mówiliśmy szeptem, chociaż wcale nie było to konieczne. Na twarzy Homera pojawiła się dziwna zaniepokojona mina.

- Chcesz powiedzieć, że robią to regularnie?

- Nie wiem, jak często. Ale z tego, co mówiła Olive, wszystkie akcje wyglądają tak samo.

Homer coraz bardziej się denerwował.

- Ale chyba nie chcesz powiedzieć, że... Czy oni myślą, że wróg pozwoli im bez końca zbliżać się do swoich pojazdów i wysadzać je w powietrze?

Odwrócił się i z niepokojem i złością spojrzął na Bohaterów Harveya. Widzieliśmy niektórych z nich pod baldachimem z drzew. Właśnie zaczęli pokonywać zakręt.

- Myślisz, że...? - zaczęłam.

- Myślę, że im odbiło. Jeśli robili to już wcześniej... Czołg jest wart miliony dolarów.

Przesunęliśmy się o kilka metrów, tak że częściowo wyszliśmy z ukrycia, ale dzięki temu znaleźliśmy się bezpośrednio nad pojazdem.

- Miejcie oczy otwarte - mruknął Homer. - Wypatrujcie najmniejszego ruchu.

Terry stał dalej, w gęstszych zaroślach z lewej strony, i rozmawiał z Olive.

- Schowajcie się za drzewami - zawołał do nas ściszym, nagle głosem.

Zrobiłam kilka kroków w lewo, ale Homer i Robyn nie ruszyli się z miejsca. Lee i Fi obserwowali czołg zza skał po drugiej stronie duktu, ale teraz odwrócili się w naszą stronę.

- Co się dzieje? - zawołał Lee.

- Tam! - powiedziała Robyn dokładnie w tej samej chwili.

Jasny promień zachodzącego słońca odbił się nagle od jakiegoś przedmiotu w drzewach przy drodze. To była lufa karabinu. I wtedy zobaczyłam, co się dzieje. Dziwne, że nie zauważyłam tego wcześniej. Może moje oczy potrzebowały czasu, żeby przywyknąć do światła. A może przypominało to jeden z tych wieloznacznych obrazów, na które gapisz się godzinami, widząc jedynie ciało młodej kobiety, a potem twój wzrok się przyzwyczaja i nagle dostrzegasz twarz staruszki.

Gdziekolwiek spojrzalam, widziałam żołnierzy. Siedzieli ukryci za drzewami i wśród skał, tworząc nad drogą półksiężyc i czekając na kapitana Killena i jego ludzi.

To była pułapka, zasadzka na głupców.

„Czas poświęcony na rekonesans rzadko jest czasem straconym”.

Robyn wyprzedziła nas wszystkich o sekundę.

- KUUUUUUUUŁIIIIII! - zawołała, naśladując okrzyk Aborygenów.

Stała, osłaniając usta rękami, a jej alarm przetoczył się po wzgórzach jak wrzask olbrzymiego ptaka. Efekt był piorunujący. Przypomniało mi się, jak kiedyś potrząsnęłam drzewem, a spłoszone gołębie uciekły w popłochu, trzepocząc w oddali skrzydłami. Tym razem poruszenie nie ograniczało się do jednego drzewa. Zewsząd dobiegał szelest. Żołnierze zaczęli wstawać i zobaczyłam lufy zwracające się w naszą stronę. Najwidoczniej nie spodziewali się, że ktoś za nimi stoi. Terry wybiegł z zarośli jak obłąkana owca. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Pewnie myślał, że Robyn ześwirowała. Albo że jesteśmy głupimi, nieodpowiedzialnymi dzieciakami, za które uważał nas kapitan Killen. W zasadzie nie zwracałam jednak uwagi ani na niego, ani na żołnierzy. Skupiłam wzrok na partyzantach. Kiedy usłyszeli wołanie Robyn, byli już za zakrętem i chyba właśnie ukazali się oczom żołnierzy. Każdą komórką swojego ciała zaklinałam ich: „Uciekajcie! Uciekajcie! Na miłość boską, uciekajcie!”, ale stali jak zahipnotyzowani. Gapili się w górę, na nas. Widziałam twarz kapitana Killena i malującą się na niej minę. Pewnie już układał w myślach przemówienie,

które wygłosi po powrocie do obozu. Obawiałam się jednak, że nie będzie nam dane go wysłuchać. Żaden z Bohaterów Harveya nie zdjął nawet karabinu z ramienia. W dalszym ciągu nie widzieli zasadzki. Wszyscy troje zaczęliśmy krzyczeć do nich i pokazywać w stronę żołnierzy. Dwóch partyzantów rozejrzało się, a jeden z nich zdjął karabin. I wtedy zaczęła się strzelanina. Przez chwilę mężczyźni podrygiwali jak szalone kukielki, odwracali się w różne strony, robili kilka kroków, a potem trzęśli się i dygotali, rozrywani kulami. Nie widziałam, jak padają na ziemię, bo część żołnierzy zaczęła strzelać do nas. Mieliśmy kilka sekund. Na szczęście nie zajęli dogodnych pozycji i potrzebowali chwili, żeby nas namierzyć.

Wszyscy troje popędziliśmy w prawo, do Lee i Fi. Gdybyśmy pobiegli w lewo, dotarlibyśmy na skraj duktu trochę szybciej, ale instynkt skierował nas ku przyjaciołom. Poza tym po prawej stronie był obóz. Ostatnie dwa metry pokonałam jednym wielkim susem na ziemię, a kule z zawziętą wściekłością posiekały gęstwinę nad moją głową. Jedna z nich musiała się odbić rykoszetem od skały, bo przemknęła obok mnie ze świstem lecącego w oddali odrzutowca. Wylądowałam na żwirze i jakiejś szorstkiej ciemnozielonej roślinie, przeczołgałam się kilka metrów, a potem wstałam i pobiegłam, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby spojrzeć na pozostałych i sprawdzić, czy nic im nie jest. Fi była tuż za mną.

- Są cali - wydyszała.

Pobiegłam dalej.

Pędziłyśmy przez las dwadzieścia minut. Obok słyszałam ludzi, którzy uciekali na oślep, a za moimi plecami rozlegało się ciężkie dyszenie Fi. Nagle z lewej strony dał się słyszeć głos Robyn, która niebezpiecznie głośno zawołała:

- Stać!

Najwyższy czas. Zatrzymałam się i ciężko dysząc, przytrzymałam się Fi, żeby odzyskać równowagę. Robyn biegła pod górę, w naszą stronę.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Nie - powiedziałam, przyglądając się jej. - Mam nadzieję, że wyglądam lepiej niż ty.

Krew oblepiła bok jej głowy i ciekła z nosa. Fi podeszła, żeby dotknąć twarzy Robyn, ale ta ją odepchnęła.

- Nic takiego - powiedziała. - Zderzyłam się z gałęzią.

Było już dość ciemno. Usłyszałyśmy trzask gałązek na ziemi i chrzęst żwiru. Ktoś wbiegał na wzgórze. Odwróciłam się wystraszona i wyteżyłam wzrok. To był Homer.

- Nic ci nie jest? - zapytałyśmy chórem.

Pokiwał głową.

- Gdzie jest Lee? - zaniepokoiłam się.

- Nie biegł z tobą? - Fi zwróciła się do Homera.

- Biegł z wami.

- Nie - zaprzeczyła Fi. - Ruszył za tobą, kiedy tylko wpadłeś między drzewa.

- Nie widziałem go - zdziwił się Homer.

Nastąpiła nagła cisza.

- Nie możemy go wołać - powiedział Homer. - To zbyt niebezpieczne.

Odwrociłam się do Fi, szukając winnego.

- Powiedziałaś, że wszyscy są cali - syknęłam z wściekłością.

- Bo byli! - odwarknęła. - On też. Dobiegł do drzew, uciekał i nikt go nie postrzelił.

Więc chyba był cały, no nie? Miałam się zatrzymać i zmierzyć mu ciśnienie?

Fi drżała i zrobiło mi się głupio, że na nią naskoczyłam. Nie było jednak czasu na przeprosiny.

- Zastanówmy się - zaczął Homer. - Trzeba wrócić do obozu i ostrzec resztę. I musimy znaleźć Lee. Jeśli wszystko z nim w porządku, ruszy z powrotem do obozu. Jeśli coś mu się stało, mamy problem.

- Ktoś inny może ostrzec obóz - powiedziałam. - Terry i jego kumple.

- Tylko że oni mogli zostać po drugiej stronie duktu - powiedział Homer. - Może nawet wpadli w zasadzkę.

- Albo już nie żyją - dodała Robyn.

- Musimy się rozdzielić - stwierdziłam.

- Zgoda.

- Ja pójdę poszukać Lee - ciągnęłam.

- Idę z tobą - powiedział Homer.

- Dobra - zgodziła się Robyn. - My wrócimy do obozu. Potem po was przyjdziemy.

- To bez sensu - powiedziałam. - W ciemności nigdy się nie odnajdziemy. Ja i Homer wrócimy do duktu. Jeśli nigdzie nie zobaczymy Lee ani żadnych śladów, które mogłyby nam wskazać dalszą drogę, nie będziemy w stanie nic zrobić, dopóki się nie przejaśni. W takim wypadku równie dobrze możemy sami wrócić do obozu.

Byliśmy pewni, że uda nam się znaleźć drogę do obozu, nawet jeśli oznaczałoby to konieczność ponownego podejścia do urwiska i odszukania grzbietu, który doprowadził nas do Bohaterów Harveya.

Homer i ja zawróciliśmy i pobiegliśmy w stronę duktu. W zasadzie nie przejmowaliśmy się hałasem, bo wiedzieliśmy, że nikt nie odważyłby się nas ścigać przez las, w którym było już prawie zupełnie ciemno. Ostatni odcinek chcieliśmy jednak pokonać jak

najciszej. Przeszacowaliśmy odległość i ostatecznie przez mniej więcej pół godziny wlekliśmy się z prędkością erozji trawiącej skałę.

W świetle księżyca dukt wyglądał jak biała autostrada na tle ciemności otaczającego ją lasu. Przez dwadzieścia minut leżeliśmy ukryci za krzakiem i patrzyliśmy na nią. W końcu Homer szepnął:

- Chyba jest okej.

- Pójdę sama. Ty tu zostań.

Zanim zdążył się sprzeciwić, wstałam i zaczęłam powoli złazić z urwiska. To zabawne, że w grupie Homer prawie zawsze obejmował przywództwo, a kiedy byliśmy we dwoje, dowodziłam ja. Zeszłam prawie na sam dół. Na drodze nie było jednak nic ciekawego. Żadnych ciał, żadnych żołnierzy, żadnych karabinów. I żadnego czołgu. Jezu, Bohaterowie Harveya byli strasznymi matołami, skoro dali się nabrać na taki numer. Musiałam jednak przyznać, że ja też nie podejrzewałam podstęp. Myślałam, że popatrzymy sobie na darmowe ognisko, a zamiast tego dostaliśmy darmową strzelnicę - okropną, niepotrzebną masakrę.

Przesuwałam się w prawo, aż w końcu zbliżyłam się do zakrętu. Zobaczyłam ciemne plamy na drodze i gapiłam się na nie z czymś w rodzaju makabrycznej fascynacji, nie mając pewności, czy to ślady krwi, czy może cienie drzew. Czy wszyscy zostali zabici? Zaczęłam się zastanawiać, jaki los spotka tych, którzy przeżyli. To z kolei dało początek myślom, które kazały mi czym prędzej wdrapać się z powrotem na wzgórze i odszukać Homera.

- Słuchaj - wydyszałam, chowając się za tym samym krzakiem co on - a jeśli nie wszyscy zostali zabici? Jeśli część jest tylko ranna?

- Co? O co ci chodzi?

- No pomyśl, jak będzie brzmiało pierwsze pytanie, które zadadzą jeńcom?

- Aha. Teraz rozumiem, co masz na myśli. Zapytają, gdzie jest obóz.

- A jeśli będą musieli to wydusić torturami...

- Na pewno się nie zawahają. Chodźmy. - Pospiesznie wstał, ale po chwili się zatrzymał. - A co z Lee?

- A co z Robyn i Fi? Jeśli dorwali Lee - powiedziałam, czując ciarki przebiegające po plecach - nic na to nie poradzimy. Jeśli jest ranny i leży gdzieś w lesie, możemy szukać całą noc, a i tak go nie znajdziemy. Ale jeśli nic mu się nie stało, na pewno wraca do obozu. Wszyscy troje mogą być teraz w obozie atakowanym przez wroga, a my tu sobie siedzimy i gadamy.

Gdy tylko dokończyłam ostatnie zdanie, ruszyliśmy w drogę. Znowu w panice biegliśmy przez las, potykając się, drapiąc i wpadając na drzewa. Przez jakiś czas mogliśmy

swobodnie biec po płaskim terenie, bo nie było tam jeżyn, króliczych nor ani zwałonych pni, lecz nagle poślizgnęłam się na omszałym kamieniu i boleśnie upadłam, raniąc sobie kolano. Prawie pociągnęłam za sobą Homera.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się.

- Wiedziałam, że zadasz to pytanie.

- No więc w porządku?

- Nie wiem. - Po chwili, próbując odnaleźć w sobie siłę, o której czasami mówił Homer, dodałam: - Tak, w porządku. Ale zaczekaj chwilę.

Potrzebowałam trochę więcej czasu niż jedna chwila, lecz w końcu powiedziałam:

- Dobra, pomóż mi wstać.

Podniosłam się, choć niepewnie trzymałam się na nogach. Była to wina nie tyle kolana, ile szoku wywołanego upadkiem.

- Nie ma pośpiechu - powiedział Homer.

- Chyba żartujesz. Chodźmy.

Biegliśmy i kuśtykaliśmy przez jakieś dwadzieścia metrów, a potem nagle znowu się zatrzymaliśmy. Tym razem zmroził nas odgłos wystrzałów. Dobiegał z oddali, ale wyraźnie słyszeliśmy terkotanie karabinów i głuche huki śrutówek w tle. Spojrzeliśmy na siebie przerażeni. Zastanawiałam się, czy resztę życia przyjdzie mi spędzić z Homerem i Chrisem w Piekło. To było straszne, okropne. A co jeśli żadne z nas tego nie przetrwa i Chris zostanie sam? Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Homerowi zadrżały wargi, kiedy próbował rzucić jakąś błyskotliwą sugestią. Ja też otworzyłam usta, ale nie byłam pewna, co się z nich wydobędzie.

- Może pójdźmy do drzewa?

- Do drzewa? Do jakiego drzewa?

- Do tego, po którym zeszliśmy z urwiska, idąc od strony Piekła. Do naszej drabiny.

- Dasz radę je znaleźć?

- Tak, muszę tylko wejść na urwisko i trochę się rozejrzeć. Reszta na pewno też tam przyjdzie.

- Dobra.

Wiedzieliśmy, że nic nie zdziałamy w obozie, skoro żołnierze już tam dotarli. Nie mieliśmy broni. Gołymi rękami nie da się zatrzymać kul.

Spieszyliśmy się. Nadal prowadziłam i poruszałam się całkiem sprawnie. Doszłam do wniosku, że jeśli rozruszam kolano, nie będzie aż tak źle i chociaż chwilami przeszywał je ostry ból, dało się jakoś wytrzymać. Cały czas szliśmy pod górę, coraz wyżej, żeby okrążyć

obóz szerokim łukiem i podejść pod urwisko. Nadal od czasu do czasu słyhać było huk wystrzałów przeplatany wrzaskiem i ochrypłymi okrzykami, które także zaczęły docierać do naszych uszu. Nie musiałam się martwić o rozgrzanie kolana - cała byłam rozgrzana i strasznie się pociłam. Znowu znaleźliśmy się w gęstym lesie i wkrótce bieganie stało się niemożliwe, ale uparcie parłam do przodu. Połączenie ciemności ze zmęczeniem, paniką i gęstymi zaroślami sprawiało, że każdy metr był mordęgą. Wpadałam na różne rzeczy, krzyczałam z bólu i wściekłości, ciągle trącałam coś kolanem. W końcu stanęłam przed kolejnym powalonym drzewem i nie byłam w stanie go przeskoczyć - nie miałam więcej siły - więc tkwiłam tam jak kołek, wydając z siebie ciche, głupie pochlipywania jak trzyletnia dziewczynka.

- Chodź - powiedział Homer, podchodząc od tyłu chwiejnym krokiem, i bez cienia współczucia dał mi kuksańca w plecy. Chyba był zbyt zmęczony, żeby silić się na współczucie.

Przeleżałam przez pień, który wcale nie był duży, a potem poszłam dalej.

Zanim dotarliśmy do urwiska, minęło następne pół godziny. Już zaczynałam myśleć, że się zgubiliśmy, mimo że było to geograficzną niemożliwością. Nie zdawałam sobie jednak sprawy z tego, jak wolno się przemieszczaliśmy. Powitałam urwisko jak starego przyjaciela, oparłam się o nie na chwilę i poczułam na policzku chłód skały. Potem powoli, ociężale wyprostowałam się jak staruszka i ruszyłam przed siebie. Nadal szło się ciężko, bo w wielu miejscach skałę porastały drzewa. Przynajmniej wiedzieliśmy, że jesteśmy na dobrej drodze do celu. Ta świadomość dawała nam poczucie misji, mimo że u kresu podróży mogliśmy nikogo nie zastać.

Mniej więcej o pierwszej w nocy dotarliśmy do starego białego drzewa, które jaśniało w słabym świetle księżyca niby duch. Nikt na nas nie czekał. Usiadłam obok pnia i oparłam się o niego. Homer usiadł po drugiej stronie. Nie odezwaliśmy się słowem. Czekaliśmy.

10

Na wschodzie pojawiła się zapowiedź światła. A może był to tylko wytwór mojej wyobraźni? Już tyle razy spoglądałam w tamtą stronę, na próżno wyczekując poranka. Z lewej spał Homer. Miał otwarte usta i cichutko chrapał. Moje powieki były ciężkie i zdrętwiałe. Wzrok miałam pewnie szklisty i mętny. Na szczęście nikt nie patrzył mi w oczy. Rozejrzałam się powoli. Lekki wietrzyk łaskotał liście drzew, sprawiając, że drżały, szeptały i kołysały się. W lesie naprzeciwko jakaś gałązka odłamała się i spadła na ziemię. Zabrzmiało to zadziwiająco głośno. Ogromny ptak, chyba biała sowa, przeleciał nad urwiskiem, trzepocząc skrzydłami.

Nagle rozległ się charakterystyczny odgłos czyichś kroków. Jedyne krowie kopyta wydają dźwięki równie ciężkie i zdecydowane jak stąpanie człowieka, a w tym gęstym lesie nie mogło być żadnych krów. Zrobiło mi się słabo ze strachu i nadziei. Złapałam Homera za ramię. Kiedy się budził, przechyliłam się jeszcze bardziej i zakryłam mu usta dłonią. Wydał z siebie cichy charkot, a po chwili zupełnie się ocknął, co poznałam po nagłym napięciu w jego ciele.

Obydwoje siedzieliśmy i czekaliśmy, sparaliżowani strachem. Nie mogliśmy się poruszyć, bo narobiliśmy za dużo hałasu. A odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej. Coraz szybciej.

Przykucnęłam, szykując się do działania. Zobaczyłam jakąś postać lawirującą między drzewami. To była Fi. Wyciągnęłam rękę, ale ona nawet na mnie nie spojrzała.

- Śledzą mnie - powiedziała.

Nastąpiła przerażająca, okropna cisza, a potem Homer pospiesznie zapytał:

- Ilu?

- Nie wiem. Możliwe, że tylko jeden. Przepraszam.

Nadstawiliśmy uszu, odwracając się w stronę lasu, i od razu usłyszeliśmy kroki - cichsze niż kroki Fi, mniej pewne, mniej zdecydowane.

- Przepraszam - powtórzyła Fi. - Tak bardzo starałam się go zgubić.

Jej głos był zachrypnięty i bezbarwny, pozbawiony emocji. Była wykończona. Pospiesznie ścisnęłam jej ramię. Homer podniósł grubą gałąź. Żałowałam, że tym razem nie ma przy sobie obrzyna. Rozejrzałam się w poszukiwaniu jakiejś broni. Nie miałam zbyt wielkiego wyboru. Podniosłam kamień wielkości piłki do bejsbolu i podałam go Fi, ale chyba

nie załapała po co. Trzymała go w opuszczonej ręce. Ja też uzbroiłam się w kamień. Żadne z nas nie wiedziało, co robić - działaliśmy instynktownie i instynktownie sięgnęliśmy po broń. Mogliśmy się rozdzielić i uciec, ale z tyłu mieliśmy urwisko, a z przodu gęsty las, więc nie było zbyt wielu możliwości. Poza tym jedno spojrzenie na Fi uświadomiło mi, że musimy zostać i walczyć. Oparła się o drzewo, które zamierzaliśmy wykorzystać jako drabinę, żeby wrócić do Piekła. Miała spuszczone głowę, ale nadal trzymała kamień. Kiedy na nią spojrzałam, nagle pochyliła się i zwymiotowała. Odgłos torsji zwabił jej prześladowcę: usłyszałam, że trochę przyspieszył kroku. Kimkolwiek był, szedł teraz prosto na nas i wydawał się bardziej pewny siebie. Popatrzyłam na Homera, ale on już gdzieś zniknął. Domyśliłam się, za którym drzewem się schował. Ukryłam się za drugim. Zauważyłam ciemną sylwetkę żołnierza przemykającą między drzewami, zaledwie dziesięć metrów ode mnie. Tylko jeden żołnierz. Nie widziałam i nie słyszałam innych. Zauważył Fi i szedł prosto do niej. Karabin nieruchomo spoczywał na jego ramieniu. Najwidoczniej był pewien, że Fi nie będzie stawiała oporu. I chyba nie zamierzał jedynie jej pojmać. Zbliżał się szybko jak lis do jagniącej się owcy. Nie był wielkim facetem, w zasadzie wyglądał na chłopaka i pewnie był mniej więcej w naszym wieku. Miał szczupłą budowę Chrisa. Był bez czapki, w lekkim mundurze, raczej letnim niż jesiennym czy zimowym. Najwidoczniej miał przy sobie jedynie karabin. Kiedy z niecierpliwością zbliżał się do Fi, wyszłam z kryjówki i ruszyłam za nim. Wypełniało mnie dzikie przerażenie i nadal nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam uwierzyć w to, co robię. Mocno ścisnęłam kamień. Zauważyłam, że Fi upadła na ziemię. Żołnierza dzieliło od niej tylko dziesięć kroków. Byłam tuż za nim, ale nie mogłam się zmusić do działania. Jakbym czekała na coś, co je wyzwoli, na coś, co zmusi mnie do zrobienia czegoś więcej niż tylko bezradne skradanie się za nim.

Impuls wyszedł od samego żołnierza. Chyba mnie usłyszał, bo nagle zaczął się odwracać, unosząc rękę. Zobaczyłam, że jego oczy wytrzeszczają się z przerażenia, i poczułam, że z moimi dzieje się to samo. Podniosłam dłoń i jak we śnie zaczęłam ją opuszczać na jego głowę. W moim umyśle na ułamek sekundy odżyło dziwne wspomnienie: straszna, usłyszana kiedyś opowieść o tym, że ofiara mordercy zachowuje jego obraz na swojej siatkówce. Spojrzenie w oczy nieboszczyka było jak spojrzenie na zdjęcie jego zabójcy. Opuszczałam rękę, myśląc właśnie o tym, i nagle zdałam sobie sprawę, że wkładam w ten ruch za mało siły. W ostatnim momencie uderzyłam mocniej. Żołnierz zdążył podnieść dłoń wystarczająco wysoko, żeby złagodzić cios, ale kamień i tak uderzył go dość mocno w bok głowy. Rękę przeszył mi ostry ból. Na szczęście nie wypuściłam kamienia. Mężczyzna zamachnął się na mnie, więc zrobiłam unik, ale zdołał mi zadać piekący cios w ucho, od

którego na chwilę straciłam czucie. Zobaczyłam jego ciemną spoconą twarz. Miał przymknięte oczy - nie byłam pewna dlaczego, ale pomyślałam, że chyba zraniłam go bardziej, niż przypuszczałam. Spróbowałam go uderzyć kamieniem w twarz, ale odepchnął moją dłoń. Wtedy rozległ się za nim szelest stóp. To zadziwiające, ale przez te parę sekund walki zupełnie zapomniałam o Homerze. Mężczyzna szybko się odwrócił i odchylił w bok. Homer zamierzył się na niego kijem. Potężny cios nie trafił jednak w głowę i wylądował na ramieniu. Mężczyzna zachwiał się i stracił równowagę. W tej chwili uniosłam kamień i obiema rękami z całej siły rąbnęłam go w głowę. Rozległ się okropny stłumiony trzask, jakbym uderzyła pień tylną częścią siekiery. Żołnierz przewrócił oczami i wydając z siebie dziwny, ściszony charkot, upadł na ziemię, jakby się modlił, klęcząc z opuszczoną głową. Potem runął na bok i legł bez ruchu.

Przez chwilę patrzyłam na niego przerażona, a potem odrzuciłam kamień, jakby był skażony. Podbiegłam do Fi i złapałam ją za ramiona. Nie wiem, czego od niej chciałam, ale tego nie dostałam. Gapiła mi się tylko w oczy, jakby nie mogła sobie przypomnieć, kim jestem. Wtedy zdałam sobie sprawę, że ten człowiek może się w każdej chwili ocknąć. Mocno potrząsnęłam głową, próbując odzyskać rozum, a potem wróciłam do żołnierza. Homer stał odwrócony do mnie plecami i przyciskał twarz do drzewa, odbywając prywatne spotkanie z diabłem. Pochyliłam się nad żołnierzem, nie wiedząc, czy powinnam mieć nadzieję, że jest martwy, czy też liczyć na to, że nadal żyje. Żył - oddychał bardzo powoli i wydawał z siebie niskie, urywane jęki. Każdy oddech poprzedzała długa przerwa. Brzmiało to okropnie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że byłoby dla nas lepiej, gdyby zginął, chociaż przeraziło mnie to, że w ogóle mogłam tak pomyśleć. Zdjęłam mu karabin z ramienia i odrzuciłam kilka metrów dalej.

Prawie w tej samej chwili znowu usłyszałam odgłos czyichś stóp, które dość szybko i pewnie szły między drzewami. Rzuciłam się w stronę karabinu i podniosłam go z ziemi. Próbowałam go odbezpieczyć, ale był automatyczny i zbyt skomplikowany. Zrozpaczona uniosłam go tylko, jakby wymierzenie do kogoś mogło mnie jakimś cudem uratować. Okazało się jednak, że to Robyn. Wyglądała spokojnie jak nigdy dotąd - dopóki nie zobaczyła karabinu.

- Ellie! Nie strzelaj!

Opuściłam broń.

- Skąd to wytrzasnęłaś?

- Stamtąd - powiedziałam i lekko drżąc, pokazałam palcem, ostrożnie odkładając karabin.

Robyn wydawała się całkowicie opanowana, a ja byłam o krok od utraty wszelkiej kontroli nad sobą.

Uśmiech na jej twarzy gwałtownie zastygł. Podbiegła do żołnierza i uklękła obok niego.

- Co się stało? Strzelaliście do niego?

- Uderzyliśmy go. Kamieniem. I kijem.

- Boże, chyba kiepsko z nim.

- Robyn, on musi umrzeć - powiedziałam, próbując opanować drżenie głosu. - Jeśli przeżyje, sprowadzi tu kumpli i zaczną nas szukać. A pierwszą rzeczą, jaką zrobią, będzie wdrapanie się po tym drzewie. Mogliby nas wytropić w domu, w Piekło.

Nie odpowiedziała, ale odsunęła się od żołnierza i podeszła do Fi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała.

Fi przyglądała jej się przez chwilę, tak jak wcześniej mnie. Potem pokiwała głową. Ulżyło mi, że znowu zaczyna normalnie funkcjonować.

- Czy ktoś widział Lee? - zapytała Robyn.

- Nie.

Opowiedziałam, jak wróciliśmy do duktu, ale zaznaczyłam, że nie szukaliśmy Lee w lesie.

- Tak się cieszę, że was znalazłam - powiedziała Robyn. - Nagle przyszło mi do głowy, że powinnam przyjść właśnie tutaj. Gdybym was nie zastała... nie wiem, co bym zrobiła. Nie miałam innych pomysłów.

Zamilkła na kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiała. Potem przejęła dowodzenie.

- Dobra, ludzie - powiedziała - załamania nerwowe będziecie mogli przeżywać później. Tak jak ja z powodu tego okrzyku, którym próbowałam ostrzec partyzantów na drodze. Ale teraz nie ma na to czasu. Wcale nie żartuję. Po prostu jeśli chcemy przeżyć, musimy wziąć się w garść.

- Co się wydarzyło w obozie? - zapytałam.

Robyn zaczęła opowiadać, a my stopniowo zacieśniałyśmy krąg wokół nieprzytomnego młodego żołnierza, który nadal leżał nieruchomo na ziemi i wolno oddychał.

- Prawdziwa masakra - zaczęła Robyn. - Ja i Fi nie przybiegłyśmy na czas. Zgubiłyśmy się i prawie godzinę szukałyśmy drogi. Potem w końcu zobaczyłyśmy ich zza drzew. Byłyśmy bardzo blisko obozu. Wyraźnie widziałyśmy namioty. Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. Nagle wokół zaczęła się strzelanina. Było tak głośno, jakbyśmy stały

wśród zgrai budowlańców z młotami pneumatycznymi. Tuż przed nami był żołnierz i strzelał. Gdybyśmy zrobiły krok do przodu, mogłybyśmy go dotknąć. To cud, że nas nie usłyszał, prawda, Fi?

Fi tępo pokiwała głową. Robyn próbowała ją pocieszyć i wciągnąć do rozmowy, ale Fi była chyba zbyt wyczerpana. A może chodziło o coś innego.

- No tak - ciągnęła Robyn, gapiąc się na swoje buty - co tu dużo mówić? To było okropne, odrażające. Niektóre kule i pociski przypominały sztuczne ognie: rozbłyskiwały jaskrawym światłem.

A potem żołnierze odpalili racę czy coś w tym rodzaju. I ludzie... zaczęli uciekać we wszystkich kierunkach. Nie wiedzieli, dokąd biec. To była masakra. Szybko się wycofałam, więc niewiele zobaczyłam. Na szczęście było tak głośno, że nikt mnie nie usłyszał. Nie tylko przez huk wystrzałów, ale i przez krzyki. Nie zliczę, ile martwych osób dziś widziałam.

Szybko mrugała. Jej twarz na chwilę się wykrzywiła. Usta się rozciągnęły i zatkała je dłonią zaciśniętą w pięść, usiłując zapanować nad emocjami. Stopniowo odzyskiwała zdolność mówienia, ale dodała tylko:

- Próbowałam znaleźć Fi, ale gdzieś mi zginęła.

Spojrzała na Fi, zachęcając ją, żeby dokończyła relację. Chyba nie chciała być dłużej w centrum uwagi.

- Ja po prostu uciekłam - szepnęła Fi. - Przepraszam, Robyn. Zupełnie straciłam głowę i uciekłam. Po chwili zdałam sobie sprawę, że ktoś za mną idzie. Miałam nadzieję, że to wy, ale kroki brzmiały inaczej. Zawołałam was i nikt nie odpowiedział. Próbowałam ich odciągnąć od tego miejsca, a potem zgubić, ale mi się nie udało. Po jakimś czasie wczółgałam się pod krzak jeżyn i tam się ukryłam. Czekałam godzinami, aż w końcu doszłam do wniosku, że pewnie już sobie poszli. Nie słyszałam, żeby się oddalali, ale pomyślałam, że nikt nie byłby w stanie siedzieć tyle czasu w ciemności i czekać. Dlatego wczółgałam się spod krzaka. I gdy tylko to zrobiłam, ktoś ruszył biegiem w moją stronę. Krzyknęłam i uciekłam. Biegłam przez las. Po chwili strasznie się zmęczyłam. Wtedy znowu ruszyłam w stronę urwisk. Pomyślałam, że tak będzie lepiej. Miałam nadzieję, że kogoś tu znajdę. Przepraszam. Naraziłam was na niebezpieczeństwo. Nie powinnam była tego robić.

Zaczęliśmy ją pocieszać: „Jasne, że powinnaś była tu przyjść”, „Postąpiłaś właściwie”, „Ja zrobiłabym tak samo”, ale nie wiem, czy to cokolwiek dało.

Targana własnymi pokręconymi emocjami, zadrzałam na myśl o przerażającej nocy, którą spędziła Fi, próbując zgubić prześladowcę w ciemnym lesie, a potem kierując się ku naszemu drzewu, mimo że mogła przy nim zastać jedynie nocną ciszę. Wiedziała tylko, że

jest zbyt zmęczona, żeby iść dalej, i że kiedy dotrze do drzewa, być może przyjdzie jej się odwrócić i stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. Ta noc była okropna dla nas wszystkich, ale dla Fi chyba najbardziej.

Oczywiście zakładając, że Lee nic się nie stało.

Znowu odezwała się Robyn:

- Nadal jest dość ciemno. Co robimy? Lee gdzieś się zgubił, a ten gość leży nieprzytomny pod naszą drabiną do Piekła.

Wreszcie Homer zaczął wracać do siebie. Od każdego z nas wymagało to sporo wysiłku. Próbowaliśmy myśleć normalnie, mówić normalnie, ale słowa zdawały się wychodzić z naszych ust powoli jak pasta do zębów wyciskana z tubki.

- Możemy jeszcze trochę poczekać - powiedział. - Wczujcie się w ich sytuację. O tej porze nie złączą szukać w lesie tych, którzy przeżyli, ani nawet swojego kumpla. To dla nich zbyt niebezpieczne. Poza tym pewnie myślą, że i tak wszystkich dorwali. Wydaje mi się, że facet, który ścigał Fi, działał na własną rękę.

- A co jeśli... - zaczęłam. Musiałam odchrząknąć, a potem zaczęłam jeszcze raz: - Co jeśli za jakiś czas ten gość nadal będzie żył?

Homer nie spojrzał w moją stronę. Odpowiedział ochrypłym głosem:

- To, co zrobiłaś tamtemu żołnierzowi przy Buttercup Lane... Temu, którego postrzeliłem...

- To było co innego - przerwałam mu. - On i tak by umarł. To była eutanazja.

- Spójrz na tego gościa - powiedział Homer. - On też nie przeżyje. A jeśli mu się uda, będzie warzywem.

- Nie wiadomo. - Na chwilę skupiłam się na zasadniczej różnicy między tymi dwiema sytuacjami. - Tamto zrobiłam w afekcie - powiedziałam w końcu. - Chyba nie będę w stanie dobić człowieka z zimną krwią.

Takie rozmowy były jednym z najdziwniejszych i najtrudniejszych elementów naszej nowej rzeczywistości. Powinniśmy byli gadać o dyskotekach, mailach, egzaminach i muzyce. Jak mogło nas spotkać coś takiego? Jak to możliwe, że staliśmy w ciemnym lesie, zziębnięci, głodni i przerażeni, rozmawiając o tym, kogo trzeba zabić? Zupełnie nie byliśmy do tego przygotowani, nie mieliśmy żadnego doświadczenia, żadnej wiedzy. Nie wiedzieliśmy, czy postępujemy właściwie. Nie wiedzieliśmy nic. Byliśmy zwyczajnymi nastolatkami, zwyczajnymi aż do znudzenia. W ciągu jednej nocy zdarto dach z naszego domu. A kiedy już zniknął dach, zerwano zasłony, roztrzaskano meble, spalono budynek i rzucono nas w noc. Musieliśmy uciekać, ukrywać się i żyć jak dzikie zwierzęta. Brakowało nam fundamentów i

nasze życie straciło osłonę zapewnianą przez ściany. Żyliśmy w dziwnym długim koszmarze, w którym musieliśmy ustanawiać własne zasady, wymyślać nowe wartości, chodzić po omacku i mieć nadzieję, że nie popełniamy zbyt wielu błędów. Kurczowo trzymaliśmy się tego, co wiedzieliśmy i co uznawaliśmy za słuszne, ale nawet to nam odbierano. Nie wiedziałam, czy w końcu zostaniemy z niczym, czy może zdobędziemy nowy zestaw zasad, postaw i zachowań i zmienimy się nie do poznania. Mogliśmy skończyć jako nowe, zniekształcone, zdeformowane istoty o zaledwie kilku fizycznych cechach upodabniających nas do ludzi, którymi kiedyś byliśmy.

Oczywiście pośród tego wszystkiego zdarzały się chwile - czasami nawet całe dni - gdy zachowywaliśmy się „normalnie”, prawie jak za dawnych czasów. Nigdy nie było jednak tak samo jak kiedyś. Nawet takie chwile były wypaczone przez to, co nas spotkało, przez okropny nowy świat, do którego zostaliśmy wepchnięci.

Wydawało nam się, że ten świat nie ma końca, że nie sposób przewidzieć, kim się staniemy, że nie mamy już nic. Że liczy się tylko dotrwanie do następnego dnia.

Homer pochylił się nad młodym żołnierzem leżącym na ziemi i przeszukał mu kieszenie. Układał ich zawartość na małej kupce, a my patrzyliśmy w milczeniu. W ciemności trudno było dostrzec szczegóły, ale na pewno zauważyłam portfel, nóż i dwa klucze. Potem z kieszeni na piersi Homer wyjął małą latarkę, nie większą niż długopis, i włączył ją. W świetle zobaczyłam, jak bardzo poturbowany jest żołnierz. Krew płynęła mu z uszu i nosa oraz krzępła na głowie, tak że włosy były mokre i posklejane. Poza tym zobaczyłam, że jest bardzo młody. Może nawet młodszy od nas. Jego gładka skóra wyglądała tak, jakby nigdy nie przesunęło się po niej ostrze żyłki. Natychmiast musiałam sobie surowo przypomnieć, że to potencjalny gwałcień, potencjalny morderca. Jednocześnie wiedziałam, że nie potrafię go zabić.

- Moglibyśmy go przenieść gdzieś daleko stąd - niepewnie podsunęła Robyn - żeby nie mogli go skojarzyć z drzewem i urwiskiem.

- A jeśli się ocknie? - zapytałam. - Nie jesteśmy lekarzami. Nie wiemy, co się może stać.

- Ma co najmniej wstrząs mózgu - powiedziała Robyn z jeszcze większą niepewnością w głosie. - Prawdopodobnie nie będzie pamiętał, gdzie był ani co się stało.

Nikt nie zadał sobie trudu, żeby wyliczyć wszystkie wady takiego planu.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na niego w milczeniu. Mniej więcej godzinę później zaczęłam zdawać sobie sprawę, że młody żołnierz w końcu sam rozwiąże za nas ten problem. Zrozumiałam, że powoli uchodzi z niego życie. Umierał na ziemi, leżąc tuż przed nami, a my

przyglądaliśmy się temu bez słowa. Nie kiwnęliśmy palcem, żeby go ratować, chociaż wątpię, byśmy mogli cokolwiek zdziałać. Było mi smutno. W ciągu tego krótkiego czasu, kiedy wokół niego staliśmy, poczułam, że w pewnym dziwnym sensie go znam. Śmierć wydawała się taka intymna, taka bliska, kiedy przychodziła powoli, niemal delikatnie, tak jak wtedy. Dotykając go, dotykała nas wszystkich. Mniej więcej co piętnaście minut Homer włączał latarkę, ale chociaż pod drzewami nadal panował mrok, w zasadzie jej światło nie było nam potrzebne. Widziałam wznoszącą się i opadającą pierś w mundurze, czułam walkę o każdy kolejny oddech. Zaczęłam wstrzymywać oddech, kiedy kończył wypuszczać powietrze, i pragnęłam, żeby złapał go trochę więcej. Jego oddech stawał się jednak coraz słabszy, a przerwy coraz dłuższe. Piórko położone na jego ustach mogłoby lekko zadrzeć, kiedy sięgał po następną chwilę życia, ale na pewno by się nie uniosło.

Mieliśmy za sobą zimną noc i nastał zimny poranek, ale, o dziwo, nie czułam chłodu. Fi odwróciła twarz od żołnierza i przytuliła się do mnie, pomagając mi utrzymać ciepło. Od czasu do czasu drżała, być może z zimna. Robyn siedziała z przodu, obok żołnierza, i spokojnie mu się przyglądała. Kiedy patrzyła na jego twarz, jej oblicze emanowało jakimś pięknem. Za głową żołnierza siedział Homer i też spokojnie się przyglądał, ale na jego twarzy widać było ciemny cień, a pochylone jak odbezpieczony karabin ciało wyrażało zniecierpliwienie. Widząc go w takim stanie, zaczynałam się denerwować.

Wśród drzew dał się słyszeć daleki trzask upadającej gałęzi, który słyszałam już wcześniej. Oczywiście przez całą noc słyhać było jakieś dźwięki, będące w lesie czymś normalnym: miauczenie oposów, wycie dzikich psów, trzepotanie sowych skrzydeł, wietrzyk poruszający liśćmi drzew i tajemniczy szelest poszycia. Byłam do nich przyzwyczajona i wcale nie reagowałam, prawie ich nie zauważałam. Ten odgłos wydawał się jednak jakiś inny, więc wyprostowałam się i odwróciłam w jego stronę. Wtedy usłyszałam krzyk.

- Ellie, Homer! Jesteście tu?

Poczułam nieopisaną ulgę.

- Lee! Tutaj!

Wtedy usłyszeliśmy odgłos jego chwiejnych kroków, bo zaczął biec w naszą stronę, łamiąc po drodze gałęzie. Wstałam i poszłam kawałek w jego kierunku. Niezdarnie wyłonił się spomiędzy gęstych drzew naprzeciwko mnie. Wyciągnęłam ręce, a wtedy złapał mnie i przytulił, ale poczułam jedynie kości jego ciała. Nie czułam miłości, czułości ani ciepła, a jedynie brzydką szorstkość i być może ulgę. Odepchnął mnie na bok i rozejrzał się.

- Macie coś do jedzenia? Umieram z głodu.

- Nie - odpowiedziała Robyn. - Nie mamy nic.

- Trzeba się stąd wynosić - oznajmił Lee. Jego wzrok przesunął się po leżącym żołnierzu, ale nie okazał zaskoczenia. Skupił się na umierającym. - Co on tu robi?

- Śledził Fi - wyjaśnił Homer.

- Nadal żyje - zauważył Lee.

- Tak.

- No więc na co czekacie?

Nie byłam pewna, o co mu chodzi.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedziałam. - I nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Ale chyba niedługo umrze.

- Trzeba się stąd wynosić - powtórzył Lee.

Jego oczy lustrowały ziemię. Nagle pochylił się i podniósł nóż ze smętnej kupki rzeczy należących do żołnierza. Z początku myślałam, że stracił równowagę i upadł na tego chłopaka. Wydałam z siebie nawet zduszony okrzyk i zaczęłam mówić: „Uważaj!”, ale szybko zdałam sobie sprawę, że to zamierzony ruch. Lee niezdarnie przygniół pierś chłopaka kolanem i jednocześnie zatopił w niej nóż, celując w serce. Ranny gwałtownie wciągnął powietrze i lekko unióś obie ręce, machając rozłożonymi palcami. Homer włączył latarkę i w jej jaskrawym, skupionym świetle przypominającym skalpel zobaczyłam, jak twarz chłopaka robi się bardzo biała, a przez powoli otwierające się usta wylewa się krew. Te usta już się nie zamknęły. Potem twarz coś utraciła, uciekł z niej jakiś duch albo coś w tym rodzaju, i żołnierz umarł. Jego twarz nabrała koloru wody, zupełnie straciła barwę.

Fi zaczęła krzyczeć, ale po chwili zaczerpnęła wielki haust powietrza i zamilkła, jakby połknęła ostatni dźwięk. Przycisnęła dłoń do ust i cicho czknęła. Miała wytrzeszczone oczy i wpatrywała się w Lee jak w potwora, jak w Kubę Rozpruwacza. Sama też się go bałam, zastanawiając się, czy zmienił się już na zawsze, czy stał się diabłem. Robyn spazmatycznie łapała powietrze i trzymała się za szyję. Homer wycofywał się, nie odrywając wzroku od tej makabrycznej sceny. Wysunął ręce do tyłu, jakby szukał jakiegoś oparcia. Ale nie znalazł. Ja stałam z otwartymi ustami i patrzyłam na młode ciało na ziemi. Homer upuścił latarkę, więc pochyliłam się, żeby ją podnieść.

Lee wstał i odszedł parę kroków, a potem wrócił.

- Pozbądźmy się go - powiedział, ale z jego głosu zniknęła już cała złość i cała szorstkość. Mówił prawie normalnie, tylko że nie wiedziałam, czy kiedykolwiek będzie jeszcze normalny.

- Nie możemy go pochować - oznajmiłam drżącym głosem. Byłam o krok od hysterii. - Nie ma czasu i nie mamy łopat.

- Przenieśmy go do żlebu - zarządził Lee.

Żadne z nas się nie ruszyło, więc w końcu krzyknął:

- No, dalej, nie stójcie tak! Pomóżcie mi.

Ja podniosłam głowę, która okazała się zadziwiająco ciężka, a Lee złapał za nogi. Nikt z pozostałych nie był w stanie nam pomóc. Taszczyliśmy ciało, szukając wystarczająco szerokiej ścieżki w lesie. Po dziesięciu metrach zaczęłam się pocić. Nie mogłam uwierzyć, że ten drobny chłopak jest tak ciężki. Powoli wysuwał mi się z rąk, ale wtedy podeszła do mnie Robyn i pomogła go nieść.

- Lepiej nie ciągnijmy go po ziemi - powiedziałam. - Ktoś może zauważyć ślady.

Byłam w szoku, słysząc takie bezlitosne słowa z własnych ust, ale nikt z pozostałych nie zareagował. Kuśtykaliśmy dalej. Żadne z nas nie chciało powiedzieć stop i w końcu jakimś cudem dotarliśmy nad żleb. Rozhuściliśmy ciało i zrzuciliśmy je na dół.

- Raczej nam nie pomagał - powiedziałam, po raz drugi przerażając samą siebie.

Próbowałam poprawić reszcie humor, wyciągnąć nas z tego obłądu.

Staliśmy i patrzyliśmy na martwego żołnierza. Jego ciało zredukowało się do rąk i nóg, upodabniając się do popsutej lalki z głową odchylną do tyłu pod okropnym nienaturalnym kątem. Lee odwrócił się bez słowa, wszedł w las i wrócił z dwiema gałęziami, które rzucił na żołnierza. Robyn zaczęła mu pomagać, a potem przyłączyłam się ja. Przez dziesięć minut rzucaliśmy na ciało kamienie i gałęzie. Wiedzieliśmy, że to nie zabije zapachu i nie powstrzyma dzikich psów ani innych mięsożerców, ale pozostawało nam mieć nadzieję, że nawet jeśli rozpoczną się poszukiwania, zwłoki wytrzymają najwyżej parę dni. Była to całkiem rozsądna nadzieja.

Wkrótce doszliśmy do wniosku, że zrobiliśmy już dość. Szarość między drzewami szybko się rozjaśniała, bo w lesie nastawał dzień. Staliśmy przez chwilę. Czułam się dziwnie, jakbym nie mogła odejść bez słowa. Spojrzałam na Robyn - chociaż miała otwarte oczy i nieruchome usta, byłam pewna, że się modli.

- Powiedz to na głos - zachęciłam ją.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Powiedz coś - powtórzyłam.

- Nie mogę - odparła. Na chwilę zmarszczyła czoło, a potem dodała: - Boże, miej go w opiece. - Potem zakończyła zdecydowanym tonem: - Amen.

- Amen - powtórzyłam.

Po chwili Lee powiedział to samo.

Kiedy wracaliśmy do pozostałych, zwrócił się do Robyn:

- Gdybyś widziała to, co ja widziałem wczoraj wieczorem, nie modliłabyś się za żadnego z nich. I nie zastanawiałabyś się, czy postąpiliśmy słusznie. Ci ludzie to psy. Kanalie.

Zrozumiałam wtedy, dlaczego wepchnąłem nóż w pierś tego żołnierza, ale nie przestałam się go bać.

Często najdrobniejsze zadania okazują się tymi, które najtrudniej wykonać. Przeżyliśmy noc śmierci i horroru, strachu i paniki, widzieliśmy wielu umierających ludzi - jednego z bardzo bliska. Straciliśmy dużą część dobytku: wszystko, co zostało w namiotach u Bohaterów Harveya, zniknęło na zawsze. Ale najtrudniejsze okazało się przejście po zwałonym drzewie z powrotem do Piekła.

Przedtem dowiedziałam się jednak, że nie wszystko straciłam. Staliśmy pod drzewem i czekaliśmy na Robyn. Wzięła rzeczy wyjęte z kieszeni żołnierza i poszła je wrzucić do leśnego grobu. Zabrała nawet nóż, cały lepki i czerwony od krwi. Przypomniało mi się wtedy, jak podniosłam zakrwawioną śrutówkę Homera przy Buttercup Lane, i zadrżałam na widok Robyn sięgającej po rękojeść.

Zatrzymaliśmy jedynie latarkę.

Stałam zatem z Lee i Fi, czekając na Robyn i patrząc na Homera, który zacierał ślady małą gałązką. Musieliśmy unikać zwracania uwagi na naszą drabinę. Kiedy tak staliśmy, Lee wziął mnie za rękę i wsunął do niej coś małego. To coś było ciepłe i miękkie. Przez chwilę myślałam, że podał mi jakieś obrzydlistwo. Spuściłam wzrok, wykrzywiając usta. Zobaczyłam jednak swojego małego brązowego misia Alvina wielkości paczki papierosów.

Brakowało mu jednego oka i uszu, miał przetarty materiał na pupie, ale nadal był moim Alvinem, moim misiem.

- Och, Lee - powiedziałałam ze łzami w oczach. - Już myślałam, że go straciłam.

To znaczyło również: „I myślałam, że straciłam też ciebie”.

Wzruszył ramionami, ale wiedziałam, że się ucieszył.

- Jak go znalazłeś? Och, Lee, zaczynałam się ciebie bać. Miałam wrażenie, że bardzo się zmieniłeś.

Zignorował drugą część tego, co powiedziałałam, i skupił się na pytaniu:

- Zabrałem go z twojego namiotu.

- Co? Jak to?

- Ukryłem się za nim, żeby na ciebie zaczekać. Po tym, co zaszło na drodze, byłaś jedyną osobą, z którą miałem ochotę pogadać. Wtedy zaczęła się strzelanina. Alvin leżał na ziemi, pod moimi nogami, więc go złapałem i uciekłem.

- Dokąd?

- Przeczółgałem się kawałek, a potem znalazłem osłonę.

- Jaką osłonę? Gdzie?

- Za zwłokami.

- Za zwłokami?

- W stołówce siedziały obok siebie cztery osoby. Kiedy je zastrzelili, osunęły się jedna na drugą. Schowałem się za nimi.

- O Boże.

- Siedziałem tam, dopóki żołnierze nie weszli do obozu. Wzięli kilku jeńców. Pozostali już nie żyli. Widziałem, co robili z ciałami, i widziałem, co robili z jeńcami. Dlatego uciekłem.

- Zauważyli cię?

Robyn wróciła i chociaż powinniśmy byli ruszać w drogę, opowieść Lee za bardzo nas zahipnotyzowała.

- Tak, ale nie mogli strzelać, bo zraniliby swoich kolegów. Nie byli zbyt dobrze zorganizowani. Posłali kilka serii w las, kiedy uciekałem z obozu, ale spodziewałem się tego, więc robiłem uniki, trzymałem się blisko ziemi i chowałem za drzewami. Kiedy po raz ostatni się obejrzałem, zaczęli palić namioty. Nie ścigali mnie.

- Mnie tak - cicho powiedziała Fi.

- Racja, ale ty jesteś dziewczyną - ponuro powiedział Lee. - Widziałem, jak traktują złapane kobiety.

Homer zaczął się wdrapywać po drzewie.

- Co było potem? - zapytałam z zaciekawieniem.

- Biegłem i biegłem. Kiedy trochę się uspokoiłem, nie wiedziałem, gdzie jestem. W końcu się domyśliłem, że jeśli przeżyliście, będziecie przy drzewie, ale nie wiedziałem jeszcze, jak się tu dostać.

Robyn ruszyła śladem Homera, a Fi przygotowała się na swoją kolej.

- Co się z tobą stało przy dukcie? - zapytałam.

- Kiedy zaczęli do nas strzelać, uciekłem co sił w nogach. Potem zobaczyłem, że zniknęliście, i doszedłem do wniosku, że równie dobrze mogę wrócić do obozu.

- Dziękuję za misia - powiedziałam.

Przez jakiś czas wpatrywałam się w urwisko, snując najróżniejsze myśli i zastanawiając się, jak długo będzie tu stała ta kamienna ściana oraz co jeszcze zobaczy i usłyszy. Marzyłam o tym, żeby spisać jej historię, stworzyć coś trwałego, coś dobrego.

Zwróciłam się do Fi:

- No, dalej, Fi z Wirrawee. Wdrapuj się jak koala. Wdrapuj się jak Alvin.

Zarzuciłam na ramię karabin martwego żołnierza i patrzyłam na trójkę przyjaciół. Homer był już na górze, czyli przy grubym pniu starego białego drzewa, które kiedyś przechyliło się i runęło czubkiem w dół. Tuż za nim zobaczyłam Robyn. Fi powoli zaczęła się przesuwać w ich kierunku.

- Mówiłem, że przydałby się sznur - zawołał Homer.

- Pamiętacie, czego nas uczyli na obozie przetrwania? - zapytała Robyn. - Trzeba przycisnąć palce nóg do powierzchni i chwycić się skały palcami rąk.

Tak wyglądała cała nasza wiedza na temat wspinaczki.

Homer odsunął się od bezpiecznego pnia i zaczął się wspinać na ostatni odcinek urwiska. Nawet z dołu widziałam, jak napina ręce i nogi, szukając punktów zaczepienia. Obrócił głowę w bok i wyglądał jak olbrzymi owad pełznący po pionowej ścianie skalnej. Patrzyliśmy w napięciu, wiedząc, że wkrótce będziemy musieli pójść za nim. Miał do pokonania tylko kilka metrów, ale cena ewentualnego upadku była wysoka. W końcu złapał ręką za krawędź urwiska i podejmując ostatni gigantyczny wysiłek, podciągnął się i na chwilę zniknął nam z oczu. Wkrótce pojawił się znowu. Stał na górze i z uśmiechem patrzył w dół.

- Bułka z masłem - podsumował.

Robyn poszła za nim, wspinając się bardzo szybko, bez zatrzymywania się, aż w końcu ona także wturlała się na krawędź. Tymczasem Fi znalazła się na końcu pnia i z niepokojem spojrzała w górę.

- Dalej, Fi - zawołałam z dołu.

Lee zaczął wspinaczkę po pniu, a Fi niepewnie wyciągnęła rękę, macając w poszukiwaniu jakiegoś punktu oparcia. Homer i Robyn kibicowali jej jak dwa głośniki stereo. Poruszała się bardzo wolno, opierając się na bocznej krawędzi butów, a nie na palcach. W połowie drogi zamarła w bezruchu. Widziałam, jak trzęsą jej się nogi.

- Dalej, Fi - wołaliśmy wszyscy.

- Nie mogę - krzyknęła.

- Szybciej, Fi - ponagliła ją Robyn. - Zbliżają się żołnierze.

Nie zbliżali się, ale podziałało. Fi wdrapała się metr wyżej, a potem wyciągnęła rękę w stronę Robyn, która na szczęście ją złapała. Wołałam nie myśleć, co by było, gdyby jej się nie udało. Mimo to Robyn musiała się porządnie napocić, zanim zdołała wciągnąć bezwładne ciało Fi na górę.

Fi wiele razy wykazała się odwagą i wielką siłą, ale wyglądało na to, że ostatnie

dwanaście godzin wyprało ją z resztek energii.

Lee wszedł na górę bez większych problemów. Jego niewątpliwym atutem był wysoki wzrost. Tymczasem ja dotarłam już do ostatniej gałęzi i uważnie go obserwowałam. Opracowałam sobie trasę biegnącą nieco bardziej w prawo niż ta wybrana przez Lee, a potem wzięłam wielki haust czystego strachu, odsunęłam się od bezpiecznego pnia i ruszyłam w górę. Wiedziałam, że najważniejsze to uniknąć paniki. Za każdym razem, kiedy nawiedzała mnie przerażająca myśl o upadku, o nieuchronnym upadku, powtarzałam sobie, że muszę być dzielna, kontrolować własny umysł i wykazać siłę. Poczulałam jednak fizyczne zmęczenie. Byłam głodna, bolało mnie kolano i wspinaczka trwała zbyt długo, pochłaniając całą moją energię. Przyspieszyłam trochę, spojrzałam w górę i zobaczyłam wyciągniętą rękę Homera, po którą wystarczyło sięgnąć.

- Nie potrzebuję pomocy - warknęłam.

I w tym momencie spadłam. Bardzo szybko, bez żadnego ostrzeżenia. Moje palce równocześnie straciły oparcie. Wiedziałam, że jestem zbyt daleko, żeby złapać się drzewa, i miałam świadomość, że pozostały mi tylko dwa wyjścia: hamować rękami i przy okazji zedrzeć z nich skórę albo runąć w dół i połamać nogi. Postanowiłam użyć rąk. Byłam tak blisko skalnej ściany, że lecąc w dół, mogłam do niej przyłgnąć, chwycić się jej i drapać, wykorzystując każdy możliwy punkt zaczepienia dla kolan, palców, piersi i rąk. Wylądowałam na dole, uniknąwszy prędkości, która byłaby poza moją kontrolą, ale i tak ciężko gruchnęłam o ziemię, jeszcze raz uderzyłam się w kolano i poturlałam po ziemi, aż w końcu zatrzymałam się na skale. Leżałam ponuro, pałając nienawiścią do całego świata. Nie miałam odwagi spojrzeć na palce. Wstałam i otrzepałam ubranie, a potem wróciłam do pnia. Rozzłoszczona zaczęłam się wspinać po raz drugi, nie zważając na szczypanie rąk, tępy ból w kolanie i w plecach. Z góry dobiegały zaniepokojone okrzyki. Pozostała czwórka wychylała się zza krawędzi i pokrzykiwała jak samotne kakadu.

- Nic mi nie jest - mruknęłam, wiedząc, że i tak mnie nie słyszą.

Dotarłam do końca suchego białego pnia i na chwilę zamarłam w bezruchu, tuląc się do niego i lekko drżąc.

- Rzuć karabin - zawołał Homer.

Dotarło do mnie, że karabin, który wcześniej przewiesiłam przez ramię, nadal tam jest. To przez niego bolały mnie plecy. Miałam szczęście, że nie wypalił. Niezdarnie go zdjęłam, zważyłam w dłoniach i z wysiłkiem rzuciłam w stronę krawędzi urwiska. Ledwie doleciał, ale kiedy zaczął z powrotem opadać, Robyn złapała go za kolbę i podciągnęła do góry. Po chwili wychyliła się po mojej lewej stronie.

- Wejdz tędy, Ellie - zawołała.

Była tam dość szeroka półka skalna, która donikąd nie prowadziła, więc żadne z nas z niej nie skorzystało. Zrozumiałam jednak, do czego zmierza Robyn. Moi przyjaciele utworzyli łańcuch z ludzi. Lee trzymał Robyn, a ona wisiała nad przepaścią z karabinem w ręku. Nie widziałam, kto trzymał Lee z drugiej strony. Przesunęłam się w stronę półki i wyciągnęłam rękę. Udało mi się złapać lufę karabinu.

- Och, Ellie, twoje biedne ręce - przeraziła się Robyn.

- Mam nadzieję, że rozładowaliście karabin - powiedziałam.

- No jasne. Dasz radę go utrzymać?

- Tak, ciągnij.

- Na pewno?

- Po prostu ciągnij.

Zaczęła się odsuwać. Obie ponuro ścisnęłyśmy karabin. Przez chwilę cały ciężar mojego ciała spoczywał na barakach Robyn, ale udało mi się jej pomóc nogami i wdrapałam się na ostatni odcinek skalnej ściany. Potem Homer i Fi złapali mnie pod pachy i wciągnęli na górę. Wylądowałam na Robyn, a następnie odczołgałam się na bok i opadłam na ziemię, totalnie wyczerpana.

Fi wzięła moją prawą dłoń i zaczęła lamentować. Zaciekawiona podniosłam głowę. Ręka była poharatana i zakrwawiona. Końcówki palców zrobiły się krwistoczerwone i zniknęły wszystkie opuszki z wyjątkiem kciuka. Lewa ręka przedstawiała równie opłakany widok. Im dłużej im się przyglądałam, tym bardziej piekły.

Żadna z nas nie mogła na to nic poradzić, więc tylko sobie popłakałyśmy. „Nie ma to jak dobry płacz” - mawiała moja babcia. Byliśmy zziębnięci, głodni jak wilki, obolali, posiniaczeni i poranieni, a przede wszystkim zszokowani i rozpaczliwie nieszczęśliwi. Prawdopodobnie nie minęło jeszcze wpół do ósmej i słońcu brakowało mocy, żeby rozświetlić albo ogrzać tę okropną ciemność, która wypełniła nas w nocy. Dlatego siedzieliśmy pod drzewami - nadal pamiętaliśmy o względach bezpieczeństwa - i beczeliśmy jak małe dzieci. Ciekło mi z oczu i z nosa, a kiedy próbowałam wytrzeć twarz, ręce bolały mnie tak mocno, że musiałam zrezygnować. Fi leżała z głową na moich kolanach i płakała tak długo, że zmoczyła mi dzinsy.

W końcu trochę się uspokoiłam. Podniosłam głowę i rozejrzałam się. Przedstawialiśmy żaloszny widok. Robyn miała całą twarz pokrytą zaschniętą krwią, a Lee podbite oko, które zaczynało się robić fioletowe. Cuchnęliśmy tak, jakbyśmy nie myli się od miesięcy. Nasze ubrania były porwane i brudne. Od początku inwazji wszyscy schudliśmy i w

zbyt luźnych ciuchach wyglądaliśmy jak obdartusy. Spojrzałam na Lee. Stał zwrócony plecami do zarośli i spokojnie mi się przyglądał. Jak wielu wysokich ludzi, zazwyczaj trzymał głowę lekko opuszczoną. Miał na sobie szary T-shirt z błyskawicą i napisem: „*Bom to Rule Tour*”. Wiedziałam, co jest z tyłu - nazwa jego ulubionego zespołu: Impunity. Jego dzinsy podarły się na kolanie, a sznurówka jednego buta zrywała się i była związywana tyle razy, że trudno było odróżnić kokardkę od supłów. Jak zwykle nosił T-shirt na wierzchu, nie w spodniach. Materiał był podarty na prawym ramieniu, a na wysokości serca, pod słowem „*Rule*”, miał wypaloną dziurę. Dolna część koszulki była tak porwana, że przypominała frędzle.

Mimo wszystko Lee miał w sobie tyle uroku i tyle godności, że w tamtej chwili zakochałam się w nim po uszy, jak jeszcze nigdy dotąd. Lekko się do niego uśmiechnęłam i podniosłam głowę Fi z kolan.

- Chodźcie - powiedziałam. - Wynośmy się stąd.

- Wiesz, że to najczęściej używane zdanie w filmach? - zapytał Lee.

Patrzył na mnie z głową lekko przechyloną na bok. Miałam niepokojące wrażenie, że czyta mi w myślach.

- Jak to? - zaciekawiałam się.

Lee wzruszył ramionami.

- To najczęściej używane zdanie w filmach. Występuje w sześćdziesięciu procentach produkcji czy jakoś tak.

Podszedł i podniósł mnie z ziemi. Pozostali już szykowali się do drogi. Dowleliśmy się do strumienia, by rozpocząć marsz, który budził we mnie przerażenie: długą, uciążliwą drogę powrotną w górę strumienia, którą mieliśmy pokonywać pochyleni, w zimnej wodzie nieustannie obmywającej nogi. Plusem - choć tak naprawdę wielką stratą - było jedynie to, że tym razem nie obciążały nas plecaki. Dość dużą część podróży poświęciłam na tworzenie listy rzeczy, które przepadły. To było przygnębiające. Zabrano nam już tyle, że dalsze straty wydawały się zupełnie nie fair. Może w końcu stracimy wszystko. Szczęście, przyszłość, życie. A może szczęście i przyszłość już straciliśmy Brnąc strumieniem w stronę Piekła, znowu zaczęłam płakać.

Dowleliśmy się do obozu przed południem. Była najwyżej pora lunchu. Przed inwazją rozpoczynaliśmy dzień o dziewiątej. Potargani siedzieliśmy w klasach, przecieraliśmy oczy i ziewaliśmy. Tym razem jeszcze przed śniadaniem przeszliśmy - i wycierpieliśmy - więcej niż niektórzy w ciągu całego życia.

To była kolejna rzecz, której musiałam się nauczyć: oczekiwania straciły wszelkie

znaczenie. Nie mieliśmy prawa niczego oczekiwać. Nawet tego, co dotąd było oczywistością - oczywistości to przecież rodzaj oczekiwań, więc i do nich straciliśmy prawo. Na przykład nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że w obozie nie zastaniemy Chrisa. A jego nie było.

Na początku niezbyt się tym przejęliśmy. Rzuciliśmy się na jedzenie i wołaliśmy Chrisa, trzymając je w obydwu rękach. Przynajmniej pozostali. Ja byłam zbyt osłabiona i za bardzo bolały mnie dłonie. Wcześniej myślałam, że jestem głodna, ale nagle straciłam apetyt. Siedziałam na pieńku i patrzyłam, jak Robyn pochłania pieczoną fasolę z serem, Lee pałaszuje herbatniki z dżemem, Fi jabłko i suszone owoce, a Homer muesli. Robyn poszła z pełnymi ustami po apteczkę i przyniosła mi ją.

- Jak twoje ręce? - zapytała.

- W porządku. Chyba bardziej boli mnie kolano.

Kiedy szliśmy strumieniem, kilka razy zanurzyłam ręce w wodzie, więc wypłukałam z nich żwir i brud. Teraz skóra wokół opuszków wydawała się miękka i delikatna, ale same opuszki pokrywała ciemna, truskawkowa czerwień krwi i maleńkie kawałki poszarpanej skóry. W zasadzie końcówki palców wyglądały jak starte papierem ściernym. Na obydwu dłoniach widać było krwawe strupki pozostawione przez żwir, które także szczypały, ale wyglądały trochę lepiej niż opuszki. Robyn posmarowała zakrwawione miejsca maścią, a potem ostrożnie obwiązała każdy opuszek gazą i bandażem. Jednocześnie karmiła mnie jak ptasia mama pisklę. Kiedy skończyła, musiałam wyglądać dość głupio, bo siedziałam z ośmioma palcami wycelowanymi w niebo, a każdy był starannie przykryty własną białą miniaturową czapeczką. Mimo to naprawdę poczułam się lepiej, zwłaszcza że mój żołądek wypełnił się kilkoma daktylami i słodkimi herbatnikami.

- Jak myślisz, gdzie się podział Chris? - zapytałam ją, kiedy skończyła owijać ostatni palec.

- Nie mam pojęcia. Długo nas nie było. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

- Pewnie czuł się tutaj samotny.

- Pewnie tak, ale nie wydaje mi się, żeby Chrisowi przeszkadzała samotność.

- Mhm, to dziwny koleś.

Po posiłku zaczęliśmy go szukać na poważnie. W Piekło nie było wielu miejsc, w których mógłby się schować. Wiedzieliśmy, że nie ma go w chatce pustelnika, bo mijaliśmy ją w drodze powrotnej na polanę. Homer i Fi szukali wzdłuż ścieżki prowadzącej aż do Wombegonoo, a reszta z nas zaczęła przetrząsać zarośla, w których mogło dojść do jakiegoś wypadku. Krążyłam z rękami w górze i czułam się bezużyteczna. W lesie nie było jednak śladu po Chrisie. Kiedy Homer i Fi wrócili z Wombegonoo, poziom naszego strachu i

napięcia znowu zaczął rosnać.

Po tym, przez co przeszliśmy, zniknięcie Chrisa wydawało się okrutne. Wieki temu nauczyłam się jednak, że okrutne rzeczy także się zdarzają.

Zebraliśmy się na polanie.

- Chyba zniknął już jakiś czas temu - powiedział Homer. - Ognisko wygląda tak, jakby nie było rozpalane od dnia naszego odejścia.

- Może mu się nie chciało - podsunęła Fi.

- W nocy było zimno.

- Wszystkie jego rzeczy nadal leżą w namiocie - powiedziała Robyn. - Przynajmniej tak mi się wydaje. Jest tam jego śpiwór i plecak.

Poszłam i zajrzałam do namiotu. Szukałam notesów Chrisa. Byłam pewna, że gdyby z jakiegoś tajemniczego powodu postanowił opuścić Piekło, zabrałby je z sobą. Ale wszystkie były w namiocie. Miał ich cztery. Zajrzałam do tego leżącego na wierzchu i zobaczyłam, że jest zapisany tylko w połowie, więc uznałam, że ten jest ostatni. Chris na pewno by go nie zostawił.

Wróciłam do reszty. Fi wyglądała na wystraszoną.

- Ale chyba nie myślicie, że ktoś tutaj był? - zapytała.

- To niemożliwe - powiedziałam. - Wszystko jest na swoim miejscu.

Lee zajrzał do kur i jagnięcia.

- Mają wodę i jedzenie - oznajmił.

Poszłam i też zajrzałam do zwierząt. Nie dlatego, że nie ufałam Lee - po prostu wiedziałam, że są pewne szczegóły, których mieszczuch może nie zauważyć. Wróciłam do pozostałych i zameldowałam:

- Woda jest trochę stęchła. Nie była zmieniana od paru dni.

Co jeszcze mogliśmy zrobić. Wyczerpaliśmy wszystkie dostępne możliwości. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie.

- Chyba dzisiaj więcej nie zdziałamy - powiedział Homer. - Jeśli opuścił Piekło, może być już nawet w Stratton. Albo jeszcze dalej.

- Może poszedł za nami do doliny Holloway? - podsunęłam.

- Nawet tak nie mów! - przeraziła się Fi.

- Słuchajcie - zaczęła Robyn - nie wpadajmy w panikę. Na razie nie możemy nic zrobić. Rozpaczliwie potrzebujemy snu. Jak powiedział Homer, Chris może być gdziekolwiek. Myślę, że gdyby istniało jedno konkretne miejsce, do którego moglibyśmy pójść i go znaleźć, pewnie od razu byśmy wstali i ruszyli w drogę. Ale nie mamy rady

przejechać całą dolinę Wirrawee. Chodźmy do łóżek.

- Łatwo powiedzieć - zauważył Lee. - Nie mamy łóżek.

Miał rację. Straciliśmy śpiwory, które prawdopodobnie spłonęły w namiotach podczas masakry w obozie Bohaterów Harveya.

Zaczęliśmy przetrząsać namioty. Mieliśmy dwa koce, sześć ręczników i sporo ciepłych ciuchów. Ubraliśmy się ciepło, włożyliśmy kominiarki i grube skarpety, a wszyscy oprócz mnie sięgnęli jeszcze po rękawiczki. Fi musiała mnie ubrać jak manekina w sklepie. Potem powlekliśmy się do namiotów, niosąc wszystkie okrycia, jakie udało nam się znaleźć.

- Żadnych hałasów przez następne cztery godziny - zawołałam, kuśtykając.

- Dobrze, mam - odpowiedział Homer.

Wczołgałam się do namiotu razem z Fi. Położyłam się, a ona przykryła mnie ręcznikami i kocem. Potem starała się jak najlepiej przykryć siebie. Kiedy skończyła, leżałyśmy i tylko na siebie patrzyłyśmy. Byłyśmy zwrócone twarzą do siebie i dzielił nas zaledwie metr. Milczałyśmy przez dłuższą chwilę. Potem westchnęłam.

- Och, Fi.

- Tak - powiedziała. - Wiem, co masz na myśli.

- Kiedy Lee to zrobił... - zaczęłam. - To było okropne.

- Wiesz - powiedziała Fi - ten żołnierz leżał tam tak długo, że w pewnym sensie go polubiłam. Miałam wrażenie, że go znam. Zaczęłam zapominać, że mnie śledził.

- Ja też.

- Jak myślisz, ile miał lat?

- Nie wiem. Nie więcej niż my.

Fi zadrzała.

- Co się z nami dzieje? Do czego nas to doprowadzi?

- Nie mam pojęcia.

- Boję się - powiedziała Fi. - Nie wiem, co się stanie.

- Ja też się boję.

- Ale nigdy nie wyglądasz na wystraszoną.

- Naprawdę? Serio? Boże, czuję taki strach...

- Kiedy spadłaś z urwiska...

- Wtedy się bałam. Ale gdy wszystko dzieje się tak szybko, nie ma czasu porządnie się wystraszyć.

- Mhm.

- Poza tym sama byłam sobie winna. Homer chciał mi pomóc, ale nie złapałam go za

rękę.

- Kiedy weszłaś na górę, twoje palce wyglądały okropnie.

- Szkoda, że nie patrzyłaś na nie moimi oczami.

- Bardzo cię bołą?

- Trochę.

- Chciałabym być odważna - powiedziała Fi.

- Jesteś. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Zrobiłaś tyle odważnych rzeczy. Nigdy nas nie zawiodłaś, ani razu.

- Tamci ludzie na drodze, kapitan Killen i pozostali... Zdajesz sobie sprawę, że widzieliśmy śmierć dwunastu osób? Śmierć, zabijanie, martwe ciała. Założę się, że Sharyn, Davina i Olive też zginęły. Nigdy wcześniej nie widziałam martwego człowieka. Jedynie rozjechane zwierzęta na drodze. I naszą klasową świnkę morską w drugiej klasie. Nazywaliśmy ją G.P. Kiedy umarła, przepłakałam całe popołudnie. A teraz mam wrażenie, że zewsząd otacza nas śmierć.

- Ciekawe, gdzie się podział Chris.

- Dziwna sprawa.

- Wiesz, że często popijał?

- Jak to: często popijał?

- Kiedy tylko nadarzyła się okazja, przywoził tu alkohol, a potem chyba sam go wypijał.

- Raczej nie było tego zbyt dużo?

- Mhm, ale wydaje mi się, że tamtej nocy, kiedy zaatakowaliśmy konwój, był ostro napruty. Tak samo jak wtedy, gdy wyruszyliśmy w stronę Risdon, a była dopiero dziesiąta rano.

- Co próbujesz powiedzieć?

- Sama nie wiem. Chyba po prostu mi się to nie podobało. To, że popijał za naszymi plecami.

- Twierdzisz, że jest alkoholikiem?

- Nie, nie o to chodzi. Ale chyba ma z tym jakiś problem. Myślę, że to dziwny facet, który robi się jeszcze dziwniejszy, a my nie dogadujemy się z nim tak dobrze jak z sobą nawzajem. Nie uważasz, że coraz trudniej się z nim rozmawia?

- Masz rację, ale ja i Chris nigdy nie nadawaliśmy na tych samych falach. W szkole był takim odludkiem.

- Mimo to ciekawy z niego facet. Świetnie pisze. Myślę, że jest kimś w rodzaju

geniusza.

- O tak. Ale chyba nigdy go nie zrozumie.

- Gdybyś mogła wybrać jedną osobę, która mogłaby tutaj z nami zamieszkać, kto by to był?

- Moja mama.

- Oprócz członków rodziny.

- Oczywiście Corrie i Kevin.

- Tak, ale oprócz nich.

- Chyba Alex Law.

- Alex? Jest taka dwulicowa.

- Wcale nie. Po prostu nigdy nie chciało ci się jej lepiej poznać.

- Ona mnie nie znosi.

- Nieprawda. Tobie się wydaje, że wszyscy cię nie znoszą.

- Wcale nie. Tylko wszystkie dziewczyny w szkole. I wszyscy chłopcy. I nauczyciele.

Nikt poza tym.

- Więc twierdzisz, że pan Whitelaw cię lubi?

Pan Whitelaw był szkolnym woźnym, który naprawdę mnie nienawidził, bo kiedyś naskarżyłam, że podgląda dziewczyny w szatni. Miał szczęście, że nie wylali go wtedy z pracy.

- Och, przepraszam, zapomniałam o nim.

- Kogo ty byś wybrała?

- Merriam.

- Mhm. Merriam jest fajna.

Podobała mi się ta rozmowa. Była chyba naszą pierwszą normalną rozmową od wieków. Zupełnie jakbyśmy na chwilę wrócili do dawnych czasów, tych sprzed inwazji.

- Co myślisz o Bohaterach Harveya? - zapytałam.

Fi przez chwilę się zastanawiała.

- To wszystko było jakieś dziwne, prawda? Czy major Harvey naprawdę pracował jako zastępca dyrektora liceum?

- Najwidoczniej tak.

- W takim razie skąd wytrzasnął mundur?

- Kto wie? Prawdopodobnie z szafy z kostiumami. Olive powiedziała, że służył w Armii Rezerwowej, ale na pewno nie był majorem.

- Lubiałam Olive.

- Tak, wydawała się w porządku.

- A Sharyn?

Zamyśliłam się. Przypomniałam sobie, że Sharyn już pewnie nie żyje i dlatego trudno mi było powiedzieć to, co naprawdę o niej myślałam.

- Nie była taka zła. To znaczy nie wybrałabym jej na najlepszą przyjaciółkę na świecie, ale z czasem ją polubiłam, w pewnym sensie stałam się od niej zależna.

- Mhm - przytaknęła Fi. - Dziwnie było znowu znaleźć się wśród dorosłych. Dobrze, ale dziwnie.

- Nie zawsze było dobrze. Uważali, że jesteśmy zupełnie niedojrzali. Nie dali nam nawet szansy. Strasznie działali mi na nerwy. Przecież zrobiliśmy dwa razy więcej niż oni, a traktowali nas tak, jakbyśmy ledwie potrafili wytrzeć talerze. Wiesz, że kiedy zmywałam naczynia, pani Hauff nie pozwoliła mi podgrzać wody w patelni? Powiedziała, że mogłabym się poparzyć! A major Harvey cały czas siedział na tyłku i powtarzał, jak mało mają ludzi i broni! Nas jest sześcioro i praktycznie w ogóle nie mamy broni, a naprawdę sporo zdziałaliśmy. Udało nam się wiele zmienić.

- Mhm. Ale dorośli zawsze tacy są.

- Chcesz dorosnąć?

- Jasne, że tak! A ty nie?

- Tak sobie myślałam... Dorośli często wydają się nieszczęśliwi i przygnębieni, jakby życie było bardzo skomplikowane i kłopotliwe. Wydaje mi się, że wszystko wyolbrzymiają. Wiem, że dla ludzi w naszym wieku świat nie zawsze jest miły i że my też mamy problemy, ale chyba nie są aż tak poważne jak problemy dorosłych.

- Po prostu musimy się spisać lepiej niż oni, i tyle.

- Mhm, pewnie też tak mówili, kiedy byli w naszym wieku.

- Własne sprawy potrafią przysłonić resztę świata.

- Powinniśmy byli bardziej się interesować różnymi rzeczami. Pamiętasz, jak Kevin pytał, jakie traktaty podpisaliśmy z innymi krajami? Nikt z nas nie umiał mu odpowiedzieć. Nie powinniśmy byli zostawiać wszystkiego w rękach polityków.

- Politycy! - skrzywiła się Fi. Nagle wpadła w złość. - To szumowiny. Łachudry.

Zachichotałam.

- Kurczę, Fi, jak na ciebie to ostre słowa.

- Pamiętasz tamte audycje? Kiedy o nich myślę, robi mi się niedobrze.

Wiedziałam, co ma na myśli. Słuchanie wypowiedzi naszych przywódców politycznych w waszyngtońskim radiu - ich kłamstw, wymówek i obietnic - budziło w nas

taką złość, że kiedy zaczynali, zgodnie wyłączaliśmy radio.

- Myślałem, że chciałyście czterech godzin ciszy - mruknął Lee w sąsiednim namiocie.

- Przepraszam - powiedziałam ze skruchą.

Fi ziewnęła i ułożyła się w wygodniejszej pozycji.

- Idę spać - oznajmiła.

- Okej. Dobrej nocy. Albo raczej dobrego poranka.

Zasnęła dość szybko. Ja nie mogłam. Leżałam, od czasu do czasu zapadałam w drzemkę, ale prawie natychmiast się budziłam. Sen był moją ostatnią drogą ucieczki, ale nawet on zamykał przede mną drzwi. Od zasadzki przy Buttercup Lane miałam problemy ze spaniem. Byłam pewna, że będę się z nimi borykała do końca życia. I że koniec mojego życia jest już bliski.

12

Następne dwa tygodnie mijały powoli. W zasadzie nie tyle mijały, ile wlekły się niemiłosiernie. Nigdzie nie było widać najmniejszego śladu Chrisa ani nawet najdrobniejszej wskazówki, która podpowiedziałyby nam, dokąd poszedł. Pozostali trzy razy opuszczali Piekło, żeby go poszukać: za pierwszym razem tylko w moim domu, za drugim w domach Kevina i Homera, a za trzecim razem pojechali nocą rowerami aż do domu Chrisa. Zaryzykowali i zostawili tam liścik informujący o swojej wizycie, bo uznali, że jeśli Chris gdziekolwiek jest, to najprawdopodobniej gdzieś niedaleko swojego domu.

„Jeśli gdziekolwiek jest”. Jasne, że gdzieś był. Każdy gdzieś jest, prawda?

W końcu usiadłam i przeczytałam jego notesy, niezdarnie przewracając kartki zmaltretowanymi palcami. Wcale mi się to nie podobało, ale zapytałam o zdanie pozostałych i zgodnie uznali, że to w porządku - mieliśmy nadzieję, że dzięki temu dowiemy się, gdzie jest Chris. Moim zdaniem fakt, że zostawił swoje notesy, nie wróżył niczego dobrego. Był do nich bardzo przywiązany. Ale może któryś zabrał, może miał ich więcej niż cztery.

Notesy Chrisa były całkiem inne niż moje. On wykazywał się większą kreatywnością, zapisywał przeróżne rzeczy, pomysły, wiersze, historie i myśli o życiu. Na przykład takie: „Zabijamy wszystkie gąsienice, a potem narzekamy, że nie ma motyli”.

Niektóre z tych stron widziałam już wcześniej, ale ostatnich nie. Było tam mnóstwo nawiązań do Piekła, ale czasami nie miałam pewności, czy chodzi o nasze Piekło - o to, w którym mieszkaliśmy - czy może o to drugie, które też nie było nam obce. Niektóre wiersze były raczej dołujące, ale zawsze wiedziałam, że Chris lubi się dołować.

Kiedy śpię,
Zły czarny koń
Wkrada mi się do głowy
I biega po umyśle.
Robi tam, co chce.
Nazajutrz czuję
Spustoszenie.

W cichej mgle

Patrzę, jak ona odchodzi,
Jakby padał śnieg.
Nawiedza mnie to uczucie.
Wracam do domu
Smutno i powoli.

Ale nie wszystkie były dołujące.

Żrebak obudził się do życia:
Drzenie mokrych nóg,
Zdumione oczy w słomie
I mocny, wilgotny zapach narodzin.
Potem nastał ranek,
Światło życia.

Ten zapamiętałam, bo pokazał mi go w pierwszym tygodniu swojego pobytu w Piekle.
Bardzo mi się spodobał. Chris często pisał o koniach. Pewnie dlatego, że Langowie mieli
spora stadninę.

Klaczę i żrebaki
Potykają się
W porannej mgle,
Uciekając z ciemności,
W której zostały ich cienie.

Żyję w świetle,
Ale noszę z sobą mrok.

Ten był chyba najnowszy. Nigdy wcześniej go nie widziałam:

Zaniosą mnie na pole
Przez kłęby mgły,
Rosa pokryje mi twarz,
A jagnię przystanie,
Żeby na mnie spojrzeć
Rozumnymi oczami.
Żołnierze - oni przyjdą,

Złożą mnie w ciemnej, zimnej ziemi
I zepchną grudy na twarz.

Odkładając notatniki Chrisa, myślałam tylko o tym, że im głębiej czujemy, tym trudniej nam żyć. Komu są potrzebne uczucia? Czasami, kiedy czujesz miłość albo szczęście, uznajesz je za dar. Innym razem są jak przekleństwo.

Wyglądało na to, że dla Chrisa uczucia są raczej przekleństwem niż błogosławieństwem.

Znowu zaczęłam się zastanawiać, co słyszeć u Corrie i Kevina. Biedny Kevin. Wyobrażałam sobie, jak siedzi na terenie wystawowym, spogląda przez drut kolczasty i oczami wyobraźni widzi nas w Piekło, nadal na wolności. Pewnie nam zazdrościł, żałował, że nie jest wśród nas. Nie byliśmy jednak do końca szczęśliwi. Zawsze mnie uczono, że wolność jest najważniejsza, ale to nieprawda. Lepiej być w kajdanach z ukochanymi ludźmi, niż cieszyć się wolnością w samotności.

Pomyślałam, że powinniśmy ułożyć listę zasłużonych - ludzi, których straciliśmy: Corrie i Keva, a teraz chyba także Chrisa. Możliwe, że wkrótce dołączą do nich następni. Chyba właśnie rozmyślanie o tym sprawiło, że tak się wściekłam, kiedy przyłapałam Homera na tworzeniu zupełnie innej listy. Stał obok dużego eukaliptusa i starannie wycinał pionowe kreski w pniu.

- Co robisz? - zapytałam.

- Zapisuję wynik - odpowiedział.

- Wynik? Jaki wynik?

- Liczbę ofiar, które mamy na swoim koncie.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Masz na myśli ludzi, których zabiliśmy?

- Tak - przyznał, ale wściekłość w moim głosie go ostrzegła i spojrzał na mnie lekko zdenerwowany.

- Chyba żartujesz! To jakiś cholerny żart! Ty głupi jak but, cholerny kretynie, myślisz, że to coś w rodzaju meczu piłki nożnej?

- Uspokój się, Ellie, przecież to nic takiego.

- Homer, ty nawet nie lubisz sportu, nigdy nie lubiłeś, a teraz obracasz najgorsze doświadczenia naszego życia w jakąś cholerną grę!

- Dobra, dobra, uspokój się. Nie będę tego robił, skoro tak bardzo ci to przeszkadza.

Kiedy zdał sobie sprawę, jak głupio się zachował, zaczął wyglądać na skruszonego.

Byłam tak przybita, że wolałam się więcej nie odzywać. Mimo obolałego kolana szybko odeszłam w stronę szlaku. To niesamowite, że Homer raz potrafił być niezwykle inteligentnym przywódcą, a innym razem robił coś niewyobrażalnie głupiego. Zachowywał się tak od zawsze i chociaż od początku inwazji wykazał wiele wspaniałych cech, nadal potrafił przekreślić je wszystkie w jednej chwili, czego właśnie dowiodł. Śmierć i zniszczenie, które widzieliśmy i które sami sialiśmy, okropnie mnie przygnębiały. Nie mieściło mi się w głowie, że ktoś mógłby na nie patrzeć zupełnie inaczej.

Sama nie wiem.

Gdy ktoś dogonił mnie na początku szlaku, byłam zbyt smutna, by zwrócić na niego uwagę. Chwycił mnie za rękę i powiedział:

- Hej, Ellie, spokojnie, spokojnie.

To był Lee.

- Co się stało? - zapytał.

- Oj, po prostu ten głupek Homer jest dziś bardziej wkurzający i dziecinny niż zwykle.

Lee nadal trzymał mnie za rękę, więc trochę bardziej się do niego odwróciłam, a wtedy przytulił mnie do piersi. Powzdychałam, a potem zdałam mu pytanie, które usłyszałam od Fi:

- Co z nami będzie, Lee?

- Nie wiem.

- Nie mów tak. Wszyscy to mówią. Chcę, żebyś był inny niż wszyscy.

- Jestem inny. Jestem mordercą.

Kiedy to powiedział, poczułam, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

- Nie, Lee, to nieprawda.

- Chciałbym ci wierzyć. Ale słowa niczego nie zmieniają.

- Myślisz, że postąpiłeś źle?

Długo zwlekał z odpowiedzią, więc uznałam, że jego pierś stłumiła mój głos i nie usłyszał pytania. Zaczęłam je powtarzać, ale wtedy mi przerwał.

- Nie. Ale boję się, że noszę w sobie coś, co potrafi mnie popchnąć do potwornych rzeczy.

- Wczoraj w nocy wiele się wydarzyło. Możliwe, że nigdy więcej nie przeżyjemy niczego podobnego. Każdy by oszalał, gdyby zobaczył to co ty.

- Ale może kiedy raz się zabije, potem przychodzi to już łatwiej.

- Ja też zabiłam - powiedziałam.

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że w twoim wypadku było inaczej.

Chris powiedział, że tamten koleś był rozerwany na strzępy. Poza tym użycie noża wydaje się zupełnie inne niż oddanie strzału.

Nie odezwałam się, więc po chwili ciągnął dalej:

- Często o tym myślisz?

Wtedy strasznie się popłakałam. Szlochałam tak, jakby płuca miały mi wyjść ustami. Długo nie mogłam się uspokoić. Zadziwiające było to, że Lee cały czas mnie przytulał, jakby mógł tak czekać w nieskończoność. W końcu wykrztusiłam słowa o koszmarze, który prześladował mnie za dnia:

- Ciągle mam wrażenie, że na niebie, tuż nade mną, unosi się wielki cień. Zaslania światło i wszędzie za mną chodzi.

Kiedy trochę się uspokoiłam, ruszyliśmy szlakiem. Mocno tuliłam się do Lee, chociaż w ten sposób trudniej było iść wąską ścieżką. Na chwilę usiedliśmy na skale. Zauważyłam, że po ramieniu chodzi mi maleńki pająk. Znalazłam cieniutką nitczkę pajęczyny, która łączyła go z moim ciałem i dzięki której mogłam go odstawić na ziemię.

- Skok na bungee w wykonaniu pająka - podsumował Lee, przyglądając się temu.

Uśmiechnęłam się.

- Myślisz, że postąpiłem źle? - zapytał Lee, nadal patrząc na pająka.

- Nie wiem. Zapytaj Robyn. Zapytaj Homera. Zapytaj kogokolwiek, byle nie mnie.

- Przecież to ty zawsze wiesz, co jest dobre, a co złe - powiedział.

- Co? Co? - Odsunęłam go na długość ręki i z niedowierzaniem spojrzałam mu w twarz. - Co ty powiedziałeś?

- Nie mam racji?

- Lee, wiem na temat dobra i zła tyle samo co ten pająk.

- Aha. Mówisz serio? Zawsze wydajesz się taka pewna siebie.

- Boże, naprawdę? A niedawno usłyszałam od Fi, że nigdy nie wyglądam na wystraszoną. Myślałam, że dość dobrze mnie znacie. A wychodzi na to, że nie do końca. Jediną rzeczą, co do której mam pewność, jest to, że zupełnie brakuje mi pewności. Zadręczam się każdym naszym ruchem. Pamiętasz, jak spałam z tobą w namiocie, a ty o niczym nie wiedziałeś?

Roześmiał się. Pewnej nocy wróciłam do obozu bardzo późno i byliśmy zupełnie sami. Lee już spał, a ja wczółgałam się do jego namiotu i zasnęłam obok.

- No więc tamtej nocy, w drodze powrotnej do Piekła, zatrzymałam się na chwilę na Szwie Krawca i siedziałam tam, patrząc na niebo i próbując rozpracować kilka spraw.

- Tak, pamiętam. Mówiłaś mi.

- Doszłam tylko do jednego wniosku, ale to dla mnie bardzo ważne. Zdałam sobie sprawę, że moją jedyną pozytywną cechą jest właśnie brak pewności, że to coś w rodzaju daru.

- Jak to?

- Chcę powiedzieć, że im bardziej jesteśmy pewni swoich przekonań, tym większe prawdopodobieństwo, że tkwimy w błędzie. Najbardziej mnie przerażają właśnie ci wszyscy pewni siebie ludzie, którzy widzą świat w czarno-białych barwach i nigdy nie przychodzi im do głowy, że mogliby się mylić, a ktoś inny mógłby mieć rację. Kiedy brakuje ci pewności, ciągle się pilnujesz i pytasz sam siebie, czy jesteś na właściwej drodze. Więc to, co przed chwilą powiedziałeś, bardzo mnie uraziło.

Roześmiał się.

- Aha. Przepraszam. Ale w obozie byłaś pewna, że Homer postępuje źle.

- Ojej. Tak, ale naprawdę zrobił coś głupiego. Ech, czasami marzę o tym, żeby wszystko było albo czarne, albo białe.

- Rasizm przybiera jeszcze gorsze formy.

- Bardzo śmieszne.

- A tak w ogóle, co zrobił Homer?

- Mniejsza o to. Po prostu na kilka minut cofnął się do okresu dzieciństwa.

- Chodź, zejdźmy na płaskie skały.

Płaskie skały znajdowały się w miejscu, gdzie strumień wypływał z zarośli i wydostawał się na otwartą przestrzeń po raz pierwszy od swojego źródła niedaleko Szwu Krawca. Aby dostać się do tych skał, trzeba było zejść ze szlaku i przedrzeć się przez zarośla oddzielające pierwszy z Szatańskich Schodów od małej polanki. Tam strumień rozszerzał się i obmywał szereg płaskich kamieni, które często były przyjemnie rozgrzane promieniami słońca. Dotarcie tam wymagało trochę wysiłku, ale było warto. Kuśtykałam na obolałej nodze, aż w końcu znaleźliśmy ładny głaz i usiedliśmy obok siebie, wsłuchując się w cichutki szum wody i skrzeczenie sroki. Pomyślałam, że te dwa dźwięki naśladują się nawzajem jak echo.

- Jak twoje ręce? - zapytał Lee, biorąc mnie za nadgarstek.

- W porządku. Już tak bardzo nie boją. Ale te wszystkie bandaże są dość uciążliwe.

Lee przysunął się trochę i oparł głowę o moją, tak że siedzieliśmy policzek przy policzku. Jego skóra była ciepła i miła w dotyku jak skała, na której siedziałam. Zdałam sobie sprawę, że jest w romantycznym nastroju. Nie byłam pewna, czy ja też, ale postanowiłam popłynąć z prądem, zupełnie jak strumień. Kiedy zatem Lee mnie pocałował, także zaczęłam

go całować, aż w końcu jego jędrne usta i język zaczęły budzić we mnie przyjemne, łaskoczące doznania. Chciałam go przytulić jeszcze mocniej, ale uniemożliwiały mi to zabandażowane palce. Siedziałam w trochę dziwacznej pozie i uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, jak musielibyśmy wyglądać w oczach potencjalnego obserwatora. Zachowałam jednak ten uśmiech dla siebie, bo nie chciałam psuć Lee nastroju.

Poczułam, że Lee podciąga mój T-shirt, a potem zadrżałam, kiedy przesunął dłoń po moim brzuchu. Te palce były stworzone do skrzypiec, a nie do atakowania i zabijania. Dotykał mnie niezwykle delikatnie, a mimo to jego dłonie były zdecydowane, pozbawione miękkości i słabości. Przez przypadek albo dzięki doświadczeniu odnalazł jedno z moich najbardziej łaskotliwych i wrażliwych miejsc. Uwielbiam, kiedy ktoś głaszcze mnie po brzuchu. Podniósł mój T-shirt aż do stanika, co wcale mnie nie zmartwiło, ale zaczęłam się zastanawiać, do czego zmierza, jak daleko ma nadzieję się posunąć. Pochylił głowę i zostawił na mojej skórze, tuż nad pępkiem, kilka malinek, a potem zataczał wokół nich małe kręgi językiem. Wcale nie byłam napalona, ale on najwidoczniej tak, i bardzo się starał mnie podniecić. Nie musiał się długo wysilać. Wkrótce poczułam się lepiej, a potem wręcz wspaniale. Pod moją skórą, dość głęboko, rozchodziły się małe fale przyjemności, które spotykały się z innymi falami wypływającymi z głębi ciała. Leżenie na ciepłej skale tuż obok gorącego ciała Lee było bardzo miłe, ciepłe i leniwe.

Lee położył się na boku i oparł na łokciu, dotykając mnie drugą ręką. Otwartą dłonią znowu zaczął zataczać kręgi na moim brzuchu - duże, szerokie, powolne.

- Och, jakie to przyjemne - powiedziałam, zamykając oczy.

Przeszkadzała mi jedynie potrzeba pójścia do toalety, ale nie mogłam się zmusić do wstania, więc uznałam, że jeszcze chwilę zaczekam. Lee głaskał mnie opuszkami palców, a potem obrócił dłoń na drugą stronę i zaczął ugniatać moje ciało knykciami. Poczułam ogromne zmęczenie i rozleniwienie. Miałam nadzieję, że nigdy nie przestanie, i choć wiedziałam, że to samolubne, liczyłam na to, że nie będę musiała robić nic w zamian. Kiedy jednak rozpiął guzik w moich džinsach, doszłam do wniosku, że chyba raczej nie powinnam tak leżeć zbyt długo. Przewróciłam się na bok i objęłam Lee przedramionami, niezdarnie podciągając jego koszulkę na plecach i jak najmocniej przytulając go do siebie. Wsunął kolano między moje nogi, a ja całowałam go długo i namiętnie. Wiedziałam, że takie przytulanie się powstrzyma go od dalszego rozpinania mojego rozporoka, ale on i tak włożył mi ciepłe dłonie w spodnie - od tyłu - i wolno głaskał moją rozgrzaną skórę.

- Mmm - westchnęłam, długo i powoli jak pszczoła na środkach uspokajających.

Lee nic nie mówił. Ale im bardziej naciskał mi na krzyż, tym bardziej chciało mi się

sikać. Powoli zaczęłam go odpychać.

- Nie - powiedział. - Nie przerywaj.

- Muszę.

Całowałam go jeszcze kilka minut, a potem delikatnie się odsunęłam. Ukłękłam obok, nadal trzymając w górze te głupie zabandażowane palce. Pochyliłam się i dałam mu kilka szybkich całusów prosto w usta. On odwrócił jednak głowę i zapytał:

- Dokąd idziesz?

Wydawał się mocno wkurzony.

Roześmiałam się.

- Skoro naprawdę chcesz wiedzieć, muszę się wysikać.

- Wrócisz?

- Nie wiem, czy mogę sobie zaufać. A wiem, że nie mogę ufać tobie.

Niechętnie się uśmiechnął. Wstałam i odczekałam chwilę, patrząc na niego z góry.

- Naprawdę cię lubię - powiedziałam. - Ale nie wiem... Tutaj, w Piekło, pewne sprawy mogą nam się wymknąć spod kontroli. Przynajmniej mnie.

Nie byłam pewna, czy rozumie, co mam na myśli. Na razie musiało mu to jednak wystarczyć. Pokuśtykałam w krzaki, żeby znaleźć jakieś ustronne miejsce. Rozpięcie rozporka i zsuniecie spodni bez niczyjej pomocy zajęło mi tyle czasu, że Lee zdążył ochłonać.

Trzask wydobywający się z naszego radia prawie całkowicie zagłuszał głosy. Wtórował mu deszcz, który nieustannie bębnił o dach, w paru miejscach przeciekał przez blachę, a w paru innych spływał po ścianach. Krople cały czas wpadały kominem i odbiwszy się od paleniska, lądowały na drewnianej podłodze.

Ubrani w swetry, tłoczyliśmy się wokół małego czarnego radia. Baterie były już słabe i choć przez pierwszą minutę słyszeliśmy głosy dość wyraźnie, dźwięki powoli zaczynały się zniekształcać. To, co usłyszeliśmy, okazało się jednak pocieszające. Pierwsza pocieszająca wiadomość od wieków. Amerykański głos awansował sprawy naszego kraju na trzecie miejsce w serwisie.

- Znaczna część południowej linii wybrzeża została odbita. W zacieklej walkach niedaleko Newington siły powietrzne i lądowe Nowej Zelandii zadały poważne straty oddziałom wroga. Na północy kraju, w okolicy przylądka Martindale, wylądowały oddziały z Nowej Gwinei. Natomiast w Waszyngtonie pani senator Rosie Sims wezwała do natychmiastowego zrewidowania amerykańskiej polityki zagranicznej w świetle nowych sojuszy w regionie Azji i Pacyfiku. Senator Sims przedłożyła projekt wojskowego pakietu środków pomocowych na rzecz oblężonego kraju, wartych sto milionów dolarów, i choć senat raczej nie przyjmie wniosku Sims, społeczne poparcie dla pośrednich metod interwencji wydaje się rosnać.

Potem usłyszeliśmy głos naszego „wielkiego przywódcy”, premiera, który uciekł z kraju w ogromnym pośpiechu, kiedy zdał sobie sprawę, że przegrywamy wojnę.

- Nadal wykorzystujemy do walki wszystkie nasze siły - oznajmił - ale nie możemy...

W tym momencie nastąpił atak na radio, bo wszyscy troje, owinięci w koce, rzuciliśmy się w stronę wyłącznika. Uciszaliśmy premiera, a potem położyliśmy się na czterech starych materacach, które umieściliśmy pod ścianą. Patrzyliśmy na krople deszczu za oknem. Byliśmy u Kevina. Spaliśmy w dawnej kwaterze postrzygaczy owiec, stojącej pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do szopy, w której kiedyś pracowali. Miło było znowu spać w drewnianym budynku, nawet jeśli był tak nieszczelny i pełen przeciągów jak ten. Dwa tygodnie nieustannego deszczu tak bardzo dały nam się we znaki, że w końcu spakowaliśmy manatki i wynieśliśmy się z Piekła. Cały nasz dobytek zawilgotniał, potem zrobił się mokry, a

wreszcie zaczął pływać. Woda występowała z rowów i zalewała namioty. Nie warto było wstawać rano, wiedząc, że nie moglibyśmy nigdzie pójść ani nic zrobić. Zbudowaliśmy zatem karmniki dla kur, dzięki czemu mogliśmy je na jakiś czas zostawić, i w końcu, przytłoczeni mokrymi ubraniami w tobołkach pełniących funkcję plecaków, z chlupotem uciekliśmy z Piekła. Mieliśmy serdecznie dość swojego towarzystwa i rozpaczliwie pragnęliśmy odrobiny kontaktu z normalnością. Przez trzy noce musieliśmy potajemnie palić ogniska, żeby wysuszyć ubrania, ale w końcu znowu poczułam się jak człowiek. Posiadanie czystych i suchych ubrań i koców ma w sobie coś kojącego, nawet jeśli trzeba spać na starych, cienkich materacach, które z każdą mijającą godziną tracą coraz więcej wnętrza.

W zasadzie suchość i normalność wprowadziła nas w głupekawy nastrój. Pół godziny przed rozpoczęciem audycji Homer i Robyn grali w szpiega, ale gra się skończyła, kiedy Robyn zaczęła wymyślać dziwaczne hasła. Z litery N wyrastały „nieuchwytnie przyszłości”, a z litery E „erotyczne marzenia na jawie”, które według Robyn nawiedzały nas wszystkich. Po wysłuchaniu wiadomości graliśmy w wisielca, a potem w szarady. Przez dziesięć minut z wielkim zaangażowaniem próbowałam ich naprowadzić na *The Effect of Gamma Rays on Man-in-the-Moon Marigolds* (Wpływ promieni gamma na nagietki w pełni księżyca), ale nikt oprócz mnie nie słyszał o tej sztuce. Ja oglądałam ją na wideo w ósmej klasie, kiedy miałam prawdziwego fioła na punkcie Paula Zindela. Gdy w końcu wszyscy się poddali i padła odpowiedź, ledwie uszłam z życiem.

Deszcz ustał i Lee poszedł na spacer. Chciał, żebym mu towarzyszyła, ale nie miałam ochoty. Byłam w połowie romansu pod tytułem *Send Me White Flowers*.

Przeczytałam już trzy czwarte, uważnie obserwowana przez leżącą obok Fi, która była ciekawa, czy w końcu zacznę płakać. Nagle Lee wślizgnął się z powrotem. Cicho zamknął za sobą drzwi i powiedział:

- Idą żołnierze.

Zerwałam się na nogi, upuściłam książkę i pobiegłam do okna. Stałam z boku i próbowałam wyrzeć, ale było to zbyt niebezpieczne. Zrobiłam zatem to, co pozostali: znalazłam szparę w ścianie i zbliżyłam do niej oko. Wystraszeni patrzyliśmy na podwórze. Na podjazd mozolnie wtaczały się dwie ciężarówki: jedna wojskowa, z plandeką z tyłu, a za nią mała wywrotka ze sklepu żelaznego w Wirrawee. Zatrzymały się po zachodniej stronie domu, niedaleko warsztatu, i zgrabnie zaparkowały jedna obok drugiej. Z pojazdów zaczęli wychodzić żołnierze, po dwóch z każdej kabiny.

- O Boże - jęknęła Fi. - Pewnie wiedzą, że tu jesteśmy.

Nie zauważyłam, kiedy Homer zniknął, ale nagle pojawił się znowu i podał mi

karabin, który wcześniej zabrałam martwemu żołnierzowi przy urwisku. Fi dostała śrutówkę kaliber czterysta dziesięć, Robyn obrzyna kaliber dwadzieścia dwa, a Lee dwunastomilimetrówkę. Drugi automat Homer zostawił dla siebie. Robyn wzięła dwudziestkę dwójkę, ale zauważyłam, że przez chwilę jej się przyglądała, a potem ostrożnie położyła broń na podłodze obok. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czy mogliśmy polegać na Robyn, gdyby doszło do strzelaniny? Czy gdyby odmówiła strzelania, postąpiłaby dobrze czy źle? Jeśli dobrze, to ja też nie powinnam strzelać. Szczypała mnie skóra, jakbym weszła w pokrzywy. Otarłam pot z twarzy i jeszcze raz spojrzałam przez podłużną pionową szparę.

Spod plandeki ciężarówky wychodzili ludzie. Żołnierze przechadzali się i rozglądali. Mieli karabiny, ale nie zadali sobie trudu, żeby zdjąć je z ramienia. Zachowywali się dość swobodnie, dość pewnie. Od razu było widać, że przywiezieni przez nich ludzie to jeńcy. Było ich dziesięcioro: pięciu mężczyzn i pięć kobiet. Nikogo nie rozpoznałam, chociaż jedna z kobiet przypominała mamę Corrie.

Najwyraźniej nie trzeba było mówić jeńcom, co mają robić. Część z nich zdjęła worki z drugiej ciężarówky i ruszyła w stronę drzew owocowych. Kilka osób weszło do domu, a dwie do warsztatu. Każdej grupce towarzyszył żołnierz. Czwarty został przy ciężarówkach i zapalił papierosa.

Spojrzałam na Homera.

- Co o tym myślisz?

- Następna grupa robotników.

- Tak. To chyba dobra okazja, żeby zebrać trochę informacji.

- Poobserwujmy jeszcze chwilę.

- Czas przeznaczony na rekonesans, co? Jedna z tych kobiet wygląda podobnie do mamy Corrie.

- To raczej nie ona - powiedziała Fi. - Ma siwe włosy, a poza tym jest za chuda. I za stara.

Wróciliśmy do naszych dziur i szczelin w ścianie, żeby obserwować dalej. W sadzie od czasu do czasu migały sylwetki ludzi, ale ci, którzy weszli do domu, zniknęli nam z oczu. Dziesięć minut później żołnierz, który wszedł do warsztatu, wyszedł z niego spacerkiem i dołączył do kolegi przy ciężarówce. Najwidoczniej chciał wysepić papierosa. Zajęło mu to parę minut, ale w końcu drugi żołnierz wyjął paczkę i go poczęstował.

Potem obydwaj wsiedli do kabiny większej ciężarówky, żeby zapalić.

- Lepiej się stąd wynośmy - powiedziała Robyn. - Mamy broń. Chyba nie chcemy następnych kłopotów.

- Dobra - zgodził się Homer. - Ale najpierw trzeba tu trochę posprzątać. Możemy wyjść tylnymi drzwiami i uciec do lasu.

- Idźcie sami - powiedziałam. - Ja zajrzę do warsztatu.

Spojrzeli na mnie bez przekonania.

- Nie wydaje mi się... - zaczęła Robyn.

- To naprawdę świetna okazja - przerwałam jej szybko. - Od tygodni nie mamy żadnych informacji. Chcę się dowiedzieć, co z Corrie. I z naszymi rodzinami. Robyn, możesz zabrać moje graty?

Z wahaniem pokiwała głową.

- Ja też zostanę - oznajmił Lee.

Była to kusząca propozycja, bo w towarzystwie czułabym się pewniej. Wiedziałam jednak, że to nie ma sensu.

- Dzięki - powiedziałam - ale dwoje to byłby już tłum.

Lee nie wydawał się przekonany, lecz nie byłam w nastroju na dyskusję. Chciałam coś zrobić, udowodnić sobie, że nadal mam odwagę, że tamta okropna noc w dolinie Holloway nie przemieniła mnie w mięczaka. A te wszystkie deszczowe dni sprawiły, że stałam się niecierpliwa. Ostatnim razem, kiedy próbowałam być niezależna i silna, straciłam opuszki palców. Teraz rozpaczliwie pragnęłam spróbować jeszcze raz, spisać się lepiej, odzyskać trochę szacunku do siebie samej. I być może trochę szacunku ze strony przyjaciół.

Pozostała czwórka zaczęła się pakować, poruszając się szybko i cicho. Ja wyszłam przez okno z boku i wbiegłam głęboko w eukaliptusowy las, żeby okrążyć zagrody dla owiec. Pas drzew ciągnął się w dół wzgórza i zapewniał mi dobrą osłonę, więc trzymałam się cienia, aż w końcu warsztat znalazł się między mną a ciężarówkami. Wtedy zaczęłam zbliżać się do szopy, wykorzystując ją jako tarczę. Mój problem polegał na tym, że do środka można było wejść tylko od wschodniej strony, która była jednym wielkim wejściem otwartym na oścież. Musiałam wyjść spomiędzy drzew i podkraść się wzdłuż bocznej ściany, zdając się na jedyną osłonę, jaka mi pozostała, czyli na stojący z boku zbiornik z wodą.

Dotarcie do zbiornika wymagało mocnych nerwów. Uspokojenie się, niedopuszczenie do tego, by moja pierś zaczęła żyć własnym życiem i pompowała powietrze jak zestaw miechów, okazało się trudnym zadaniem. Musiałam zacisnąć pięści i ochrzanić się w myślach, żeby odzyskać panowanie i spokój i przygotować się do najgorszej części. Upadłam na czworaki i wpełzłam pod stelaż podtrzymujący zbiornik. Potem z dobijającą powolnością, milimetr po milimetrze, wystawiłam głowę i wyjrzałam za szopę. Nie waham się powiedzieć, że był to jeden z najodważniejszych wyczynów w moim życiu. Metr dalej mógł stać żołnierz.

Nikogo tam jednak nie było. Przede mną rozciągała się tylko goła ziemia, brązowa i mokra. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyłam ciężarówkę. Z tej perspektywy wydawały się ogromne i śmiercionośne. Wychyliłam się trochę bardziej i obróciłam w lewo. Mogłam już zajrzeć do dużego, ciemnego warsztatu. Był tam traktor, a oprócz niego zbiornik opadowy i stary pikap. W głębi zobaczyłam stertę beli wełny. Nie widziałam żadnych ludzi, ale z drugiego końca budynku dobiegało szczekanie narzędzi, któremu towarzyszyły stłumione głosy.

Odczekałam jeszcze kilka sekund, a potem wzięłam oddech. Przygotowałam się do akcji, jakbym stała na linii startu na szkolnych zawodach sportowych i czekała na huk wystrzału. Po chwili ruszyłam i cicho podbiegłam do beli z wełny, chowając się za traktorem. Gdybym miała kępkę białego puchu na tyłku, można by mnie wziąć za królika. Szczęśliwie dotarłam do celu i czekałam, trzęsąc się i przywierając do gładkiej powierzchni beli. Głosy cały czas mówiły, unosząc się i opadając jak rzeka. Nie byłam w stanie ich zrozumieć, ale brzmiały po angielsku. Zaczęłam przesuwając się wzdłuż bel, cały czas zerkając w stronę wejścia, na wypadek gdyby ktoś się zbliżał. Przy ostatniej beli znowu się zatrzymałam. Teraz wyraźnie słyszałam głosy. Drżałam i pocilałam się, a kiedy rozpoznałam jeden z nich, do oczu napłynęły mi łzy. Należał do pani Mackenzie, mamy Corrie. W pierwszym odruchu chciałam usiąść i beczeć jak dziecko. Wiedziałam jednak, że nie mogę ulegać takim słabościom. Były dobre dawniej, w czasach niewinności, kiedy wiedliśmy miłe życie. Tamte dni odeszły w przeszłość razem z chusteczkami higienicznymi, reklamówkami i słoikami z kremem nawilżającym - razem ze wszystkimi bezużytecznymi luksusami, które przed wojną uważaliśmy za coś oczywistego. Nie tylko uważaliśmy je za coś oczywistego, ale wręcz wydawały nam się ważne. Teraz były dla mnie równie obce i dalekie jak luksus zapłakania z ulgą na dźwięk znajomego głosu.

Mama Corrie. Pani Mackenzie. Przy stole w jej kuchni wypijałam tysiąc kubków herbaty i zjadłam pięć tysięcy słodkich babeczek. To ona nauczyła mnie robić toffi, pakować bożonarodzeniowe prezenty i wysyłać faks. Opowiadałam jej o tym, że umiera mój kot, że podkochuję się w panu Hawthorne i że po raz pierwszy całowałam się z chłopakiem. Kiedy moi rodzice wyjątkowo mocno działali mi na nerwy albo doprowadzali mnie do szału, wylewałam przed nią swoje żale, a ona wysłuchiwała tego wszystkiego, jakby doskonale rozumiała, co czuję.

Wyjrzałam zza bel. Miałam dobry widok na tylną część szopy. Patrzyłam na stół warsztatowy i na narzędzia starannie umieszczone na ścianie obok. Nie było prądu, więc w pomieszczeniu było ciemno i ponuro, ale zauważyłam dwoje ludzi pochylonych nad stołem.

Mężczyzna stał odwrócony do mnie plecami i przy czymś majstrował. Nie rozpoznałam go, a zresztą i tak nie on mnie interesował. Cała moja radość skierowała się ku pani Mackenzie. Pożerałam ją wzrokiem, ale nagle poczułam zwątpienie. Stała odwrócona do mnie bokiem i czyściła gaźnik szczoteczką do zębów. Na jej twarz padał cień, lecz i tak ledwie mogłam uwierzyć, że to pani Mackenzie. Ta kobieta była stara i chuda, miała siwe, długie i potargane włosy. Normalnie pani Mackenzie była pulchną kobietą w średnim wieku, rudowłosą jak jej córka. Gapiłam się na nią i moje rozczarowanie ustępowało miejsca złości. Uznałam, że to nie może być ona. Jednak stopniowo, przyglądając się tej kobiecie, w jej twarzy, postawie i ruchach zaczęłam dostrzegać ślady dawnej pani Mackenzie. W końcu odłożyła szczoteczkę, odgarnęła włosy z twarzy i sięgnęła po śrubokręt. W tym ruchu jej dłoni ujrzałam mamę Corrie. Zszokowana i przepełniona miłością, zawołałam:

- Pani Macca!

Wypuściła śrubokręt, który upadł na podłogę i odbił się z brzękiem. Gwałtownie odwróciła się w moją stronę i otworzyła usta, co jeszcze bardziej wydłużyło jej chudą twarz. Zbladła jak ściana i złapała się za szyję.

- Och, Ellie.

Myślałam, że za chwilę zemdleje, ale pospiesznie i ciężko oparła się o stół, przykładając dłoń do czoła i zasłaniając oczy. Chciałam do niej podbiec, lecz wiedziałam, że nie wolno mi tego zrobić. Mężczyzna zerknął w stronę ciężarówek i szybko powiedział:

- Nie ruszaj się.

Wkurzyłam się, bo przecież doskonale wiedziałam, że nie powinnam wychodzić z ukrycia. Nic jednak nie odpowiedziałam. Wiedziałam też, że nie powinnam była krzyżeć. Pani Mackenzie pochyliła się i sięgnęła po śrubokręt, ale udało jej się go podnieść dopiero za trzecim razem, jakby miała problemy ze wzrokiem. Potem spojrzała na mnie stęsknionymi oczami. Dzieliło nas jakieś pięć metrów, które równie dobrze mogłyby być setką kilometrów.

- Corrie, nic ci nie jest? - zapytała.

Byłam w szoku: nazwała mnie imieniem swojej córki i najwyraźniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Próbowałam jednak zachowywać się normalnie.

- Wszyscy czujemy się dobrze, pani Mac - szepnęłam. - A pani?

- Och, u nas też wszystko w porządku. Straciłam parę kilogramów, Ellie, ale od lat starałam się schudnąć.

- Jak się czuje Corrie?

Do mojego serca znowu zakradł się ten okropny strach, ale musiałam zadać to pytanie, a skoro pani Mackenzie mnie rozpoznała, doszłam do wniosku, że jednak nic jej nie dolega.

Minęło jednak sporo czasu, zanim mi odpowiedziała. Dziwne - wyglądała, jakby chwilami przysypiała. Cały czas stała oparta o stół.

- Corrie czuje się dobrze. Też sporo schudła. Czekamy, aż się obudzi.

- Co u moich rodziców? Co u reszty?

- Wszystko w porządku. Nic im się nie stało.

- Twoi rodzice są w dobrej formie - odezwał się mężczyzna. Do dzisiaj nie wiem, kto to był. - Mamy za sobą kilka paskudnych tygodni, ale twoim rodzicom nic złego się nie stało.

- Kilka paskudnych tygodni? - zapytałam.

Cała rozmowa odbywała się gorączkowym szeptem i towarzyszyło jej wiele spojrzeń w stronę ciężarówek.

- Straciliśmy sporo ludzi.

- Jak to: straciliśmy? - Omal się nie zakrzusiłam, zadając to pytanie.

- Dołączył do nich jakiś nowy gość - wyjaśnił mężczyzna.

- O czym pan mówi?

- Przywieźli jakiegoś Australijczyka spoza miasta. Kredę. Ciągłe wybiera ludzi i ich przesłuchuje. Potem wielu z nich już do nas nie wraca.

- Dokąd ich zabierają?

- Skąd mamy wiedzieć? Nic nam nie mówią. Pozostaje nam tylko nadzieja, że nie stawia ich przed plutonem egzekucyjnym.

- Kogo przesłuchuje?

- Zaczął od tych, którzy byli w Armii Rezerwowej. Znał ich. Potem wziął się za gliniarzy, Berta Heagneya i paru nauczycieli. Za wszystkich, którzy mają jakieś zdolności przywódcze, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Najwidoczniej większość z tych ludzi nie jest mu obca. Przesłuchuje mniej więcej pięć osób dziennie i mamy szczęście, jeśli przynajmniej trzy z nich wrócą do nas wieczorem.

- Słyszałam, że już dawno znaleźli informatorów na terenie wystawowym - powiedziałam.

- Ten facet jest inny. Niektórzy rzeczywiście im się podlizują, ale nie robią takich rzeczy jak on. Nie pomagają przy przesłuchaniach. Nie tak jak ten gad.

Mówiąc ostatnie zdanie, mężczyzna był już tak wściekły, że gwałtownie podniósł głos. Na chwilę przyczałam się w cieniu, ale nikt się nie zjawił. Wiedziałam, że czas się wycofać, ale miałam nadzieję, że usłyszę coś więcej od pani Mackenzie. Wyglądała strasznie mizernie, była wykończona.

- Jak się czuje rodzina Lee? - zapytałam. - Co u rodziców Fi i Homera? U najbliższych

Robyn?

Pani Mackenzie tylko pokiwała głową.

- Wszystko w porządku - powiedział mężczyzna.

- Co tutaj robicie? - zainteresowałam się.

- Szykujemy gospodarstwa. Za kilka dni wprowadzą się osadnicy. Musicie na siebie uważać. Wszędzie kręcą się grupki sprzątających. Wkrótce zjawią się setki obcych.

Zrobiło mi się niedobrze. Zaczynali nas otaczać. Wiedziałam, że być może pewnego dnia przyjdzie mi pogodzić się z tym, co na razie wydawało się niewyobrażalne, chore - z tym, że przez resztę życia będziemy niewolnikami. Teraz nie miałam jednak czasu na rozmyślanie. Mogłam tylko działać.

- Muszę już lecieć, pani Macca - powiedziałam.

Ku mojemu przerażeniu mama Corrie nagle wybuchnęła płaczem, odwróciła się ode mnie i padła na stół, ponownie upuszczając śrubokręt. W zasadzie brzmiało to tak, jakby płakała i krzyczała jednocześnie. Miałam wrażenie, że podłączono mi do głowy dwieście czterdzieści woltów. Jakbym w jednej chwili została ostrzyżona na jeża. Wystraszona, szybko się wycofałam, podbiegłam do drugiego końca sterty wełny i tam się ukryłam. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi ciężarówki, a po chwili do warsztatu wszedł żołnierz.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedział mężczyzna. Brzmiało to dość przekonująco, jakby zupełnie go to nie obchodziło. - Po prostu zaczęła płakać. Chyba przez te cholerne szwedzkie gaźniki. One każdego doprowadzają do łez.

Kucając w ciemności, prawie się uśmiechnęłam.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Słyszać było jedynie szlochanie pani Mackenzie, które trochę już ucichło. Słyszałam, jak mama Corrie głośno połyka ślinę, próbując zaczerpnąć więcej powietrza i odzyskać panowanie nad sobą.

- Już dobrze, skarbie - powiedział do niej mężczyzna.

Znowu usłyszałam kroki żołnierza. Wszedł z warsztatu i ruszył w stronę domu.

- Uciekaj, Ellie - powiedział mężczyzna normalnym tonem, jakby zwracał się do pani Mackenzie.

Musiałam mu zaufać, więc ruszyłam bez słowa, wymknęłam się z warsztatu, minęłam zbiornik na wodę i uciekłam do lasu. Przywitałam się z drzewami, jakby były moimi przyjaciółmi, moją rodziną. Schowałam się za jednym z nich i chwilę odczekałam. Objęłam pień, próbując złapać oddech. Potem popędziłam na wzgórze, żeby odnaleźć przyjaciół.

Pierwszych osadników zobaczyliśmy już dwa dni później. Znowu zaczął padać deszcz, więc schroniliśmy się w domku postrzygaczy. Siedzieliśmy zbici w gromadkę, wsłuchując się w skrzypienie, zawroźnienie i pomruki drewna. Deszcz atakował nawałnicami, bębniąc o cynkowaną blachę, jakby chciał rozkołysać dach. Pełniliśmy wartę na zmianę, dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale pogoda była tak paskudna, że ekipy sprzątające więcej się nie pokazały. Poszliśmy sprawdzić, co zrobiły. Dom był czysty, wysprzątany, a łóżka zaścielone. Wszystko przygotowano dla obcych, dla cudzoziemców, którzy mieli się wprowadzić i przejąć nasz dobytek. Czułam strach i przygnębienie, wyobrażając sobie, jak śpią w łóżkach Holmesów, jedzą w ich kuchni, chodzą po ich polach i sieją swoje ziarno na ich ziemi. Podejrzywałam, że naszą farmę spotka wkrótce podobny los.

Dwa dni później przestało padać, ale niebo nadal było szare, powietrze zimne, a ziemia mokra i błotnista. Postanowiliśmy, że gdy tylko nadarzy się okazja, jeszcze raz zajrzemy do domu Chrisa i sprawdzimy, czy przypadkiem go tam nie ma. Dlatego o zmroku, mimo zimnej, paskudnej pogody, zebraliśmy manatki i pomaszzerowaliśmy przez pola. Wczesnym wieczorem podróżowanie drogą było zbyt niebezpieczne, ale wiedzieliśmy, że możemy okrążyć Wirrawee i bez większego problemu wyjść na Meldon Marsh Road niedaleko domu Langów.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Dwa kolejne dni w zamknięciu nie poprawiły nam humorów. Otwarta przestrzeń miała na nas jednak pozytywny wpływ: miło było znowu odetchnąć świeżym powietrzem. Po przejściu dwóch kilometrów poczułam, że zaczynam się odprężać. Przez jakiś czas trzymałam Lee za rękę, ale poruszanie się w ten sposób w ciemności okazało się zbyt uciążliwe. Po licznych potknięciach doszliśmy do wniosku, że potrzebujemy obu rąk, żeby utrzymać równowagę. Puściłam Lee przodem i zaczęłam rozmawiać z Robyn o filmach, które kiedyś oglądałyśmy: o tym, które z nich nam się podobały, a które nie. Strasznie chciałam obejrzeć jeszcze kiedyś jakiś film, móc wpatrywać się w ogromny ekran w ciemności i oglądać pięknych ludzi w pięknych strojach, którzy mówią sobie mądre i romantyczne rzeczy. Podejrzywałam, że w innych częściach świata ludzie nadal kręcą filmy, a inni nadal je oglądają, ale w tamtej chwili trudno było mi to pojąć.

Okrążyliśmy Wirrawee i wyszliśmy na Meldon Marsh Road. Było już dobrze po

dziesiątej i uznaliśmy, że nic nam tam nie grozi. Czuliśmy ulgę, mogąc znowu iść drogą, i przemieszczaliśmy się znacznie szybciej. Mniej więcej dwa kilometry od domu Chrisa zauważyliśmy jednak budynek, w którym paliło się światło. To był dla nas szok. Na wsi znowu płynął prąd. Zatrzymaliśmy się i patrzyliśmy w milczeniu. Wcale nie był to przyjemny widok. W pewnym sensie powinien być pocieszający: widzieliśmy przecież coś, co bardzo przypominało dawne czasy. Teraz jednak życie wyglądało inaczej. Zmieniliśmy się w dzikie zwierzęta i przywykliśmy do tego, przyzwyczailiśmy się do przemierzania nocą ciemnych pól, do biegania w dziczy. Wiedzieliśmy, że jeśli osadnicy rozpanoszą się w gospodarstwach, przejmując je razem ze światłami, prądem i swoją własną formą cywilizacji, będziemy spychani coraz bardziej na obrzeża, przyjdzie nam czaić się w jaskiniach i norach, wśród skał.

Nadal bez słowa zbliżaliśmy się do oświetlonego domu. Jak ćmy. Nie wiedziałam, kto w nim wcześniej mieszkał, ale wydawał się wygodny: był zbudowany z cegły, miał duże szerokie okna i co najmniej trzy kominy. Wokół rosły drzewa dające cień i rozpościerał się zadbane ogród otoczony murkiem z cegły, który przed domem tworzył geometryczny wzór. Ten murek prawie mnie wykończył. Potknęłam się o wystającą cegłę i poczułam przeszywający ból w kolanie, które nie bolało mnie już od kilku dni. Odzyskałam jednak równowagę, a kiedy pomacałam kolano, okazało się, że wszystko jest w porządku. Dogoniłam pozostałych, którzy schowali się za drzewem i patrzyli w stronę jednego z oświetlonych okien. Zła strategia, pomyślałam. Żołnierz z karabinem maszynowym mógłby ich wszystkich zmieść w niespełna sekundę. Stałam za drzewem i szepnęłam im to. Byli zaskoczeni, ale szybko się rozproszyli i ukryli za innymi drzewami.

Podeszłam do domu od wschodu i znalazłam drzewo pieprzowe, do którego przybito poziome deski prowadzące do domku dla dzieci. Weszłam po tej drabinie i usiadłam na pierwszym konarze. Z takiej łoży miałam dobry widok na kuchnię. Patrzyłam z ponurą miną. Pracowały tam trzy kobiety. Wyglądały na zadomowione. Układały wszystko po swojemu. Wyjęły z szafek wszystkie dzbanki, talerze, patelnie i puszki, po czym rozłożyły je na stołach i ławkach. Wycierały wszystko po kolei i wkładały z powrotem do szafek, a od czasu do czasu ciekawie się czemuś przyglądały albo pokazywały coś pozostałym. Najwidoczniej zafascynował je gadżet z plastikowymi pomarańczowymi rączkami, służący do odkręcania słoików. Chyba nie wiedziały, co to takiego. Wkładały palce w otwór pośrodku i obracały je, a potem próbowały ukręcać nim sobie nosy. Często się śmiały. Przez ścianę słyszałam ich głosy. Były dźwięczne i wysokie, ale zarazem odrobinę nosowe.

Najwidoczniej kobiety dobrze się bawiły. Wyglądały na szczęśliwe i przejęte.

Patrząc na nie, czułam przeróżne emocje: zazdrość, złość, strach, depresję. Nie

mogłam znieść tego widoku. Cicho zeskoczyłam z drzewa i poszłam szukać pozostałych. Potem wymknęliśmy się przez ogród i znowu wyszliśmy na drogę.

Wymieniliśmy się informacjami i ustaliliśmy, że w domu było co najmniej osiem dorosłych osób. Wcześniej zakładałam, że na każdej farmie ulokują jedną rodzinę, ale chyba uznali, że byliśmy rozrzutni, skoro rozdzieliliśmy tyle ziemi między tak niewielu ludzi. Możliwe, że zamierzali zbudować domy w całej dolinie Wirrawee i każdej rodzinie przydzielić tylko jedno pole, skupiając się na intensywnej uprawie ziemi. Nie miałam pojęcia, jak gleba to wytrzyma. Chociaż z drugiej strony, być może nie wykorzystywaliśmy jej pełnego potencjału.

Wlekliśmy się dalej, każdy zatopiony we własnych myślach, teoriach i marzeniach. Do domu Chrisa dotarliśmy dopiero po północy. W środku nie paliło się światło, ale byliśmy okropnie ostrożni, bo mogli tam spać osadnicy. Miałam już jednak dość skradania się.

- Rzućmy kamieniami w dach - podsunęłam, przypominając sobie deszcz bijący o blachę na szopie obok domu Kevina.

Pozostali spojrzeli na mnie z politowaniem, ale byłam w podłym nastroju: naprawdę miałam dość ukrywania się, skradania i uciekania.

- Nie, mówię poważnie - upierałam się. - Co może się stać? Jeśli w środku są jacyś ludzie, na pewno nie wybiegną na zewnątrz i nie zaczną strzelać w mrok. Przecież nie byłiby aż tak głupi. Wokół rośnie mnóstwo drzew, więc w razie potrzeby możemy się schować.

Miałam większą siłę przekonywania, niż przypuszczałam, bo pół minuty później wszyscy mi ulegli. Nie byłam pewna, czy naprawdę tego chciałam - powiedziałam to pół żartem - ale po chwili namysłu doszłam do wniosku, że wycofanie się oznaczałoby utratę twarzy, więc uzbierałam tyle kamieni, ile mogłam unieść. Ustaliliśmy miejsce spotkania, na wypadek gdyby nas ścigano, a potem otoczyliśmy dom. Na umówiony znak - długi i przeraźliwie głośny aborygeński okrzyk Homera - zaczęłam rzucać. Było całkiem fajnie. Szwadron oposów w korkach piłkarskich pchający popsute wózki z supermarketu mógłby wywołać podobny hałas, ale musiałyby się naprawdę postarać. Szybko się wycofałam, z zadowoleniem przygryzłam wargę i... omal nie przegryzłam jej na wylot, potykając się o ławkę ogrodową. Moje piszczele i kostki zdecydowanie cierpiały na tych nocnych wyprawach. Nagle, minutę po naszym ataku, o dach huknął samotny kamień - niespodziewany bonus od któregoś z nas. W środku nie rozległ się żaden dźwięk. Było widać, że nikogo tam nie ma.

Znowu zebraliśmy się pod drzwiami, a kiedy Homer przyznał się do rzucenia tego dodatkowego kamienia, wysłaliśmy go, żeby zajrzał przez okno w kuchni.

- Jest za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć - narzekał.

Po chwili przyjrzał się uważniej i dodał:

- Chyba wszystko wygląda tak samo jak wtedy, kiedy zostawiliśmy wiadomość dla Chrisa. Myślę, że nikogo tutaj nie było.

Miał rację. Było to przygnębiające odkrycie. Zajrzeliśmy do starego chlewu, w którym Chris ukrył się tuż po inwazji, ale tam też nie znaleźliśmy żadnego śladu. Dlatego zmęczeni i nieszczęśliwi zebraliśmy się wokół zakurzonego stołu w pachnącej stęchlizną kuchni. Przyływ radości wywołany zbombardowaniem dachu szybko przeminął. Zniknięcie Chrisa bardzo nas dobijało i czuliśmy się bezsilni. Do głowy przychodziły nam już wyłącznie dołujące myśli. Byłam na siebie zła, że nie zapytałam pani Mackenzie i jej towarzysza w warsztacie, czy słyszeli coś o naszym przyjacielu. Podczas tamtej rozmowy byłam jednak zbyt oszołomiona i zdenerwowana. Pocieszałam się słowami Robyn, która powiedziała, że gdyby Chris został złapany i zamknięty na terenie wystawowym, dorośli na pewno by o tym wspomnieli.

- Trudno - westchnęła Fi. - Brak wiadomości to dobra wiadomość.

- Dzięki, Fi - warknęłam. - Pocieszyłaś nas. To chyba jedno z najgłębszych zdań, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Fi wyglądała na urażoną. Minęła już pierwsza i wszyscy byliśmy zmęczeni. Poza tym marzliśmy.

- Nic więcej nie możemy zrobić - powiedział Homer. - Szczerze mówiąc, najbardziej prawdopodobne jest to, że Chris... Wolałbym tego nie mówić... Że Chris nie żyje.

Wrzasnęliśmy na niego z oburzeniem. Oczywiście nam też przyszła do głowy taka możliwość, ale mówienie o niej wydawało się nieprzyzwoite. Słuchanie takich zdań było zbyt przerażające. Może baliśmy się, że wypowiedanie ich na głos obróci je w rzeczywistość. Sporo się już nauczyłam o mocy słów.

- W takim razie co robimy? - zapytał Lee. - Nie możemy tu zostać.

- Jasne, że możemy - sprzeciwiła się Fi.

- Raczej nie będziemy tutaj bezpieczni - stwierdził Homer. - Na końcu tej drogi zamieszkali osadnicy. Nie wiemy, jak bardzo się już rozpanoszyli w tej części miasta. Jutro mogą się zjawić u Langów.

- Ale zrobiło się już późno - jęknęła Fi. - Jestem strasznie zmęczona. I zmarznięta. Mam tego wszystkiego dość.

Siedząc przy stole, oparła głowę na przedramionach.

Lee poklepał ją ze współczuciem, ale reszta z nas była zbyt wyczerpana, żeby

cokolwiek zrobić.

- Moglibyśmy odczekać kilka godzin - zaproponował Homer. - Ale i tak musielibyśmy się wynieść przed świtem. Wolę się porządnie wyspać później, niż zaliczyć teraz trochę marnego snu.

Nastąpiła cisza i wszyscy wpatrywaliśmy się w Fi, mając nadzieję, że z godnością da za wygraną.

- No dobrze - powiedziała w końcu ze złością, a potem odtrąciła rękę Lee i wstała. - W takim razie dokąd idziemy?

- Chodźmy do Wirrawee - szybko zaproponował Homer. - Nie zaglądaliśmy tam od wieków, a powinniśmy sprawdzić, co się tam dzieje, i zastanowić się, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Jeśli wyruszymy teraz, dotrzemy przed świtem.

Byliśmy zbyt zmęczeni, żeby się kłócić. Zresztą i tak nikt nie miał innego pomysłu. W zasadzie cieszyłam się na myśl o wyprawie do Wirrawee. Chciałam być jak najbliższej cywilizacji. Pragnęłam pobyc z dala od Piekła najdłużej, jak się da.

Dziesięć minut po tym, jak wyszliśmy z domu Chrisa, znowu zaczął padać deszcz. Najmądrzejszym rozwiązaniem było zawrócenie i znalezienie jakiejś suchej szopy, ale nikt nawet tego nie zaproponował. Myślę, że kiedy już zaczęliśmy działać, nie byliśmy w stanie dopuścić innego scenariusza. Wlekliśmy się zatem w milczeniu, coraz bardziej mokrzy. Było bardzo ciemno, ale dzięki temu mogliśmy iść drogą, nie martwiąc się, że zostaniemy zauważeni, więc przemieszczaliśmy się dość sprawnie. Między wyjściem z domu Chrisa i dotarciem do Wirrawee nie padło chyba ani jedno słowo.

O świcie dotarliśmy do domu nauczycielki muzyki. Szare światło na wschodniej stronie mokrego nieba było trochę mniej bezpieczne niż ciemność nocy. Nasza trzęsąca się czwórka stanęła w ogrodzie, ukryta za drzewami i przemoknięta do suchej nitki, a Homer przeszukał dom, sprawdzając, czy nikogo w nim nie ma. Zastanawiałam się, skąd bierze na to energię. Najwidoczniej miał jej więcej niż ja i ktokolwiek z nas. W końcu dał znak, że możemy wejść do środka. Powlekliśmy się z chlupotem, przygnębieni, znaleźliśmy ręczniki i koce, a potem zrzuciliśmy mokre ubrania w łazience na piętrze. Homer zaproponował, że obejmie wartę jako pierwszy i nikt nie zaprotestował. Robyn i Fi położyły się na jednym łóżku, a ja na drugim, w sąsiedniej sypialni. Lee zniknął w pokoju na końcu korytarza. Miałam jedynie nadzieję, że żołnierze nie zrobią nalotu, kiedy będziemy na golasa. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że od naszej ostatniej wizyty nikt tu nie zaglądał.

Leżałam i jak to często bywało, po całonocnym czekaniu na chwilę, w której wpakuję się do łóżka i będę miała okazję pospać, nie mogłam zmrużyć oka. Nigdy nie czułam się

bardziej rozbudzona. Szorstki wełniany koc łaskotał mi skórę, ale w dość przyjemny sposób - surowy i prymitywny. Długo nie mogłam się ogrzać, więc ścisnęłam nogi razem i jeszcze bardziej zanurzyłam się pod koce, żeby wykrzesać trochę ciepła. W końcu koce przykryły mnie całkowicie. Skrzyżowałam ręce na piersi i wsadziłam dłonie pod pachy. Poczułam łaskotanie na skórze, kiedy krew znowu zaczęła krążyć w moich żyłach. Zimne miałam już tylko stopy. Ułożyłam prawą na lewej, żeby wreszcie odtajały. W końcu zrobiło mi się ciepło, przytulnie i miło i poczułam ogólne odprężenie, na które tak długo czekałam. Leżałam i czułam się fantastycznie. Nagle usłyszałam szept:

- Nie śpisz?

Zaskoczona, wysunęłam głowę spod koca. Czułam się jak opos wychodzący z dziupli. Miałam wytrzeszczone oczy i potargane włosy, więc pewnie także wyglądałam jak opos.

To był Lee.

- Znowu wyglądasz jak gąsienica.

- Nie jak opos?

- To też. Mogę się przy tobie położyć?

Stał owinięty w koc, trzęsąc się z zimna. Jego brązowe oczy patrzyły na mnie błagalnie. Poczułam powolny, ciepły płomień podniecenia, ale starałam się tego nie okazywać.

- Nie! - powiedziałam. - Pod kocem jestem naga.

- Właśnie na to liczyłem. Ja też niczego na sobie nie mam.

- Lee!

- Błagam.

- Nie. To znaczy możesz się położyć na łóżku, ale nic poza tym. I nie myśl sobie - dodałam, kiedy szybko ruszył w moją stronę - że namówisz mnie na coś więcej.

- Przecież mój urok i osobowość...

- Tak, tak, jasne. Dobrze je znam.

Położył się obok mnie, oparł głowę na prawym ramieniu i przyglądał mi się w zamyśleniu. Na jego twarzy widać było leciutki uśmiech.

- O czym myślisz? - zapytał po chwili.

- Hmm. - Zaskoczył mnie. Leżenie tak blisko niego było zbyt podniecające. Pod kocami zaczęło mi się robić gorąco. - Chyba wolę nie odpowiadać na to pytanie.

- Odpowiedz.

- Odpowiem tylko częściowo. Zastanawiałam się, dlaczego się uśmiechasz.

Ku mojemu zaskoczeniu dość długo nie odpowiadał. Ale z jego twarzy zniknął

uśmiech. Wyglądał bardzo poważnie, jakby był w kościele albo coś w tym rodzaju.

- Nie mogłeś zasnąć? - zapytałam.

- Nie mogłem. Ostatnio źle sypiam. Od tamtej nocy obok urwiska.

Zadrzałam.

- Zmieńmy temat.

Nagle przysunął się i namiętnie mnie pocałował. Ja też go całowałam, chyba jeszcze namiętniej. To było bardzo orzeźwiające, ale nie wiedziałam, do czego może doprowadzić ani nawet dokąd bym chciała, żeby doprowadziło. Stopniowo pocałunki Lee przestały być gwałtowne i łapczywe, a zrobiły się miękkie i przekorne. Lekko całował moje usta miejsce przy miejscu. To było podniecające. Całowaliśmy się tak przez jakiś czas, a potem leżeliśmy, oparci o siebie głowami. Jego koc trochę się zsunął, ale ja pilnowałam, żeby mój pozostał na swoim miejscu. Wyczułam gładkie wgłębienie pod jego obojczykiem. Miał ciepłą, tętniącą życiem skórę. Zaczęłam ją muskać ustami, cichutko mruczając i pocierając dłońmi jego rękę. Znalazłam pod skórą słabiutki puls i skupiłam się na jego całowaniu. Słyszałam cichy szum, ale nie byłam pewna, czy wydobywa się z jego ust, czy spod skóry. Bawił się włosami na moim karku, głaszcząc mnie z zaskakującą pewnością siebie. Długimi, delikatnymi palcami rozczesał mi włosy, rozplątał kilka kołtunów i pozwalał, żeby kosmyki prześlizgiwały mu się po dłoniach.

- Fajne włosy - powiedział w końcu.

- Strasznie tłuste - poskarżyłam się.

- Mnie się podobają. Są takie naturalne w dotyku. To seksowne.

- Dzięki - roześmiałam się.

Najwidoczniej potraktował to jako zachętę, bo po raz pierwszy wsunął rękę pod mój koc i odszukał łopatki. Pomocy, pomyślałam. Co ja wyprawiam? Tata ciągle mówił o cienkiej granicy i bałam się, że właśnie na niej stanęłam. Nie chciałam się zatrzymywać, ale pomyślałam, że chyba powinniśmy dać sobie na wstrzymanie i że jeśli wkrótce nie zatrzymam Lee, mogę pożałować. Tylko że to było takie przyjemne. Cholera, pomyślałam, skąd on wie, co lubię? Zastanawiałam się, czy moje dłonie mają na niego równie wielki wpływ, i w ramach eksperymentu przesunęłam palcami wzdłuż boku jego ciała, najdalej, jak się odważyłam, czyli w zasadzie niezbyt daleko. Kiedy go dotknęłam, jego ciało pokryło się gęsią skórą, co było dość podniecające. Podniosłam się lekko i musnęłam jego lewy sutek. Steve mnie nauczył, że sutki chłopaków są równie wrażliwe jak sutki dziewczyn. Sutki Lee były jednak inne niż Steve'a. Tamte były blade i szerokie, przypominały jajka sadzone na piersi. Te podobały mi się bardziej. Były małe i ciemnobrązowe, wyglądały jak zatrzaski. Gdy

zajęłam się lewym, natychmiast stwardniał, więc mogłam go delikatnie trącać i łaskotać koniuszkiem palca.

- Aj, aj, aj - powiedział Lee.

- To po tajsku czy po wietnamsku?

- Ani to, ani to. Język uniwersalny.

- Aha.

Z przodu mój koc trzymał się całkiem dobrze, ale z tyłu dość mocno się zsunął, bo dłonie Lee nie przestawały błędzić po moich plecach. Przez jakiś czas leżałam nieruchomo, mając poczucie winy, że nie robię nic więcej i ograniczam się do korzystania z jego dotyku. Moja skóra tak bardzo się rozgrzała, że mogłaby go poparzyć. Odsunęłam się trochę, ale nie byłam w stanie odmówić sobie chwili zabawy z jego prawym sutkiem, z którym zrobiłam to samo, co wcześniej z lewym. Potem przesunęłam rękę niżej, długim, posuwistym ruchem, całując go namiętnie w usta.

- Będziesz umiał przestać? - zapytałam go.

- Jasne, jasne.

- Jesteś fatalnym kłamcą.

Odsuwając się od niego, dałam mu więcej przestrzeni. Jak gdyby nigdy nic wsunął rękę pod koc, który zakrywał mnie od przodu. Jednocześnie namiętnie mnie całował, żeby odwrócić moją uwagę. Udało mu się z łatwością. Pozwoliłam jego dłoni przesuwać się po mojej skórze. Doszłam do wniosku, że coś, co jest dobre dla niego, będzie dobre także dla mnie. Zmierzwiłam mu włosy, czując, że moja twarz robi się coraz bardziej czerwona, bo Lee coraz bardziej mnie podniecał. Czy będę w stanie przestać? Czy będę chciała przestać? Znałam już odpowiedź na te pytania. Znałam ją od chwili, w której wszedł do mojego pokoju.

- Boże, Lee - powiedziałam, ale nie miałam pojęcia, jak dokończyć to zdanie.

Moje ręce też powędrowały dalej, niż powinny, do jego pasa i jeszcze niżej. Jakby zaczęły żyć własnym życiem. Do diabła, pomyślałam. Zrobię to. Poprzednim razem, kiedy byliśmy w tym domu, spędziłam mnóstwo czasu owinięta kraciastym kocem. Wtedy Lee po raz pierwszy nazwał mnie gąsienicą, „piękną, seksowną gąsienicą”. Teraz, znowu jako gąsienica, wychodziłam z kokonu z koców. Lee trzymał ręce na mojej pupie i lekko przysuwał mnie do siebie. Muskałam wewnętrzną stronę jego nóg, najwyżej, jak się odważyłam, ale w zasadzie niczego nie dotykałam. Spojrzałam jednak ukradkiem. To było fascynujące: takie dzikie, pożądliwe, zdeterminowane. Wiedziałam, że Lee też na mnie spogląda i byłam trochę skrepowana. Ale tylko trochę. Bez wątplenia podobało mu się to, co zobaczył, a ja w głębi duszy cieszyłam się z wrażenia, jakie na nim robiłam.

- Masz...? - zapytałam, odwracając lekko głowę. Nie chciałam wypowiadać tego słowa.

- Co? - zapytał.

- No wiesz. Prezerwatywę.

- O nie! - jęknął. - Ellie! Tylko nie to! Nie teraz!

- Dobra, dobra - powiedziałam - nie ma sprawy, pod warunkiem że to ty urodzisz dziecko.

- Jezu - westchnął Lee. - Naprawdę musisz?

- Tak! Wyobrazasz sobie, co by było, gdybym zaszła w ciążę?

Na chwilę zmarkotniał, a potem powiedział:

- Chyba Homer ma kilka sztuk.

- A myślisz, że ilu będziemy potrzebowali? - zapytałam, chichocząc w poduszkę. Zaczął wstawać.

- Zaczekaj! - zatrzymałam go. - Co chcesz zrobić? Nie możesz tak po prostu pójść i go o nie poprosić.

- Nie jestem aż taki głupi - powiedział, nadal pochmurny. - Trzyma je w portfelu, który powinien być w spodniach, a spodnie suszą się w łazience.

Zniknął za drzwiami, zawinięty w koc, a ja leżałam i uśmiechałam się do siebie. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę to zrobię. Miałam nadzieję, że nie skopię sprawy, że nie będzie za bardzo bolało i że będzie wspaniale. Denerwowałam się, ale nadal pragnęłam Lee całą sobą, tęskniłam za dotykiem jego ciała. Jego ciepłe dłonie były fantastyczne. Roześmiałam się na głos. Był to śmiech zdumienia, niedowierzania i podniecenia. Miałam wrażenie, że Lee zniknął na całe wieki, ale w końcu wrócił i wskoczył na mnie, ściskając w rękę dwie małe paczuszki. Z nieśmiałym uśmiechem, próbując to zrobić jak najdyskretniej, wyplątał się z koca i wszedł pod mój. Bliskość naszych nagich ciał, skóra przy skórze, była najbardziej niesamowitym doznaniem w moim życiu. Myślałam, że już wcześniej byłam napalona, ale teraz czułam się tak, jakby szły ze mnie iskry. Lee uspokoił się podczas wyprawy do łazienki i trochę ochłonał, ale rozgrzałam go z powrotem: zaczęłam się o niego ocierać i szybko poczułam reakcję.

- Załóż ją - powiedziałam w końcu, skinąwszy głową w stronę jego zaciśniętej pięści.

Rozerwał opakowanie, zsunął się ze mnie i patrzył w dół, skupiony na zadaniu. Przyglądałam się z zaciekawieniem.

- Nie patrz. - Zarumienił się i próbował zasłonić mi oczy przedramieniem.

- Och - powiedziałam - jesteś uroczy, kiedy robisz się taki nieśmiały.

Gdy był już gotowy, przytuliłam go i przez chwilę kąsałam jego ucho, a potem oplotałam go nogami. Potem było w porządku. Nie wspaniale, ale w porządku. Lee robił to trochę niezdarnie, pewnie ze zdenerwowania, a przez to ja zaczęłam się trochę denerwować, co oczywiście w niczym nam nie pomogło. Chciałam być wspaniałą kochanką, idealną partnerką, więc zaczęłam się martwić, że nie idzie mi aż tak dobrze. Kiedy już się we mnie znalazł, nie zdołał zbyt długo wytrzymać, a potem nie był już aż tak namiętny. Marzył tylko o tym, żeby leżeć i trzymać mnie w objęciach.

Zmusiłam go do nieco większej kreatywności i w końcu ja też miałam dość. Nie wiedziałam, co czuję: to była mieszanka różnych emocji. Cieszyłam się, że wreszcie to zrobiłam i że obyło się bez katastrofy, żałowałam, że nie poszło lepiej, i zastanawiałam się, czy od tej pory wszystko będzie wyglądało zupełnie inaczej. Podobało mi się jednak to nasze przytulanie. Przez jakieś pół godziny leżeliśmy razem z zamkniętymi oczami, drapaliśmy się delikatnie po rękach i plecach długimi, leniwymi ruchami, chwilami zapadaliśmy w sen i znowu się budziliśmy.

Przerwało nam ciche pukanie do drzwi i szept Homera.

- Ellie! Twoja kolej na wartę.

- Dobra - zawołałam. - Zaraz przyjdę.

Odczekałam kilka minut, a potem delikatnie odsunęłam od siebie Lee. Zasłoniłam się kocem. Zamierzałam zejść na dół po suche ubranie z plecaka, a dopiero potem zmienić Homera. Kiedy jednak doszłam do drzwi, nagle coś sobie uświadomiłam. Homer zapukał, a potem zawołał do mnie z korytarza. Nigdy wcześniej tego nie robił. Zawsze wpadał do pokoju i budził mnie potrząsaniem. Znaliśmy się tak długo, że nie zaprzataliśmy sobie głowy uprzejmościami. Odwróciłam się i spojrzałam na Lee, który dalej leżał na łóżku.

- Lee - powiedziałam - dlaczego Homer zapukał do drzwi?

- Co? - zapytał, na wpół śpiący.

- Dlaczego Homer zapukał? Dlaczego nie wparował do środka jak zwykle?

Lee od razu się obudził. Spojrzał na mnie skruszony.

- Drań - powiedziałam oschle.

- Nie mogłem znaleźć prezerwatyw - wyjaśnił. - Musiałem go zapytać.

Gwałtownie otworzyłam drzwi i wypadłam na korytarz, psując efekt potknięciem się o koc. Byłam wściekła. Nie chciałam, żeby Homer wiedział, co zrobiliśmy. Jeśli wiedział Homer, dowie się reszta. Jedyнным dobrym skutkiem faktu, że Lee się przed nim wygadał, było to, że przez całą wartę ani razu nie zachciało mi się spać. Cały czas prowadziłam w myślach rozmowy z Lee, wygarniając mu, co o nim teraz myślę. W takim wydaniu

wściekłość jest pożyteczna.

W końcu minęła mi złość na Lee. Rozumiałam, dlaczego wygadał się przed Homerem, chociaż nadal nie mogłam przeboleć, że to zrobił. Podobało mi się jednak, że potem snuł się zawstydzony i skruszony - przynajmniej przez jakiś czas. Zasłużył na odrobinę cierpienia.

Ogólnie rzecz biorąc, czułam się dość dobrze. Czasami, kiedy wykonałam jakiś nieodpowiedni ruch, trochę mnie bolało, ale było całkiem niezłe. Przyglądałam się sobie przez cały dzień, zastanawiając się, czy zaszły we mnie jakieś zmiany, czy stałam się inną osobą. Nie zauważyłam jednak żadnej magicznej różnicy. W pewnym sensie mi ulżyło, ale jednocześnie było mi przykro, że już nigdy więcej nie będę dziewicą. To jeden z tych nieodwracalnych kroków: kiedy go zrobisz, nie ma odwrotu.

Jedynym niespodziewanym skutkiem była pełnia życia, którą czułam przez cały dzień. Dziwna, ale przyjemna. Możliwe, że właśnie w ten sposób odreagowałam śmierć i zniszczenie, które tak długo nas otaczało. Tym razem zrobiłam coś pozytywnego, pełnego miłości, dalekiego od destrukcji. Bardzo się to różniło od naszego ówczesnego stylu życia. Wiem, że dzieci są uciążliwe, a rodzenie ich dostaje jedenastkę w dziesięciostopniowej skali bólu, ale przez chwilę naprawdę marzyła mi się mała gromadka. Pewnego dnia, za jakieś pięćdziesiąt lat.

Po prostu czułam, że tacy ludzie jak my powinni dbać o to, by życie toczyło się dalej.

Zbliżały się jednak chwile, w których znowu miałam siał zniszczenie z zimną krwią.

Tamtej nocy wybrałam się z Fi na mały zwiad w Wirrawee. Szliśmy w stronę jej domu. Chciała go zobaczyć, zabrać kilka rzeczy i poprawić (albo popsuć) sobie humor zajrzeniem do opuszczonych pokojów. Jako prawnicy rodzice Fi mieli góry forsy, więc mieszkali w najlepszej części Wirrawee: w dużym starym domu przy ulicy pełnej dużych starych domów na wzgórzu. Nie spieszyliśmy się. Chyba byliśmy w nastroju do podejmowania ryzyka. Wyszliśmy z kryjówki trochę za wcześnie, ale chcieliśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Znowu przez cały dzień padał deszcz i ulice lśniły od kałuż, ale kiedy wychodziłyśmy z domu nauczycielki muzyki, już nie padało. Chmury wisiały nisko i to trochę podniosło temperaturę. Przemknęłyśmy przez kilka przecznic, biegnąc od ogrodu do ogrodu, więc przez większość czasu trzymałyśmy się z dala od chodników. Kiedy dotarłyśmy do parku Jubilee, ukryłyśmy się w altanie, żeby porozmawiać, patrząc na nieskoszone

trawniki i zachwaszczone rabaty. Od razu było jasne, że Fi wie, co zrobiłam z Lee.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

- Homer mi powiedział.

- No jasne! Byłam wściekła na Lee, że się przed nim wygadał. Ale myślałam, że ostatnio nie prowadzicie już z Homerem poufanych rozmów.

- Mhm, masz rację, nie jest tak jak dawniej. Ale nadal dobrze się rozumiemy. Chyba po prostu długotrwałe związki nie są w jego stylu.

- Nie rozmawiałam z nim od wieków. Przeważnie gadam z tobą albo z Lee.

- Ta poranna rozmowa z Lee musiała być bardzo miła.

- Spadaj! Po prostu stało się, dobra? Przestań mnie męczyć.

- Lee chyba cię już wymęczył.

- Fi!

- Fajnie było?

- Mhm, nieźle. Chwilami fantastycznie. Ale to najważniejsze, no wiesz, poszło nam trochę niezdarnie. Następnym razem będzie lepiej.

- Więc będzie następny raz?

- Nie wiem! No jasne, że w końcu będzie. Ale nie twierdzę, że zamierzam to robić codziennie.

- Bolało?

- Trochę. Da się przeżyć.

- To się wydaje takie niehigieniczne - powiedziała Fi, która zawsze marzyła o tym, by życie przypominało zawartość kolorowych czasopism. - Straciłaś dużo krwi?

- Nie! Przecież to nie umieranie. Z początku trochę bolało i byłam zdenerwowana, ale potem zrobiło się całkiem przyjemnie. Lee nie wytrzymał zbyt długo. Ale chyba i tak facet ma z tego więcej przyjemności, przynajmniej za pierwszym razem.

- Jesteś pewna, że to był jego pierwszy raz?

- Tak! Niewiele potrafił.

- Czy on jest... - Fi dostała ataku chichotania, co było o tyle kłopotliwe, że rozmawialiśmy szeptem, otoczone mokrym, milczącym mrokiem. - Czy Lee jest... duży?

- Wiedziałam, że o to zapytasz! No wiesz, akurat nie miałam taśmy mierniczej.

- Tak, ale...

- Wierz mi, jest wystarczająco duży. Nie wiem, jaka jest średnia, ale na pewno mieści się w normie.

Potem obie dostałyśmy ataku chichotania.

O dziesiątej podkradłyśmy się na wzgórze i ruszyłyśmy w stronę Turner Street. Dopiero kiedy dotarłyśmy do ostatniego skrzyżowania, zobaczyłyśmy, że zaszły tam spore zmiany.

Przy ulicy stało mniej więcej dwanaście domów i we wszystkich paliło się światło. Działały nawet cztery latarnie. W dwóch budynkach światło świeciło się we wszystkich pomieszczeniach, a w pozostałych jedynie w paru. Fi stała i wydawała z siebie ciche skomlące odgłosy, jak ranne szczenię. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Czułam się tak, jakbym weszła do Disneylandu albo wesołego miasteczka. Do jakiejś baśniowej krainy. Jedyne problem polegał na tym, że ta kraina nie była z żadnej baśni. Dla nas oznaczała niebezpieczeństwo. Odciągnęłam Fi i schowałyśmy się za drzewem.

- Co o tym myślisz? - zapytałam.

Pokręciła głową ze łzami w oczach i płaczącym głosem odpowiedziała:

- Nienawidzę ich. Co oni tutaj robią? Dlaczego nie mogą wrócić tam, skąd przyszli?

Obserwowałyśmy ulicę prawie przez godzinę. Od czasu do czasu jakiś żołnierz wychodził z jednego z domów i szedł do drugiego. Zamierzałyśmy podejść bliżej i przyjrzeć się temu uważniej, ale kiedy ruszyłyśmy, rozległ się warkot samochodu wjeżdżającego na wzgórze. Znowu schowałyśmy się za drzewem. Ogromny nowy jaguar przejechał obok nas i skręcił w Turner Street. W świetle jego reflektorów zauważyłam coś jeszcze: przed dwoma domami stali ukryci wartownicy. Miałyśmy dużo szczęścia, że nie zdążyłyśmy wyjść. Jaguar zatrzymał się przed domem sąsiadów Fi, jasno oświetlonym drewnianym dwupiętrowym budynkiem z dwuspadowym dachem. Kiedy pojazd stanął, z zarośli wybiegł wartownik i otworzył jedno z tylnych drzwi, salutując umundurowanemu mężczyźnie, który wysiadł ze środka. Chociaż mężczyzna miał zielony mundur, tak jak inni żołnierze, wyróżniała go czapeczka z daszkiem. Był oficerem. Zaczęłyśmy pojmować, do czego wykorzystano domy przy Turner Street. Urządzono tam luksusowe kwatery. Wzgórze Snobów w Wirrawee nadal było Wzgórzem Snobów.

Wróciłyśmy do domu nauczycielki muzyki, żeby zdać relację pozostałym, ale Homer spał. Podobnie jak Lee, z czego w głębi duszy się ucieszyłam. Byłyśmy tak zmordowane, że postanowiłyśmy ich nie budzić. Robyn, która stała na warcie, oczywiście nie spała, więc pogadałyśmy z nią kilka minut, a potem ruszyłyśmy do łóżka. Spałam z Fi, co uratowało mnie przed koniecznością podejmowania trudnych decyzji dotyczących mojego życia miłosnego. Dopiero o dziewiątej rano usiedliśmy wszyscy razem i porozmawialiśmy o tym, co widziałyśmy przy Turner Street.

Przysunęliśmy się do okna wykuszowego, przez które mogliśmy obserwować ulicę, i

zaczęliśmy dyskutować. Od dawna nie rozmawiało nam się tak dobrze. Leżałam z głową na kolanach Lee i w takiej pozycji opowiedziałam chłopakom to samo, co wcześniej usłyszała od nas Robyn. Fi dorzuciła coś od siebie, a potem odezwała się Robyn.

- Wczoraj w nocy na kilka minut zeszałam z posterunku - powiedziała. - Tylko spacer mógł mnie powstrzymać od zaśnięcia. Poszłam do parku na końcu ulicy i wróciłam. To zabawne: znalazłam tam coś, co dawniej musiałam mijać tysiące razy, ale nigdy wcześniej nie rzuciło mi się w oczy. Wczoraj w nocy to zauważyłam.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Dobra - powiedział w końcu Homer. - Poddaję się. Co to było: zwierzę, warzywo czy minerał?

Robyn spojrzała na niego i skrzywiła się.

- Pomnik ku czci poległych w czasie wojny - oznajmiła.

- A, to - powiedział Homer.

- Tak - wtrąciła Fi. - Kojarzę ten pomnik. W szóstej klasie musiałam pod nim złożyć wieniec.

- Ale czy kiedykolwiek mu się przyjrzelście? - zapytała Robyn. - Naprawdę dokładnie?

- Nie, raczej nie.

- Ja też nie. Ale wczoraj to zrobiłam. Smutna sprawa. Jest na nim wiele nazwisk poległych żołnierzy. Łącznie były cztery wojny i zginęło czterdziestu mężczyzn z samego naszego małego okręgu. Na dole jest przesłanie pochodzące z jakiegoś wiersza albo czegoś w tym stylu. Brzmi tak - Robyn spojrzała na swój nadgarstek i z pewną trudnością przeczytała słowa zapisane tam maleńkimi literkami: - „Wojna to bicz boży, a mimo to uczyniła nas mądrzejszymi. Walcząc o wolność, jesteśmy wolni”.

- Co to jest „bicz boży”? - zapytał Homer.

- Bicz boży jest wtedy, kiedy spotyka cię coś złego, prawda? - zapytała mnie Fi. - Coś bardzo, bardzo złego.

- Mhm, Attyłę nazywano Biczem Bożym - powiedziałam, przypominając sobie lekcję historii w siódmej klasie.

- Przeczytaj to jeszcze raz - poprosił Lee.

Robyn przeczytała.

- Nie wiem, czy to wszystko uczyniło nas mądrzejszymi - powiedział Lee. - I nie wydaje mi się, żebyśmy byli wolni.

- Chyba jednak jesteśmy - odparłam, próbując wczuć się w te słowa. - Jesteśmy

zupełnie inni niż kilka miesięcy temu.

- Jak to? - zapytał Lee.

- Spójrz na Homera. W szkole zachowywał się jak śniady Attyla. Szczerze, Homer, musisz przyznać, że byłeś beznadziejny: łączyłeś całymi dniami z wyciągniętą koszulą i sypałeś dziwnymi tekstami. W dniu, kiedy zaczęła się wojna, zupełnie się zmieniłeś. Wiesz, stałeś się dla nas kimś w rodzaju gwiazdy. Wpadałeś na świetne pomysły i skłaniałeś nas do robienia rzeczy, których bez ciebie nigdy byśmy nie zrobili. Chyba straciłeś trochę pary po tamtej zasadzce na konwój, ale wcale cię za to nie winię. To była paskudna scena.

- Nie powinienem był brać tych obrzynów - powiedział Homer. - Nie powinienem ich przed wami ukrywać. To było głupie.

Homer zrobił się czerwony na twarzy i spuścił wzrok. Przyznanie się do błędu było u niego czymś tak rzadkim, że postanowiłam darować sobie żarcik, który cisnął mi się na usta. Tak naprawdę zabranie broni nie do końca było błędem - Homer przekonał mnie o tym podczas naszej kłótni w Piekło. A słowa, które teraz wypowiedział, dowodziły, że stał się znacznie mądrzejszym człowiekiem. Puściłam do niego oko, sięgnęłam po jego dłoń i mocno ją ścisnęłam. Dotykałam dwóch chłopaków, których kochałam najbardziej na świecie. Pomyślałam o tym, jaka ze mnie szczęściara.

- Z kolei Lee - ciągnęłam - wydawał się wcześniej kompletnie pochłonięty własnym życiem. Skrzypce, szkoła, restauracja i niewiele więcej. Dalej jesteś skomplikowanym gościem, Lee, ale stałeś się znacznie bardziej towarzyski, jesteś zdeterminowany i silny.

- Oraz napalony - cicho dodał Homer.

Mocno klepnęłam go w rękę. Sądząc po minie Homera, Lee chyba też rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Robyn - ciągnęłam. - Zawsze byłaś silna i mądra, więc chyba za bardzo się nie zmieniłaś. Pozostałaś jednak wierna swoim przekonaniom i uważam, że to coś niezwykłego. Wydajesz się spokojniejsza i pewniejsza siebie niż reszta z nas. Myślę, że masz w sobie mądrość, o której mówi ten napis na pomniku.

Robyn się roześmiała.

- Nie jestem mądra - powiedziała. - Po prostu staram się odgadnąć, czego oczekuje ode mnie Bóg.

Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, więc przesłam do ostatniej osoby.

- Fi, myślę, że w pewnym sensie stałaś się bardziej wolna. Pomyśl, jak żyłaś wcześniej: mieszkałaś w tym wielkim domu, chodziłaś na lekcje gry na fortepianie, obracałaś się wśród sławnych i bogatych. Teraz od miesiąca mieszkasz w lesie, walczysz na wojnie,

biegasz i wysadzasz różne rzeczy w powietrze, doglądasz kur i uprawiasz warzywa... W porównaniu z tym, co robiłaś wcześniej, można to uznać za coś w rodzaju wolności.

- Nie mogłabym wrócić do tamtego życia - powiedziała Fi. - Na dłuższą metę takie życie jak teraz oczywiście też by mi nie odpowiadało. Ale gdyby wojna skończyła się jutro, nie mogłabym nagle zacząć się przejmować kompozycjami z kwiatów na przyjęciach mamy i doborem odpowiedniej papeterii podczas odpowiadania na zaproszenia. Nie wiem, co bym zrobiła, ale na pewno próbowałabym się zająć czymś pożytecznym, czymś, co uchroniłoby nas przed takimi najazdami w przyszłości.

- Teraz twoja kolej, Ellie - powiedziała Robyn.

- A tak, dobra, kto się mną zajmie? - zapytałam, a potem, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało, rzuciłam Homerowi swoje najlepsze spojrzenie z cyklu: „Nawet nie próbuj”. Zdażyłam w samą porę: już otworzył usta, żeby powiedzieć to, co pewnie nasunęło się wszystkim.

- Ja - zaoferowała się Robyn. Zastanowiła się i w końcu powiedziała: - Słuchasz innych uważniej niż kiedyś. Jesteś wrażliwsza na ludzi. Jesteś odważna. W sumie uważam, że najodważniejsza z nas wszystkich. Czasami nadal jesteś uparta jak osioł i nie lubisz się przyznawać do błędów, ale jesteś twarda jak stal, El. Naprawdę.

Rozpierała mnie duma. Nie przywykłam do komplementów. Nie słyszałam ich zbyt często.

- Jestem odważniejsza od czasu tamtej wielkiej przemowy Homera nad strumieniem, całe wieki temu - powiedziałam. - Myślę o niej, kiedy ogarnia mnie strach.

- O jakiej przemowie? - zapytała Fi.

- No wiesz, powiedział wtedy, że odwaga jest stanem umysłu. Kiedy zaczynasz się bać, możesz albo poddać się panice i kompletnie się załamać, albo zapanować nad umysłem i wykrzesać z siebie odwagę. Zgadzam się z tym.

- Widzisz, to właśnie jest mądrość - powiedziała Robyn.

- I co teraz zrobimy? - zapytał Homer. Wyprostował się. - Pora znowu wkroczyć do akcji. Zrobiliśmy sobie długie wakacje. U Bohaterów Harveya nie kiwnęliśmy palcem i najwyższy czas w końcu się ruszyć. Ostatnie wiadomości radiowe były dość optymistyczne. W wielu miejscach toczą się walki z wrogiem, pomagają nam Nowozelandczycy. Nie możemy pozwolić, żeby Wirrawee stało się bastionem tych szumowin, a jesteśmy chyba jedynymi ludźmi, którzy mogą im przeszkodzić. Więc co zrobimy?

- Ty nam powiedz - uśmiechnęłam się.

Wiedziałam, że Homer ma już jakiś pomysł.

- Dobra - wzruszył ramionami. - To, co Fi i Ellie zobaczyły wczoraj w nocy, daje nam pierwszą prawdziwą szansę od dość długiego czasu. Wygląda na to, że żołnierze urządzili sobie w tych domach kwaterę główną. To dość logiczne: wybrali najlepsze domy w mieście. Musimy jednak lepiej im się przyjrzeć, żeby zobaczyć, co tam się właściwie dzieje. Proponuję pospieszować ich przez parę dni albo tak długo, jak będzie trzeba. Fi, mogłabyś narysować plany tych domów, wykorzystując wszystko, co pamiętasz? Potem my dodamy do nich to, co uda się ustalić.

Postanowiliśmy zakraść się do Świętego Jana - kościoła stojącego naprzeciwko domu Fi, po skosie - i wykorzystać wieżę jako punkt obserwacyjny. Robyn, jako jego parafianka, znała kościół tak dobrze jak moja mama swoją kuchnię. Była pewna, że zdoła się dostać do środka przez małe okienko w zakrystii, które podparto cegłą, bo kościół nie miał pieniędzy na naprawę. Korzystanie z wieży było pod wieloma względami uciążliwe, bo oznaczało, że trzeba zakradać się tam w nocy i czekać aż do wieczora. Musieliśmy zabrać jedzenie i picie, a ponieważ w kościele nie było toalety, potrzebowaliśmy również kilku pojemników na wypadek podbramkowych sytuacji. Nie wiem, co powiedziałby na to Bóg.

Homer i Robyn chcieli objąć pierwszą wartę. Postanowiliśmy, że druga przypadnie mnie i Fi, a trzecia Homerowi i Lee. Pierwszej nocy poszliśmy tam jednak razem, żeby ulokować Robyn i Homera. Czekaliśmy do czwartej rano. Nie mieliśmy z tym najmniejszego problemu. Tak bardzo przywykliśmy do nocnego trybu życia, że podczas akcji o trzeciej i czwartej nad ranem nie czułam już zmęczenia.

Podeszliśmy do kościoła Świętego Jana od tyłu, przechodząc przez ogrodzenie przy Barrabool Avenue. Tak było bezpieczniej, nie narażaliśmy się na ciekawskie spojrzenia od strony Turner Street. Robyn bez trudu wyjęła okienko w zakrystii. W zasadzie już wcześniej odchyliło się do wewnątrz i leżało oparte na cegle. Problem pojawił się wtedy, kiedy trzeba było się wślizgnąć do środka. Robyn zapomniała, jak małe jest to okienko. Tylko Fi dawała nam jakąś nadzieję, więc Homer podsadził ją i pomógł jej się wślizgnąć przez otwór, głową do przodu. Kiedy Fi doszła do bioder, musiała się obrócić, wygiąć i wić. Słyszeliśmy, jak chichocze i dyszy, a potem rozległ się łoskot, bo upadła głową na podłogę.

- Aua! - pisnęłam współczująco. - Żyjesz?

- Ciii - uciszył mnie Homer.

- Tak, ale nie dzięki Homerowi - szepnęła w odpowiedzi.

Otworzyła drzwi. Weszliśmy do środka na paluszkach. Oczywiście było tam zupełnie ciemno, ale najbardziej uderzył mnie zapach. Stęchły, wilgotny i zimny. Robyn wyprowadziła nas z zakrystii i ruszyła w stronę głównego pomieszczenia. Witraże wyglądały jak ciemne

kwasoryty, ale słabe światło z Turner Street lekko rozjaśniało mrok. Nie spędzałam zbyt dużo czasu w kościołach - mieszkamy z dala od miasta i to było moją wymówką - ale lubiłam panującą w nich atmosferę. Zawsze było tam tak spokojnie. Rozejrzałam się i zmrużyłam oczy, próbując dostrzec szczegóły. Widoczny w oddali ołtarz naprawdę wydawał się święty. Zaczęłam się denerwować. Był tam także krzyż umieszczony na kolumnie obok mnie. Przecinała go prostokątna plama światła wpadającego przez okno. Przyjrzałam się, próbując dostrzec rysy twarzy Jezusa, ale była odwrócona w drugą stronę i spowita cieniem. Zastanawiałam się, czy to jakiś znak.

Robyn zawołała nas do wieży. Szłam nawet razem z Lee, zastanawiając się, czy pewnego dnia zrobimy to jak trzeba. Nie wiedziałam, jak moi rodzice zareagowaliby na taki pomysł, a coś, co usłyszałam od Lee całe wieki temu, podpowiadało mi, że jego rodzice bardzo by nie chcieli, aby ich syn poślubił anglikankę.

Gdy dotarliśmy do tylnej części kościoła, Lee zaskoczył mnie słowami:

- Nie cierpię tych miejsc.

- Kościołów?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Pachną śmiercią. Są jakies takie martwe.

- Aha. Ja w zasadzie je lubię.

W połowie schodów Homer i Robyn znaleźli małe okienka, które mogli wykorzystać do szpiegowania. Usadowili się w jak najwygodniejszych pozycjach. Nie dawała mi spokoju pewna paskudna myśl, która zakradła się do mojej głowy jak robak: że być może przyczyną stanowczej decyzji Homera o objęciu posterunku pierwszego dnia, były słowa Robyn, która uznała mnie za najodważniejszą z nas wszystkich. Homera na pewno to nie ucieszyło. Ciągłe uważał, że to chłopaki są bohaterami, że zawsze idzie im trochę lepiej niż dziewczynom.

Może właśnie dlatego dokładałam starań, żeby szło mi lepiej niż jemu.

Przynieśliśmy kartki i długopisy, żeby zapisywać to, co zauważymy w ciągu dnia. Trochę nas to stresowało. Tak jak dawniej, kiedy zastanawialiśmy się nad noszeniem broni, dostrzegaliśmy różnicę między grupką nastolatków ukrywających się w lesie i uprawiających warzywa a grupą uzbrojonych partyzantów, którzy gromadzą i zapisują informacje na temat działań wroga. Obejrzelśmy wystarczająco dużo filmów wojennych i przeczytaliśmy wystarczająco dużo książek, by wiedzieć, czym to grozi. Znaleźliśmy jednak szczelinę w kościelnej wieży, do której mogliśmy wcisnąć kartki, gdyby nas nakryli. Doszliśmy do wniosku, że gdybyśmy je tam ukryli, nikt nie zdołałby ich znaleźć.

Zależało nam na zebraniu informacji o tym, co się dzieje wokół domów i na całej Turner Street. Choć nikt nie powiedział tego na głos, wszyscy czuliśmy, że właśnie zaczynamy przygotowania do następnego ataku. Wiedzieliśmy, że będzie to ciężkie zadanie, najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne ze wszystkich, jakie wykonaliśmy, i że musimy je zaplanować najstaranniej, jak się da.

O piątej ja, Fi i Lee zostawiliśmy Robyn i Homera na posterunku. Czekał ich zimny, nudny i niewygodny dzień. Ale w domu nauczycielki muzyki też w zasadzie się nudziliśmy. Jedno z nas musiało stać na warcie - zrezygnowanie z tego środka ostrożności było nie do pomyślenia - więc przez większość czasu siedzieliśmy razem z wartownikiem, graliśmy w jakąś grę planszową albo coś w tym rodzaju. Kiedy Fi stała na warcie, poszłam z Lee do salonu i trochę się poprzytulaliśmy. Ja chciałam iść na całość, ale Lee wydawał się jakiś rozkojarzony. Stresowała go chyba świadomość, że szykujemy się do kolejnego ataku na wroga, że znowu będziemy się narażali na rany i śmierć. W sumie to nic dziwnego. Ja też się denerwowałam. Najwyraźniej umiałam jednak uciszyć te myśli lepiej niż on. Dziwne: dawniej stresowałam się przed meczem netballu albo przed wystąpieniem na lekcji angielskiego. Można było pomyśleć, że po tym, co wyrabialiśmy teraz, szybko wyląduję w wariatkowie, ale wcale tak się nie stało.

Homer i Robyn wytrwali do północy, co naprawdę było bohaterskim czynem. Zrozumiałam to kilka godzin później, kiedy zmieniałam ich razem z Fi. Zebrali jednak sporo ciekawych informacji. W zasadzie ich notatki były tak niebezpieczne, że jeszcze dobitniej uświadomiły nam wszystkim, jak bardzo musimy uważać, żeby nas z nimi nie przyłapano. W domach na wzgórzu wrzało jak w ulu. Cała flotylla drogich samochodów - dwa jaguary i trzy mercedesy - kursowała tam i z powrotem o każdej porze dnia i nocy. Korzystało z nich co najmniej sześciu VIP-ów: wszyscy nosili oficerskie mundury i byli traktowani przez wartowników z wielkim szacunkiem. Wyglądało na to, że w jednym z domów mieści się kwatera główna zamieszkała przez najwyższych rangą mężczyzn i kobiety. Z pozostałych domów, w tym z domu Fi, korzystali wyłącznie wartownicy.

Wartownicy pilnowali wszystkich domów, ale najbardziej kwatery głównej. Zmieniali się co cztery godziny. Głównego budynku pilnowało czterech żołnierzy, a pozostałych domów po dwóch. Homer i Robyn powiedzieli, że wartownicy tworzą prawdziwą mieszankę: niektórzy byli bystrzy i sprawni, a inni niedbali i znudzeni.

- Większość z nich nie wygląda na prawdziwych wartowników - powiedziała Robyn. - Podobnie jak w patrolach, są tam głównie amatorzy. Najmłodszy mogą mieć ze czternaście lat, a najstarsi koło pięćdziesiątki.

Ja i Fi usadowiliśmy się w wieży tuż przed świtem. Było okropnie zimno. Co pół godziny musiałyśmy chodzić na zmianę na spacer po kościele. Włożyłyśmy tyle ubrań, że wyglądałyśmy jak ludzik Michelin. Fi zmusiła mnie do kilku minut aerobiku. Chciała mnie rozgrzać, ale z taką warstwą ciuchów zadanie okazało się zbyt trudne. Do ósmej rano na ulicy panował spokój. Potem nastąpiła zmiana warty. Fi zapisała: „8.00: warta”.

- Powinnaś napisać 0800 - zauważyłam. - Tak jak w wojsku.

Połowa wartowników zajęła stanowiska przed domami, a druga połowa zniknęła z tyłu. Zauważyłyśmy, że w domach też zaczyna się coś dziać. Na piętrze budynku sąsiadów Fi do okna podszedł mężczyzna w samych majtkach i przez chwilę patrzył na ulicę. Fi dostała ataku śmiechu, kiedy podniósł jedną, a potem drugą rękę i spryskał pachy dezodorantem. Z drugiego domu wyszła kobieta ubrana w zielono-biały dres i pobięła ulicą.

Wyglądało na to, że oficerowie mają oficjalne godziny pracy. Może dlatego nazywa się ich oficerami. W każdym razie za pięć dziesiąta z domów zaczęli wychodzić ludzie. Niektórzy mieli na sobie zwyczajne mundury, ale sześciu wyglądało na grube ryby. Jednego z nich widziałyśmy wcześniej w jaguarze. Wszyscy weszli do dużego starego domu z cegły stojącego w połowie Turner Street.

- Dom doktora Burgessa - powiedziała Fi. - Ładny budynek.

Mijał poranek i coraz trudniej było pamiętać o tym, że robimy coś niebezpiecznego. Sytuacja przypominała obserwowanie zwyczajnego życia. Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały, ludzie wchodzili do domów i wychodzili z nich, a czasami, kiedy na ulicy robiło się naprawdę pusto, słyszałyśmy nawet dzwonki telefonów. O dwunastej trzydzieści nastąpiła pora lunchu i żołnierze wrócili do domów. Niektórzy usiedli na ulicy w słabych promieniach słońca i jedli z małych plastikowych pojemników. Z kuchni wydobywały się cudowne zapachy, od których ciekła nam ślinka i burczało w brzuchach. Pośepnie odwróciłyśmy się w stronę swojego posiłku: wafli Vita Brits posmarowanych dżemem, pastą Vegemite albo miodem. Nie było najgorzej, ale tęskniłam za małymi luksusami, takimi jak masło czy margaryna. Marzyłam o gorących potrawach i o mięsie, którym pachniały dania przygotowywane przez żołnierzy.

Do szesnastej trzydzieści pięć działo się niewiele, ale potem zobaczyłyśmy coś, co prawie odebrało nam mowę. Patrzyłam, jak Fi skacze po kościele, żeby trochę się rozgrzać. Wróciła do mnie i oparła się o ścianę, ciężko dysząc.

- Oj, Fi, nikt nie kupi twojej płyty z ćwiczeniami, jeśli nie podniesiesz poprzeczki - powiedziałam. - O, nadjeżdża następny samochód.

Fi odwróciła się do okna i patrzyłyśmy, jak pojazd się zatrzymuje. Nie widziałyśmy

go wcześniej. Był to range-rover.

- To samochód Ridgewayów - powiedziała oburzona Fi.

Wydawała się mocno wkurzona, jakby to była najpoważniejsza zbrodnia popełniona w ciągu tej wojny.

- Idź ich aresztować - powiedziałam, nie odrywając wzroku od auta.

Zobaczyłam kierowcę, który wyglądał na zwykłego żołnierza, oraz dwie osoby siedzące z tyłu. Jedną z nich był oficer w czapeczce z daszkiem i ze złotymi lamówkami na marynarce munduru. Drugiej nie widziałam zbyt wyraźnie.

Samochód zaparkował przed domem sąsiadów Fi i dwaj pasażerowie wyszli na ulicę. Łuk nad bramą wejściową porastały liściaste pnącza, a za nią wiała się ścieżka prowadząca przez ogród w stronę drzwi. Oznaczało to, że zanim ci ludzie wejdą bramą, będziemy miały tylko ułamek sekundy, żeby się im przyjrzeć. Na domiar złego range-rover podjechał bardzo blisko wejścia. Mężczyzna siedzący po prawej stronie musiał okrążyć samochód, więc jemu przyjrzałyśmy się dość dobrze. Natomiast ten drugi wysiadł z samochodu i od razu wszedł bramą, nie dając nam żadnych szans. Jego twarz mignęła mi tylko przez chwilę, kiedy szedł ścieżką w stronę drzwi, między dwoma judaszowcami. Wyciągnęłam szyję, żeby lepiej widzieć. Po chwili pisnęłam przerażona i próbowałam złapać Fi, która stała jednak poza moim zasięgiem.

- Co? - zapytała. - Co?

Nie przyglądała się zbyt uważnie, a było już za późno, żeby zobaczyła tego człowieka.

- O Boże, nie wierzę. O mój Boże.

- Co? - powtórzyła Fi. Zaczynała się niecierpliwic i chyba trochę się wystraszyła.

- To był major Harvey!

- Och, Ellie, nie bądź śmieszna.

- Przysięgam, Fi. Przysięgam, że to był on.

- Jesteś pewna?

- Tak, chyba tak.

- No więc jesteś czy chyba jesteś?

- Jestem pewna na dziewięćdziesiąt procent. Nie, na dziewięćdziesiąt pięć. Mówię ci, Fi, to był on. Nie widziałas go ani przez chwilę?

- No wiesz, przez chwilę widziałam. To chyba rzeczywiście mógł być on. Miał mniej więcej taką samą posturę.

Drżąc, oparłam się o ścianę.

- Fi, a jeśli to naprawdę on? Jak myślisz, co to znaczy?

- Nie wiem. Boże, Ellie... - Zaczęły do niej docierać konsekwencje takiego odkrycia. - Myślisz, że...? O nie! Może... może on tylko udaje ich sojusznika, żeby szpiegować.

Pokręciłam głową. Jakimś cudem instynktownie wiedziałam, że major Harvey nie byłby zdolny do takiej odwagi. Wiedziałam, że ma pewną zgubną słabość, która odnajdzie go wszędzie, tak jak woda odnajduje najniższe punkty zbiornika, a owce dziurę w płocie.

Wiedziałam to doskonale - podobnie jak to, że nie wyrównałam jeszcze rachunków z majorem Harveyem.

Obserwowałyśmy ulicę do wieczora, ale mężczyzna więcej się nie pokazał. Między piątą a szóstą ludzie kończyli pracę i wracali do domów. O ósmej zobaczyłyśmy czwarte przekazanie warty, a o dziesiątej się wycofałyśmy, wymykając się drzwiami w zakrystii i idąc na paluszkach przez cmentarz. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem pozostałym, co zobaczyłyśmy. Lee i Homer spali, ale od razu ich obudziłyśmy. A potem godzinami analizowaliśmy różne możliwości. Ostatecznie zgodnie doszliśmy do jednego wniosku: najpierw należało się upewnić, że mężczyzna, którego widziałam, to naprawdę były dowódca Bohaterów Harveya.

16

Przez dwa dni nie widzieliśmy nikogo, kto przypominałby Harveya. Wyglądało na to, że mężczyzna nie opuszczał w tym czasie domu. Za to trzeciego dnia, kiedy siedziałam w wieży z Robyn, zobaczyliśmy go dość wyraźnie. Range-rover zatrzymał się jakieś dziesięć metrów od bramy, więc kiedy Harvey wyszedł na ulicę, musiał do niego podejść. Zobaczyliśmy go jak na dłoni: małego, przysadzystego mężczyznę w ciemnym garniturze - jedyną osobę na Turner Street, która nie miała na sobie munduru.

Robyn spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- To naprawdę on - szepnęła.

Zaczynałam już wątpić we własny wzrok i pamięć, więc ucieszyłam się, kiedy zobaczyłam, że jednak miałam rację. Byłam z siebie tak zadowolona, że stałam i patrzyłam na Robyn z miną zwyciężczyni. Range-rover zawrócił i powoli zaczął odjeżdżać, cały czas na pierwszym biegu. Jeszcze raz spojrzałam przez okno. Major Harvey tak jak wcześniej siedział z lewej strony tylnej kanapy i z przymilnym uśmiechem na twarzy zagadywał kierowcę.

Kiedy samochód wyjechał z Turner Street, oparłam się o ścianę kościelnej wieży i wbiłam wzrok w Robyn.

- Co za drań - powiedziałam. - Co za...

- Nie przeklinaj, Ellie - powiedziała speszona. - Nie w kościele.

- W porządku - zgodziłam się z wielkim wysiłkiem. - W porządku. Ale zaczekaj, aż stąd wyjdziemy. Będę przeklinała tak, jak jeszcze nigdy nie słyszałaś. Jak woźnica, który zamiast koni dostał wielbłądy. Coś ci powiem: dobrze się składa, że jesteśmy w kościele, bo w Biblii występuje Judasz, a ten cały Harvey to najprawdziwszy, autentyczny Judasz Iszkariot.

- Ale przecież nie mógł... chyba nie zdradziłby Bohaterów Harveya... Prawda? - zapytała Robyn.

- Nie wiem. - Próbowałam myśleć, ale byłam zbyt zmęczona. - Po prostu nie wiem.

Nie wydaje mi się, żeby zaplanował tę zasadzkę przy czołgu, bo gdyby tak było, nie zgodziłby się na widownię. Tamci żołnierze najwidoczniej nie mieli pojęcia, że stoimy nad nimi, ukryci w lesie. Jednego jestem pewna: jeśli wcześniej był po naszej stronie, teraz już nie jest.

Dopiero nazajutrz rano zrozumiałam znaczenie pewnego ważnego szczegółu. Nagle przypomniała mi się rozmowa z tamtym mężczyzną w warsztacie Kevina, podczas spotkania z panią Maccą. W trakcie śniadania sok owocowy pociekł mi po brodzie i zakrzusiwszy się płatkami, z przejęciem zapytałam Robyn:

- Słuchaj, co to znaczy, że ktoś jest kredą?
- Kredą? Nie wiem.
- Gdzie jest jakiś słownik?
- Nie wiem.
- Dzięki za pomoc.

Pobiegłam do salonu, gdzie znalazłam słowniki Oxford i Macquarie. Okazały się jednak równie pomocne jak Robyn. Mówiły tylko tyle, że kreda to rodzaj skały osadowej. Podejrzywałam, co jeszcze może znaczyć to słowo, ale potrzebowałam potwierdzenia. Dostarczył mi go Homer, kiedy wieczorem skończył wartę. Siedzieliśmy we dwoje przy oknie wykuszowym.

- Kreda? Przecież każdy wie, że tak się mówi na nauczyciela.

- Naprawdę? Serio? No to wszystko jasne. Tamten mężczyzna w warsztacie Kevina powiedział mi o jakimś gościu, który dawniej był kredą, a teraz przesłuchuje ludzi z terenu wystawowego. Podobno wystarczy jedno jego słowo, żeby ktoś zniknął. - Byłam coraz bardziej przejęta, bo przypominałam sobie o czymś jeszcze. - Poza tym ten ktoś znał wszystkich ludzi z Armii Rezerwowej. Harvey idealnie pasuje do takiego rysopisu. Idealnie!

Kiedy powiedzieliśmy o tym reszcie, każdy zareagował w inny sposób. Zszokowana Fi zbladła i nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Jakby nigdy nie przyszło jej do głowy, że ludzie są zdolni do tak okropnych rzeczy. Lee zerwał się z miejsca, równie błydy jak ona, ale jego oczy płonęły wściekłym blaskiem. Rąbnął pięścią w ścianę.

- Już po nim - powiedział. - Facet jest już martwy.

Przeszedł na drugą stronę pokoju, wcisnął dłonie pod pachy i stał, patrząc przez okno. Dygotał na całym ciele.

Homer zdążył już się oswoić z tą wiadomością. Potraktował ją wręcz spokojnie.

- Wszystko się zgadza - powiedział. - To wiele wyjaśnia.

- Co z tym zrobimy? - zapytałam. - Jeśli zamierzamy w jakiś sposób zaatakować te domy, jaki jest nasz cel? Chcemy zniszczyć budynki i wszystko, co w nich jest? Chcemy zburzyć dom Fi? Chcemy zabić tych ludzi? Zabić majora Harveya?

- Tak - powiedział Lee, nie odwracając się. - Chcemy zrobić wszystko, co wymieniłaś.

Znowu wpadł w ten psychotyczny stan, tak jak wtedy, kiedy dźgnął tamtego żołnierza.

W takich chwilach naprawdę mnie przerażał.

- Czuję się okropnie, wiedząc, że u mnie mieszkają - powiedziała Fi. - Po ich odejściu od razu przeprowadziłabym dezynfekcję. Ale nie chcę niszczyć domu. Rodzice by mnie zabili.

- Twoi sąsiedzi nie byliby zachwyceni, gdybyśmy spalili wszystkie domy oprócz waszego - zauważył Homer. - To byłoby trochę niesprawiedliwe.

Fi zrobiła jeszcze bardziej żalostną minę.

- Widziałam, jak dom Corrie wyleciał w powietrze - powiedziała. - I widziałam, jak to przeżyła.

- Tą kwestią zajmiemy się później - stwierdził Homer. - Najpierw sprawdzimy, czy w ogóle uda się zorganizować atak. Jeśli nie uda nam się znaleźć żadnego sposobu, nie ma sensu stresować Fi.

- Wspomniałeś o spaleniu - powiedziałam. - Obawiam się, że to nie będzie takie proste.

- To tylko pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy - wyjaśnił Homer.

- Zamierzamy zabijać ludzi? - zapytała Robyn.

- Tak - powtórzył Lee.

- Lee! - zawołała Robyn. - Przestań tak mówić. Nie cierpię, kiedy się tak zachowujesz.

To mnie przeraża.

- Nie widziałas tego, co się działo w obozie Bohaterów Harveya - powiedział Lee.

- Chodź do nas i usiądź - poprosiłam.

Po chwili ustąpił i usiadł obok mnie na kanapie.

- Myślę, że jest różnica między podpalaniem domów ze świadomością, że ewentualnie mogą zginąć ludzie, a zabijaniem z zimną krwią - powiedział Homer. - Ale prawda wygląda tak, że jeśli zabijemy Harveya i niektórych oficerów, bardzo pomożemy swojemu krajowi w tej wojnie. Możemy uratować życie innym ludziom. To fakt i nie ma sensu temu zaprzeczać. Tak naprawdę ważne jest tylko jedno pytanie: czy mamy odwagę to zrobić?

Na chwilę pograżyliśmy się w myślach. Przypuszczam, że pozostali skupili się na tym samym co ja: zastanawiali się, czy starczy im odwagi, żeby zabijać z zimną krwią. Ku swojemu zaskoczeniu doszłam do wniosku, że pewnie jestem do tego zdolna.

Z trudem znosiłam myśl, że wojna tak szybko robi ze mnie potwora, ale jednocześnie czułam, że tego się ode mnie oczekuje, że wszyscy ludzie uwięzieni na terenie wystawowym - moi rodzice, nasi przyjaciele, sąsiedzi - chcieliby, żebym to zrobiła. Podobnie jak ci wszyscy biedni nieszkodliwi mili ludzie z obozu Bohaterów Harveya. I obywatele całego kraju.

Wiedziałam, że tak czy siak będę musiała to zrobić, a dopiero potem będę się zmagać z konsekwencjami. O dziwo, tym razem w ogóle nie pomyślałam o grożącym mi niebezpieczeństwie, o własnym życiu.

- Zrobię to, co będzie trzeba - powiedziałam.

- Nawet jeśli będzie to oznaczało konieczność zabijania ludzi? - zapytał Homer.

- Tak.

- Będziesz w stanie przystawić któremuś z nich lufę do głowy i pociągnąć za spust? - zapytał Homer. - Mówię o zabijaniu z zimną krwią. Wiemy, co potrafisz zrobić w afekcie.

Robyn zaczęła protestować, ale Homer szybko jej przerwał.

- Musimy zadać te pytania - powiedział. - Musimy wiedzieć. Nie chciałbym, żeby w krytycznym momencie okazało się, że ktoś nie potrafi zrobić tego, co zaplanowaliśmy. W takim wypadku wszyscy skończymy martwi.

- Boże, czasami żałuję, że nie zostaliśmy uwięzieni jak pozostali - westchnęłam. - Dlaczego akurat my musimy to robić? Nie wiem, do czego jestem zdolna, dopóki nie znajdę się w konkretnej sytuacji. Ale chyba umiałabym zabić któregoś z nich.

- Dobra - powiedział Homer. - A ty, Lee?

- Nikogo nie zawiodę - oświadczył Lee.

- Co to znaczy? - Robyn straciła cierpliwość. - Chcesz powiedzieć, że każdy, kto nie będzie zabijał ludzi, sprawi nam zawód? Opamiętaj się. Czasami powstrzymanie się od działania wymaga większej odwagi niż samo działanie.

Lee nie odpowiedział. Siedział tylko zamyślony, ignorując moją rękę, która masowała jego kolano. Homer przyglądał mu się przez chwilę, a potem westchnął i zwrócił się do Fi.

- Fi?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy - powiedziała. - Nawet jeśli będzie to oznaczało zniszczenie mojego domu. Ale naprawdę nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy to robić. Wykorzystują go jedynie jako kwaterę dla wieśniaków. Żaden z VIP-ów tam nie mieszka.

- Umiałabyś kogoś zastrzelić? - zapytał Homer.

- Nie. Wiesz, że nigdy w życiu nie strzelałam. Ćwiczyłam ładowanie broni, mierzenie do celu i tak dalej, ale nie chcę być zmuszona do strzelania.

- No dobra - powiedział Homer - ale czy potrafiłabyś zepchnąć któregoś z nich z dachu, dźgnąć nożem albo wrzucić grzejnik elektryczny do wanny, żeby go porazić prądem?

- Chyba byłabym w stanie zrobić to ostatnie.

- Więc potrafiłabyś zabić, gdyby nie wiązało się to z kontaktem fizycznym?

- Tak, na tym chyba polega różnica. Pewnie mogłabym nawet kogoś zastrzelić,

gdybym wcześniej oswoiła się z bronią.

- Robyn, a ty?

- Zastanowiło mnie to, co powiedziała Ellie - oświadczyła niespodziewanie. - Zapytała, dlaczego to właśnie my znaleźliśmy się w tej sytuacji, dlaczego nie zostaliśmy uwięzieni jak pozostali. Może to coś w rodzaju próby, testu, który ma nam pokazać, jacy jesteśmy. - Wstała, podeszła do okna i odwróciła się w naszą stronę. - Może dopiero kiedy to się skończy, zobaczymy, czy postąpiliśmy słusznie. Moim zdaniem przejdziemy tę próbę, tylko jeśli będziemy się kierowali honorem, jeśli będziemy się starali robić to, co należy. Jeśli nie zaczniemy ulegać chciwości, ambicji, nienawiści albo żądzy krwi, jeśli wszystkie decyzje będziemy podejmowali zgodnie ze swoimi przekonaniem, jeśli będziemy próbowali być odważni, uczciwi i sprawiedliwi... Myślę, że właśnie tego od nas oczekują. Nie musimy być doskonali, pod warunkiem że będziemy dążyli do doskonałości.

- Więc co jesteś gotowa zrobić? - zapytał Homer.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie już teraz. Opracujmy plan, a potem zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wypalił. Na razie to musi wam wystarczyć.

- A ty, Homer? - zapytałam.

Odpowiedział głosem równie spokojnym jak jego spojrzenie:

- Będę walczył. Nie cofnę się przed niczym. To znaczy na pewno będzie mi trudno zabić kobietę z zimną krwią. To wydaje mi się najtrudniejsze. Pewnie nie brzmi to zbyt sensownie, ale tak właśnie jest. Myślę jednak, że byłbym w stanie to zrobić, gdyby zaszła taka potrzeba.

Każde z nas złożyło jakąś deklarację. Wiedzieliśmy już, na czym mniej więcej stoimy. Następny etap polegał na ułożeniu planu. Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy. Fi nie narysowała jeszcze planów, o które prosił ją Homer, więc zamiast tego zadaliśmy jej tysiąc pytań. Gdzie znajdują się tylne wejścia do domów? Gdzie są schody? Czy z tyłu są werandy? Ile jest sypialni? Gdzie są skrzynki z bezpiecznikami? Z jakiego ogrzewania korzystają poszczególne domy? Fi starała się odpowiadać na wszystkie pytania, ale po jakimś czasie wszystko jej się poplątało i nie mogła sobie przypomnieć, który dom ma piwnicę z winem, a który spiżarnię.

Potem nadeszła pora, by następna para poszła do kościoła i poobserwowała ulicę przez kolejny dzień. Uzgodniliśmy, że musimy szpiegować żołnierzy trochę dłużej, że potrzebujemy tylu informacji, ile tylko uda się zdobyć.

Trzymaliśmy się takiego planu przez następne trzy długie dni, zanim w końcu nastąpił upragniony przełom, który jednak był raczej przypadkiem niż skutkiem wspaniałego planu

układanego z wielką starannością przez tyle czasu. Pewnego dnia siedziałam w wieży z Lee i patrzyliśmy, jak na Turner Street wjeżdża ciężarówka do przewozu mebli. Należała do obsługującej przeprowadzki firmy ze Stratton, bo Wirrawee było zbyt małe, by działało w nim takie przedsiębiorstwo. Ciężarówka wjechała na wzgórze, zawróciła i zaparkowała przed domem na końcu ulicy. Kierujący nią żołnierz wysiadł i poszedł do drugiego domu. Ciężarówka stała tam przez kilka godzin i nic się nie działo. W porze lunchu z domu, który zaczęliśmy nazywać kwaterą główną, wyszedł jednak jakiś oficer i zawołał wartowników. Podeszli do niego, choć nie wydawali się szczególnie zachwyceni. Oficer coś do nich powiedział, a potem rozkazał, aby pomaszerowali do domu przy końcu ulicy. Kilka minut później zdałam sobie sprawę, że zaczyna się wielkie szabrowanie. Żołnierze wynieśli piękny stół z ciemnego drewna, które lśniło w słabym jesiennym słońcu. Następnie wzięli się do sześciu krzeseł z tego samego ciemnego drewna i z bordowym obiciem. Potem przyszła pora na obrazy w szerokich ciężkich złotych ramach. Musieli je nosić parami. Oficer krążył wokół, nadzorując pracę, ale nie pomagając. Cała akcja zajęła sporo czasu, bo pilnował, żeby żołnierze obchodzili się z cennymi przedmiotami bardzo ostrożnie. Kiedy skończyli załadunek, pozwolił im odmaszerować. Przez resztę dnia nikt nie zbliżył się do tej ciężarówki.

Kiedy zeszliśmy z posterunku i zmęczeni powlekliśmy się z powrotem do domu, przedstawiłam nasz plan pozostałej czwórce. Siedząc w wieży cały dzień i patrząc na tę ciężarówkę stojącą na wzgórzu, wpadłam na pewien pomysł.

- Słuchajcie - powiedziałam - założmy, że jedno z nas dostanie się do kabiny, zwolni hamulec, wrzuci luz i wyskoczy. Ciężarówka jest zwrócona przodem do stóp wzgórza. Powinna się stoczyć po Turner Street i uderzyć w dom na końcu. W takiej chwili każdy mężczyzna, każdy pies i każda kobieta pobiegnie w jej stronę. Wykorzystamy zamieszanie, żeby zakraść się do domów i podłożyć ogień. Każdy z nas zajmie się jednym budynkiem. Chyba udałoby się zasiać trochę zniszczenia. A kiedy wybuchną pożary, ogień znów zajmie ich uwagę i będziemy mogli uciec.

Pomysł był bardzo ryzykowny, ale osiągnęliśmy taki poziom znudzenia i zniechęcenia, że postanowiliśmy spróbować. Największą zaletą planu było to, że w razie zbyt wielkiego zagrożenia w początkowych fazach mogliśmy się wycofać po cichu, nie robiąc nic złego. Dopiero po podpaleniu domów stawało się to bardziej skomplikowane.

Wzięliśmy się do roboty. Napchaliśmy do kieszeni wszystkich łatwopalnych substancji, jakie zdołaliśmy znaleźć: terpentyny, nafty, denaturatu, podpałek i oczywiście zapalek. Spakowaliśmy cały dobytek i ukryliśmy go w ogrodzie, skąd łatwo można go było

zabrać. Nasz plan ucieczki polegał na przebiegnięciu przez miasto do domu pani Alexander niedaleko terenu wystawowego. Poprzednim razem widziałam w jej garażu dwa samochody, obydwa z kluczami w stacyjkach. Zakładałam, że nadal tam są, i mogły nam się przydać, jeśli dojdziemy do wniosku, że najlepiej będzie uciekać samochodem.

Zsynchronizowaliśmy zegarki. Zadanie Fi polegało na zwolnieniu hamulca ciężarówki. Poza tym każde z nas wybrało jeden dom i opracowaliśmy różne trasy przedostania się do ogrodów z tyłu. Mnie przypadł dom sąsiadów Fi - ten, w którym najwyraźniej mieszkał major Harvey. Dom Fi oszczędziliśmy, bo nie należał do czterech najbardziej uczęszczanych budynków, a mieliśmy do dyspozycji jedynie cztery osoby. Daliśmy sobie mnóstwo czasu, żeby nie działać pod zbyt dużą presją: prawie półtorej godziny do ataku o trzeciej nad ranem. Potem szybko się uściskaliśmy i ruszyliśmy w drogę.

Dopiero przechodząc przez płot za domem sąsiadów Fi, poczułam prawdziwy strach. Wcześniej wszystko wydawało się chaotyczne, niezorganizowane. Tam jednak, w zimnym mroku, wiedząc, że gdzieś między mną a tym budynkiem stoi uzbrojony żołnierz, poczułam, jak chłód ciągnący od ziemi pełźnie po moich nogach i reszcie ciała. Zaczęłam drżeć, a może nawet dygotać, i musiałam poświęcić kilka minut, żeby się uspokoić. Kiedy zobaczyłam, że to na nic, zrozumiałam, że będę musiała działać w takim stanie. Bez większego problemu przeszłam przez płot - był to stary mur z cegły, wysoki na jakieś półtora metra - i wylądowałam na górze kompostu w rogu ogrodu. Właściciel był zapalonym ogrodnikiem: zauważyłam rząd dołów wypełnionych różnymi rodzajami gleby i kompostu. Ugrzęzłam w kompoście aż po kolana, więc wyszłam stamtąd, strząsnęłam resztki z nóg i ostrożnie zaczęłam podchodzić do domu. Gdzieś w głębi budynku paliło się słabe światelko. Pomyślałam, że to pewnie lampka nocna. Miałam mniej więcej godzinę, żeby pokonać czterdzieści metrów, i bardzo mi to odpowiadało. Co kilka minut ostrożnie stawiałam jeden krok, a potem czekałam. Było to bardzo trudne, bo w każdej chwili mogła mnie rozerwać wystrzelona kula. Kusiło mnie, żeby powiedzieć: „A co mi tam”, i szybko zrobić z sześć kroków. Powstrzymałam się jednak i nadal posuwałam się powolutku. Było to przerażające, ale jednocześnie bardzo nudne.

W końcu stanęłam przed oknem pomieszczenia, które wyglądało na pralnię. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie mam najmniejszego problemu z rozpoznaniem pralni. Może to przez zapach, który zauważa się podświadomie. Przykucnęłam i próbowałam zobaczyć w ciemności, która godzina. Zajęło mi to wieki, ale w końcu z zadowoleniem stwierdziłam, że jest za piętnaście trzecia. Znałam już czas, więc następne pięć minut poświęciłam na przyglądanie się obiektom obok mojej lewej łydki. Doszłam do wniosku, że to licznik gazu i

kurek gazu. Zostało mi dziesięć minut. Obok prawej stopy zauważyłam jakieś roślinki. Niezapominajki. Mało interesujące.

O trzeciej trzęśłam się jak osika. Tym razem przyczyną dreszczy było jednak zdecydowanie zimno. Naprawdę bardzo chciałam, żeby Fi udało się zwolnić hamulec ciężarówki. Dziwne - normalnie wołałam nie nadstawiać karku.

Powoli minęła trzecia.

- Szybciej, Fi - niecierpliwiłam się.

Bałam się, że złapie mnie skurcz. Pięć po trzeciej na drodze było cicho jak makiem zasiał. Dziesięć po trzeciej - i nadal nic. Nie mogłam w to uwierzyć. Zastanawiałam się, ile muszę czekać, zanim damy sobie spokój. Tego nie uzgodniliśmy. Nowi wartownicy - świeżutcy i wypoczęci - przychodzili o czwartej, więc o tej godzinie wołałam być już daleko od Turner Street. Piętnaście po trzeciej wolno wstałam z cichym skrzyknięciem kolan, czując napięcie mięśni. Doszłam do wniosku, że zaczekam do trzeciej dwadzieścia, a o trzeciej dwadzieścia cztery zaczęłam się wycofywać prawie w takim samym tempie, w jakim przyszłam. Gdy dotarłam do tylnego ogrodzenia, była już trzecia czterdzieści. Na kilka sekund przystanęłam na górze kompostu, zastanawiając się, czy postępuję właściwie, a potem przelazłam przez ogrodzenie i ruszyłam biegiem w stronę domu nauczycielki muzyki.

Homer już tam był i odchodził od zmysłów z niepokoju.

- Cholera, jak myślisz, co się stało? - pytał bez przerwy. - Jak myślisz?

- Nie wiem - odpowiadałam, niewiele mu pomagając.

- Myślisz, że ktoś pobiegł od razu do domu pani Alexander?

- Przedtem musiałyby stąd zabrać swoje rzeczy.

Robyn zjawiała się chwilę po czwartej.

- Nikogo więcej nie widziałam. Ani śladu - powiedziała.

O czwartej trzydzieści przyszedł Lee, a w końcu, o czwartej czterdzieści pięć, Fi. Była załamana.

- Zamknęli ciężarówkę! - zawołała, gdy tylko nas zobaczyła. - Była zamknięta!

Roześmiałam się. Co innego mogłam zrobić? Taka prosta rzecz, a nie przyszła nam do głowy. Nie widziałam, żeby ktoś zamykał ciężarówkę w ciągu dnia, ale w zasadzie nie zwracałam na to uwagi.

- Nie wiedziałam, co robić! - płakała Fi. - Nie mogłam zbić szyby, bo narobiłabym hałasu. Czekałam na któreś z was, ale nikt się nie zjawił.

Wszyscy byliśmy wymęczeni, prawdopodobnie nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Kiedy powiedziałam, że musimy poobserwować ulicę z kościoła przez następny dzień, nikt

mnie nie poparł.

- O nie - jęknęła Fi. - To ponad moje siły.
- Jak na jedną noc, zrobiliśmy już dość - zgodziła się Robyn.
- Idź sama - warknął na mnie Lee. - Ja kładę się spać.
- W porządku, pójdę.

Byłam pewna, że to bardzo ważna sprawa. Patrzyli posepnie, jak biorę swoje rzeczy. Kiedy wychodziłam, nikt nie odezwał się słowem. Usłyszałam ich jednak przez okno, jak kłócili się o to, kto pierwszy stanie na warcie. Otworzyłam okno i wsunęłam głowę do środka, żeby wtrącić ostatnie dwa słowa:

- Ludzie, mówcie szeptem. Nocą dźwięki docierają daleko.

Wiedziałam, że czeka mnie samotny dzień w wieży Świętego Jana, ale nie miałam nic przeciwko temu. Kiedy dotarłam do kościoła, pospałam przez jakąś godzinę, przez co po przebudzeniu byłam sztywna i obolała, ale gdy w końcu doszłam do siebie, cały dzień upłynął mi na patrzeniu i rozmyślaniu. Na ulicy działo się niewiele. Ciężarówka podjechała pod drugi dom, gdzie załadowano na nią pianino, a potem pod trzeci, z którego wyniesiono dwa dywany i komodę. Stała już zbyt nisko, by mogła się rozpedzić i z czymkolwiek zderzyć. Musieliśmy znaleźć lepszy sposób.

O dziewiątej trzydzieści zobaczyłam majora Harveya, który wychodził z domu. Range-rover już po niego przyjechał i czekał na ulicy. Major usiadł z tyłu. Oprócz niego w samochodzie był tylko kierowca. Auto zawróciło i odjechało. Zastanawiałam się, czy jedzie na teren wystawowy. Może tym razem szykował się do przesłuchania moich rodziców.

Kiedy wrócił tuż po czwartej, wysiadł z samochodu i poszedł do domu, ale tym razem kierowca nie odjechał, tylko wysiadł i ruszył w stronę drugiego domu, zostawiając range-rovera zaparkowanego na ulicy. Auto nadal tam stało, gdy dałam za wygraną i o dziesiątej wieczorem samotnie przemknęłam w ciemnościach z powrotem do domu nauczycielki muzyki. Zdążyłam jednak poznać zwyczaje wartowników, a zapach przyrządzanego przez nich jedzenia, który sprawiał, że przez cały wieczór ciekła mi ślinka, podsunął mi pewien pomysł. Czas spędzony przed świtem w ukryciu za domem nie był czasem straconym.

Kiedy wróciłam, wszyscy zaczęli mi nadszukiwać. Chyba mieli poczucie winy. Byłam tak zmęczona, że przyjmowałam to bez słowa sprzeciwu. A gdy przedstawiłam im swój pomysł, przyjęli go prawie natychmiast. Zupełnie jak poprzedniej nocy: rozpaczliwie potrzebowaliśmy jakiegoś dobrego planu, więc chwytałyśmy się każdej deski ratunku.

Marzyła mi się eksplozja, od której zatrzęsłyby się okna w Los Angeles, w porównaniu z którą uskok San Andreas wyglądałby jak drobna rysa na krajobrazie. Mój

pomysł opierał się na wspomnieniu piecyka gazowego w naszym salonie: jeśli po odkręceniu gazu nie zdążyło się go szybko zapalić, trzeba było natychmiast go zakręcić. A jeśli przed potarciem następnej zapalki czekało się zbyt krótko, można było poparzyć sobie twarz. To zadziwiające, jak błyskawicznie rozprzestrzenił się gaz.

Skoro jeden piecyk mógł wywinąć taki numer, to co by się stało, gdybyśmy odkręcili na maksa gaz w trzech albo czterech piecykach na całe pół godziny? A potem potarli zapalkę? Mielibyśmy wielkie, wielgachne bum!

Właśnie na tym polegał mój plan. Razem z Homerem bardzo szczegółowo przedstawiliśmy go pozostałym. Podczas naszej nieudanej akcji jedno nie dawało mi spokoju: poczucie, że nie poświęciliśmy planowaniu wystarczająco dużo czasu. Zbyt wiele spraw pozostawiliśmy przypadkowi.

Dlatego tym razem opracowaliśmy szczegółowy plan, uwzględniając dwa scenariusze: sukces i porażkę. Postanowiliśmy zdobyć pięć rowerów i zabrać je z sobą, żeby w razie konieczności szybciej dostać się do garażu pani Alexander. Potem pozostał nam już tylko jeden problem. Od początku wiedziałam, że jego rozwiązanie będzie najtrudniejszym zadaniem. Chodziło o odpalenie bomby. Zasugerowałam strużkę łatwopalnej substancji, taką jak ta, dzięki której wysadziliśmy w powietrze cysternę z benzyną, ale od razu czułam, że byłby to najsłabszy punkt naszego planu. I rzeczywiście, pozostali natychmiast odrzucili mój pomysł.

- Wartownicy wyczują zapach benzyny - powiedział Homer. - Już i tak ryzykujemy, odkręcając gaz, chociaż nocą jest tak chłodno, że pewnie wszystkie okna będą zamknięte. Nie powinniśmy kusić losu.

Lee znalazł rozwiązanie. Siedział w milczeniu przez pół godziny, aż nagle zerwał się na nogi, czym przy okazji bardzo mnie wystraszył. W zasadzie nie krzyknął: „Eureka!”, ale równie dobrze mógłby to zrobić.

- Idźcie i wejdźcie do wszystkich domów, które są otwarte - zarządził. - Przynieście mi tostery. A do tego elektryczne timery. Nie wracajcie, dopóki nie znajdziecie przynajmniej po jednej sztuce. I nie zadawajcie żadnych pytań. Nie ma czasu. Jeśli się pospieszymy, zdążymy to zrobić jeszcze dzisiaj.

- A przy okazji weźcie też rowery - powiedział Homer, kiedy wprawiliśmy nasze zmęczone ciała w ruch.

Nie pamiętałam już, kiedy po raz ostatni udało mi się porządnie wyspać. Działalam jak robot.

Poszłam razem z Fi. Poruszałyśmy się w mieście z trochę większą pewnością siebie.

Oprócz Wzgórza Snobów i centrum handlowego przy Barker Street co noc oświetlano jeszcze dwie części Wirrawee. Domyśliliśmy się, że mieszkają tam ludzie, więc trzymaliśmy się z dala od tych okolic. Pozostałe części miasta - ciemne ulice i ciche domy - wyglądały na opuszczone. Nigdy nie spotkałyśmy tam patroli. Zupełnie jakby żołnierze byli pewni, że kontrolują całe Wirrawee. Prawdopodobnie wyłapali już wszystkich oprócz nas.

No tak - pomyślałam ponuro - ale jeśli dziś w nocy uda nam się zrealizować plan, nie będziemy mogli liczyć na spokój w Wirrawee.

Weszliśmy z Fi do czterech domów i bez trudu zdobyliśmy cztery tostery, ale z timerami było gorzej. W ostatnim budynku zgarnęliśmy jednak pulę. Prawie w każdym pomieszczeniu było urządzenie kontrolujące ogrzewanie. Wyglądało na to, że mieszkała tam bardzo zorganizowana osoba.

O drugiej wszyscy byliśmy już z powrotem w domu nauczycielki muzyki. Każde z nas przyniosło małą kolekcję urządzeń i przyprowadziło rower. Robyn znalazła pompkę, której wszyscy potrzebowaliśmy, bo z większości kół zeszło powietrze. Lee nie zdobył timera, więc podzieliliśmy się z nim naszym łupem. Udało mu się za to przynieść kombinerki, za pomocą których pokazał nam, co mamy zrobić. Pomysł był bardzo prosty i bardzo sprytny, a w dodatku mieliśmy spore szanse na powodzenie.

Kiedy dopracowaliśmy plan, Lee przeciął kombinerkami żarniki w tosterach i pokazał, jak ustawić timery. Minęła trzecia i przyszła pora na to, żeby zacząć działać. Nastawiliśmy timery, szybko spakowaliśmy manatki i zarzuciliśmy je sobie na plecy. Tym razem zabieraliśmy je od razu, żeby przyspieszyć ucieczkę.

Wybraliśmy te same domy co noc wcześniej. Mnie przypadł dom sąsiadów Fi, Robyn budynek obok, w którym naszym zdaniem mieściły się biura, a Lee miał się zająć domem doktora Burgessa, w którym najwyraźniej urządzono kwaterę główną. Naprzeciw niego stał duży nowy budynek z cegły, w którym spało mnóstwo oficerów, i właśnie taki cel obrał sobie Homer. Fi, która tym razem nie musiała zwalniać hamulca w ciężarówce, także mogła zaatakować jakiś dom. Dzielnie zaproponowała, że zajmie się własnym, ale przekonaliśmy ją, że lepiej wybrać ten na szczycie wzgórza, który był wykorzystywany na większą skalę. Oczywiście wiele wskazywało na to, że dom Fi również ulegnie zniszczeniu.

Pokonałam tę samą trasę co poprzedniej nocy: wdrapałam się na murowane ogrodzenie za domem i przesłam po górze kompostu. Mocno ścisnęłam toster. Timer tworzył wypukłość w jednej kieszeni, a latarka w drugiej. O czwartej wszyscy musieliśmy już zająć wyznaczone pozycje, więc i tym razem miałam wystarczająco dużo czasu, żeby poruszać się powoli i ostrożnie. Miałam chyba już jednak dość tej całej ostrożności i

nieustannej dyscypliny. Zrobienie pierwszych sześciu kroków zajęło mi pięć minut, a potem straciłam zimną krew i pędem pokonałam dziesięć metrów, żeby schować się za drzewem cytrynowym. Uznałam, że dzięki temu reszta drogi będzie mniej monotonna. I prawie przypląciłam to życiem. Już miałam wyjść zza drzewa i zrobić następny krok, kiedy usłyszałam trzask gałęzi. Brzmiał okropnie, jakby złamała się pod naciskiem czyjejś stopy. Zawahałam się, a potem przykucnęłam i czekałam. Rzeczywiście, chwilę później po ogrodzie przesunął się snop światła. Prześlizgiwał się po roślinach w głuchej ciszy. Przykucnęłam jeszcze niżej i zacisnęłam powieki, czekając na kule, które za chwilę popędzą w moją stronę. Zastanawiałam się, czy przed śmiercią słyszy się ich świst. A może wszystko dzieje się tak szybko, że umierasz, nie usłyszawszy żadnego dźwięku? Zmusiłam się do otwarcia oczu i lekko obróciłam głowę, żeby spojrzeć w stronę źródła światła. Byłam niemal pewna, że zobaczę wpatzonego we mnie wartownika z wycelowanym karabinem. Ujrzałam jednak tylko ten snop światła latarki, który nadal przeczesywał ogród, tym razem z dala od mojej kryjówki, i oświetlał krzak róży. Potem ktoś wyłączył latarkę. Natychmiast zrozumiałam, że przez swoją niecierpliwość znalazłam się w beznadziejnym położeniu. Jeśli wykonam jakiś ruch, narażę się na to, że ktoś mnie usłyszy. Jeśli pozostanę w ukryciu, będzie mnie dzieliła spora odległość od domu, w którym miałam się znaleźć o czwartej. Tak czy siak, zostało mi mało czasu. Zastanawiałam się dziesięć minut i zdecydowałam się na kompromis. Postanowiłam zająć pozycję, z której będę widziała wartownika, a potem opracować jakąś taktykę.

Poruszałam się z wielką ostrożnością. I z wielkim bólem, bo za długo siedziałam skulona jak wystraszona świnka morska. Omal nie dostałam ataku śmiechu, kiedy sobie wyobraziłam, jak się wytłumaczę z posiadania tosterka, jeśli zostaniemy złapani. „Nagle zapragnęłam schrupać grzanek, więc wyszłam poszukać kontaktu”. Powoli przesuwałam się dalej, rozglądając się uważnie na każdym kroku, aż w końcu zobaczyłam wartownika. Stał - lub stała, bo było zbyt ciemno, żeby stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta - odwrócony w stronę ogrodu, jakby nadal obserwował i nasłuchiwał. Jak zwykle miałam pecha i trafił mi się służbista. Próbowałam zobaczyć, która godzina, ale było za ciemno.

Ważnym elementem naszego planu była zmiana warty o czwartej, a ja nie wiedziałam nawet, która jest godzina. Miałam jedynie nadzieję, że usłyszę nowych wartowników, którzy przyjdą ulicą, żeby zastąpić kolegów. Zmianie warty towarzyszyło coś w rodzaju małej ceremonii. Przyglądałam się jej tyle razy, że dokładnie znałam jej przebieg. Nowi wartownicy maszerowali ulicą pod dom doktora Burgessa i tam się zatrzymywali. Potem jeden z żołnierzy dmuchał w gwizdek i wartownicy schodzili z posterunków, składali meldunki, ustawiali się w

szeregu i maszerowali do swoich kwater, a przybyli żołnierze rozchodzili się ku swoim stanowiskom.

Trwało to zaledwie kilka minut, ale to właśnie od nich zależało powodzenie naszej akcji.

Pomyślałam, że skoro wartownik słyszy gwizdek, to usłyszę go również ja, więc zastygłam w bezruchu i czekałam. Bałam się, że będę tak sterczała całe wieki, ale po zaledwie dziesięciu minutach usłyszałam odgłos maszerujących stóp dobiegający od strony ulicy. Wartownik też go usłyszał i natychmiast stracił zainteresowanie dalszym nasłuchiowaniem. Podeszedł do rogu domu. Tam przystanął w oczekiwaniu na gwizdek. Było widać, że nie wolno mu wyjść na ulicę przed umówionym sygnałem, więc czekał na niego z niecierpliwością. Domyśliłam się, że za każdym domem stoi teraz wartownik wyczekujący chwili wychnienia. Po czterech godzinach nudnej służby w środku nocy każdy miałby dość.

W oddali rozległ się gwizd i wartownik zniknął, nie oglądając się za siebie. Nie miałam czasu na ostrożność. Od razu wstałam i szybko podeszłam do tylnych drzwi. Wiedziałam, że jeśli ci wartownicy przeżyją, będą mieli jutro duże kłopoty. Teraz moim największym zmartwieniem były drzwi. Uzgodniliśmy, że jeśli okażą się zamknięte, sami podejmiemy decyzję: mogliśmy albo się poddać, albo owinać rękę swetrem i stłuc szybę. Fi była jednak pewna, że drzwi są otwarte. Powiedziała, że większość mieszkańców Turner Street bardzo dbała o kwestie bezpieczeństwa i podobnie jak jej rodzice miała zamki antywłamaniowe. Aby dostać się do tych domów, żołnierze musieli się włamać. To oznaczało, że drzwi nadal są otwarte - o ile oczywiście nikt ich jeszcze nie naprawił.

Teoria Fi była bardzo logiczna i, o dziwo, tym razem logika zwyciężyła. Kiedy nacisnęłam klamkę i popchnęłam, drzwi prawie wypadły z zawiasów. Zostały wyważone, a potem wstawione z powrotem i najwyczałniej oparte o ościeżnicę. Brawo, Fi! - pomyślałam z szerokim uśmiechem, mając nadzieję, że pozostałym idzie równie dobrze jak mnie. Było tak ciemno, że musiałam użyć latarki. Wyjęłam ją z kieszeni, zasłoniłam szkiełko dłonią i włączyłam. W słabym różowawym świetle zobaczyłam rząd butów. Stałam na tylnej werandzie. Dokładnie tak, jak zapowiedziała Fi.

Szybko ruszyłam prosto do kuchni. Dzięki maleńkiemu, wążutkiemu snopowi światła znalazłam kuchenkę. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zrobiło mi się słabo. Była elektryczna. To oznaczało, że muszę poszukać trochę dłużej, że potrzebuję więcej czasu. Przemknęłam do jadalni, czując, jak pot wylewa się przez pory mojej skóry. Na szczęście znalazłam to, czego szukałam: piecyk gazowy. Odkręciłam gaz na maksa, a timer i toster podłączyłam do gniazdka. Nastawiłam timer na przybliżoną godzinę, tak jak mieliśmy zrobić,

gdyby zabrakło czasu, żeby zrobić to dokładnie. W zasadzie nie wiedziałam, ile czasu mi jeszcze zostało, ale byłam zbyt wystraszona, żeby się nad tym zastanawiać i szczerze mówiąc, nawet się tym nie przejmowałam. Zerknęłam jednak na przecięty żarnik toster: gdyby jego dwa końce znalazły się zbyt daleko od siebie, nie pojawiłaby się iskra i cały mój wysiłek poszedłby na marne. Do pokoju sączył się gaz i starałam się go nie wdychać. Miał paskudny zapach. Przerazała mnie szybkość, z jaką rozchodził się po domu. Zbliżyłam do siebie dwie końcówki żarnika, delikatnie postawiłam toster i pobiegłam do salonu. Tam znalazłam następny piecyk. Odkręciłam gaz. Zastanawiałam się, czy mam czas, żeby zajrzeć do pokoju gier. I do gabinetu. Tak. W każdym razie do jednego z nich. Wybrałam pokój gier. Pobiegłam tam i przeprowadziłam następne szybkie poszukiwania z przysłoniętą latarką. Hura! Znalazłam trzeci piecyk. Odkręciłam gaz i rzuciłam się w stronę tylnych drzwi. Rozpaczliwie chciałam się stamtąd wydostać i strasznie się bałam, że nowy wartownik będzie już na posterunku. Nawet przy drzwiach czułam zapach gazu. Nie mogłam uwierzyć, jak szybko się rozprzestrzenił. Dopadłam drzwi i szybko wyjrzałam na zewnątrz. Nie miałam więcej czasu i nie mogłam sobie pozwolić na większą ostrożność. Wyszłam, oparłam drzwi o ościeżnicę i popędziłam szukać jakiejś kryjówki. Usłyszałam chrzęst żwiru. Z boku budynku zbliżał się wartownik. Dałam susa i jak piłkarz wylądowałam ślizgiem pod krzakiem o maleńkich listkach i kwiatach, uderzając przy tym kolaniem o kamień. Moje biedne kolano! Ciągłe nim o coś uderzałam. Weisnęłam pięść w usta, żeby nie zawyc z bólu, i leżałam, czując, jak do oczu napływają mi łzy. Mimo to zwróciłam uwagę na słodki zapach krzewu. To pewnie brzmi dziwnie, ale naprawdę tak było.

Pozwoliłam sobie na kilka sekund odpoczynku pod krzakiem, ale wiedziałam, że muszę się ruszyć. Nie miałam czasu na dokładne ustawienie timera, więc wybuch mógł nastąpić znacznie wcześniej, niż planowałam. Wyczołgałam się spod osłony i rozpoczęłam kolejny niekończący się powolny spacer w stronę murowanego ogrodzenia. Dałam sobie dziesięć minut, ale okropnie się bałam, że przed ich upływem nastąpi eksplozja. Pot płynął mi po twarzy jak po przebiegnięciu pięciu kilometrów. Ciągłe wyobrażałam sobie chwilę, w której na timerze pokazują się zera, do toster płynie prąd, iskra przeskakuje z jednego końca żarnika na drugi i z nagłym, potężnym hukiem wybucha gaz...

Na górze kompostu zignorowałam ból w kolanie i przeskoczyłam przez ogrodzenie, a potem, utykając, pobiegłam ulicą. Skierowałam się prosto do rowerów i ku swojej nieopisanej radości zastałam przy nich Fi, która trzymała dwa jednoślady za kierownice.

- Co ty wyrabiasz? - syknęłam. - Takie czekanie jest zbyt niebezpieczne.

Mimo to szeroko się do niej uśmiechnęłam.

- Wiem - przyznała. - Ale nie byłam w stanie odjechać sama.

Jej idealne białe zęby zaśniły w uśmiechu na tle brudnej twarzy.

Złapałam rower i ruszyliśmy bez słowa. Nagle za moimi plecami rozległ się tupot. Odwróciłam się zaskoczona, ale i pełna nadziei. To był Lee. Biegł, ciężko dysząc.

- Wynośmy się stąd - powiedział.

- Dobry tekst do filmu - szepnęłam.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, potem przypomniał sobie, o co chodzi, uśmiechnął się i wskoczył na rower. Sekundę później był już pięć metrów przede mną. Musiałyśmy szybko pedałować, żeby go dogonić.

Dotarcie do domu pani Alexander zajęło nam całe wieki. Musieliśmy jechać naokoło i przeważnie pod górę. Kiedy jednak w końcu zsiadaliśmy z rowerów przed jej garażem, widoczne naprzeciwko wzgórze zajęło się ogniem. Nigdy w życiu nie widziałam wulkanu, ale chyba właśnie tak wygląda erupcja. Rozległ się głośny syk i płomienie wystrzeliły w niebo jak ognie rzymskie. Po chwili do naszych uszu dotarł jakby trzask pioruna. Dokładnie w tej samej chwili nastąpiły jeszcze dwa wybuchy. W zasadzie nie widzieliśmy domów, ale zobaczyliśmy, jak dach jednego z nich unosi się w powietrzu i rozpada na kawałki, a po chwili wszystkie drzewa wokół tych budynków zajęły się ogniem i gwałtownie płonęły.

- O kurczę! - powiedziała oszołomiona Fi.

Były to chyba najostrzejsze słowa, jakie kiedykolwiek wymówiła.

Trzask ognia był tak głośny, że słyszeliśmy go nawet pod domem pani Alexander. Gwałtowny podmuch gorącego powietrza przetoczył się przez ogród jak ściana, wyginając drzewa i rośliny i uderzając w nas. Tuż obok mnie śmignęły małe ciemne kształty. Pojawiły się nie wiadomo skąd: ptaki uciekające przed gorącym powietrzem. Jedna strona Wirrawee stopniowo zajmowała się ogniem. Na niebie wisiała piekielna czerwona poświata. Prawie czułam zapach spalenizny.

- Szybko - powiedział Lee. - Ruszajmy stąd.

Wbiegliśmy do garażu. Na szczęście tym razem mieliśmy latarki - poprzednio musiałam tu szukać zapalek po omacku, a w dodatku groziło mi straszne niebezpieczeństwo.

- Mam nadzieję, że Robyn i Homer zdążyli uciec - powiedziałam.

Nie było czasu na dłuższe rozmowy. Szybko otworzyłam drzwi najbliższego samochodu, wskoczyłam do środka i przekreśliłam kluczyk. Usłyszałam słabe zgrzytanie.

- O Boże - powiedziałam. - Wysiadł akumulator.

Lee wsunął głowę do drugiego samochodu, pikapa, i spróbował go odpalić, ale jemu też się nie udało.

Kiedy się wyprostował, do garażu wpadła Robyn, zdyszana i przejęta.

- Są wszyscy? - zapytała.

- Oprócz Homera. A samochody nie chcą zapalić.

- Kurczę - powiedziała i znowu zniknęła. Chyba pobiegła poszukać Homera.

Jeszcze raz spróbowałam odpalić pierwszy samochód, ale słaby odgłos coraz bardziej cichł, aż w końcu przeszedł w ledwie słyszalny pomruk.

- Musimy się zadowolić rowerami - powiedziałam do Lee.

Wybiegliśmy z garażu i przyprowadziliśmy rowery z za szopy, gdzie wcześniej je porzuciliśmy. Nie mogłam się powstrzymać i przystanąłam na chwilę, żeby spojrzeć na ogromny pożar szalejący na wzgórzu. We wszystkich zamieszkałych częściach Wirrawee paliły się światła i widzieliśmy reflektory wielu pojazdów jadących w stronę Turner Street. Zauważyłam też dwa wozy strażackie wytaczające się z terenu wystawowego.

- Punkt dla nas - powiedział Lee. - Jeśli udało się zmieścić dużo oficerskich kwater, nie będą mieli nikogo wystarczająco mądrego, żeby pokierować akcją ratunkową i wydawać rozkazy.

Przytaknęłam.

- Wykorzystajmy tę przewagę - powiedziałam. - A co z Homerem? Możemy mu zostawić wiadomość.

Z ciemności wyłoniła się Robyn na rowerze.

- Zaczekam na niego - zaoferowała.

- Nie, Robyn. Nie. To zbyt niebezpieczne. Proszę, nie rób tego Zamilkła. Po chwili uratował nas głos dobiegający z mroku:

- Kto ma ochotę na grzanekę? - zapytał Homer.

- Nie schodź z roweru - powiedziałam szybko. - Oba samochody zdechły. Gdzie jest Fi?

- Tutaj - odezwał się cichutki głosik.

- Zatem w drogę, pięcioro wspaniałych!

Świt nadszedł za szybko, zaskakując nas daleko od mojego domu i wiernego land-rovera. Postanowiliśmy zboczyć z głównej drogi w stronę najbliższej posiadłości: gospodarstwa Mackenziech.

Od czasu kiedy samolot zniszczył dom na naszych oczach, byłam tam dopiero drugi raz. Wtedy, wiele tygodni temu, siedzieliśmy w domku postrzygaczy i patrzyliśmy na eksplodujący budynek. Widząc jego ruiny w zimnym, szarym, przygnębiającym świetle poranka, poczułam, jak opuszczają mnie wyrzuty sumienia z powodu wysadzenia w powietrze połowy Turner Street. Było mi żal właścicieli tych domów, ale wiedziałam, że prawdopodobnie zaszkodziliśmy wrogowi bardziej niż we wszystkich wcześniejszych akcjach razem wziętych. Przynajmniej częściowo udało nam się pomścić Mackenziech, którym najeźdźcy zbombardowali dom i postrzelili córkę: moją przyjaciółkę Corrie.

Pozostali ruszyli prosto do szopy do strzyżenia owiec, ale ja przez kilka minut snułam się po ruinach domu. Zaczęły na nich rosnać małe chwasty, które powoli się rozprzestrzeniały. Wściekła wyrwałam je z ziemi. Może niesłusznie. Na swój sposób były życiem. A wokół brakowało życia. Wszystko zostało zniszczone: naczynia stołowe potłuczone, patelnie wypaczone i pogięte, drewno połamane. Na próżno szukałam czegoś, co nie zostało naznaczone wybuchem. Z masakry w obozie Bohaterów Harveya ocalał przynajmniej mój ukochany mały miś Alvin.

Kiedy jednak odwróciłam się w stronę roweru i zaczęłam się oddalać od domu, znalazłam jedną drobną rzecz. Spod cegły wystawał kawałek błyszczącego srebra. Wyciągnęłam go. Był to nożyk do otwierania listów - długi, wąski i ostry, z małą rączką w kształcie poprzecznej rurki. Schowałam go do kieszeni. Może pewnego dnia mi się przyda. Traktowałam go jak broń. Nawet nie przyszło mi do głowy, że pewnego dnia mogłabym nim otwierać listy. Miałam jednak nadzieję, że kiedyś uda mi się go zwrócić właścicielom.

- Ellie! - zawołał czyjś głos.

Zaskoczona, spojrzałam w górę. Robyn machała do mnie z szopy do strzyżenia owiec.

- Samolot! - zawołała.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że w oddali rozlega się niskie buczenie, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi. Chyba byłam zbyt zmęczona. Adrenalina szybko wypchnęła

to zmęczenie z mojego organizmu i popędziłam po rower, potykając się o cegły i czując, jak w kolanie znowu odzywa się ostry ból.

Zignorowałam go i schyliłam się po rower. Nie byłam pewna, czy jadąc w stronę szopy, nie naprowadzę na nią pilota, ale równocześnie zrozumiałam, że nie ma tu żadnej innej kryjówki, więc popedałowałam jak szalona w stronę przyjaciół. Gdy tylko ukryłam się w cieniu budynku, pozostali złapali mnie i zawlekli do środka. Położyłam się na podłodze i rozpaczliwie łąpałam powietrze. Warkot samolotu przesunął się tuż nad naszymi głowami i pomknął dalej. Leżałam z twarzą w kurzu i zastanawiałam się, czy mnie zauważył, czy jeszcze zawróci. Jakby samolot był złym stworem wyposażonym w parę oczu i umysł. Nie potrafiłam sobie wyobrazić ludzi, którzy siedzieli za sterami.

Ryk samolotu ucichł i pozwoliłam, żeby Robyn pomogła mi wstać.

Tak wyglądał początek okropnego dnia. Byliśmy dumni z tego, co zrobiliśmy, ale wkrótce dopadł nas strach. Zaczęło do nas docierać, że ci, których wysadziliśmy w powietrze, musieli być ważniejsi i bardziej wpływowi, niż przypuszczaliśmy. Po niebie nieustannie krążyły helikoptery i samoloty. Ich niecichnący warkot, który przywodził na myśl piły motorowe, przenikał do mojego mózgu, aż w końcu nie byłam już pewna, czy rozlega się w mojej głowie, czy jednak na niebie. Parę godzin później byliśmy już tak zestresowani, że wyszliśmy z szopy do strzyżenia owiec, ukryliśmy rowery i ruszyliśmy lasem w góry. Dopiero kiedy otoczyły nas gęste zarośla, poczułam się trochę pewniej. Nie mieliśmy jedzenia - jedynie paczkę suchych herbatników, którą wziął z sobą Homer - ale mimo to woleliśmy głodować, niż zejść na pola, gdzie bylibyśmy widoczni jak na strzelnicy.

W końcu usiedliśmy i mogliśmy się podzielić swoimi przeżyciami. Wymiana relacji była czymś niesamowitym i pomogła nam na chwilę zapomnieć o nieustannym warkocie samolotów. Opowiedziałam pozostałym, co mnie spotkało, a potem przyszła kolej na Robyn. Zajęła się sąsiednim domem, który uznaliśmy za trochę mniej ważny budynek z biurami. Nie udało jej się jednak dostać do środka.

- Drzwi były zamknięte - wyjaśniła - więc o czwartej, gdy tylko wartownik się oddalił, wybiłam szybę. Próbowałam to zrobić delikatnie, ale była dość wysoko nad moją głową i ostatecznie runęła, lądując po wewnętrznej stronie domu. Gdybyście słyszeli ten hałas! Był niewiarygodnie głośny. Zaczęłam panikować, ale uznałam, że mam jeszcze trochę czasu, więc spróbowałam wdrapać się do środka. Wzdłuż ściany biegła rynna, która w pewnym miejscu się rozwidlała, więc wdrapałam się na nią. Sięgnęłam w stronę okna, żeby złapać się parapetu i wtedy rynna się zerwała. Narobiła jeszcze więcej hałasu niż szyba. Wybaczcie, ale wtedy stchórzyłam. Zaczęłam się trząść i doszłam do wniosku, że nie mam czasu, żeby wejść do

środku. Teraz myślę, że chyba by mi się udało, ale cały ten hałas porządnie mnie wystraszył. Potem zdałam sobie sprawę, że woda z zerwanej rynny leje się na ziemię. Jakby wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Wyprostowałam rynnę i ruszyłam w stronę sąsiedniego domu, żeby zobaczyć, czy Ellie nie potrzebuje pomocy, ale akurat wrócili dwaj strażnicy i minęły całe wieki, zanim w końcu udało mi się wycofać. Dlatego obawiam się, że tak naprawdę nie zrobiłam nic pożytecznego. Wszystkie zasługi możecie przypisać sobie.

Lee też zastał zamknięte drzwi. Być może zamykali budynki, w których urządzili biura, a tych, gdzie mieszkali, już nie. Lee był jednak w lepszej sytuacji niż Robyn: Fi знаła dom doktora Burgessa prawie tak dobrze jak swój, więc narysowała mu świetny szczegółowy plan budynku. Kiedy Lee zobaczył, że tylne drzwi są zamknięte, pobiegł prosto do składu węgla, otworzył go, wślizgnął się do piwnicy i tamtędy dostał się do domu.

- Doktor Burgess ciągle powtarzał, że musi tam wstawić zamek - triumfowała Fi. - Jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa, był beznadziejny. Tata zawsze mówił, że to dlatego nigdy się do niego nie włamali.

Lee znalazł kuchenkę gazową i trzy piecyki, więc puszczone przez niego gaz na pewno wywołał wielką eksplozję. Zapytałam go, czy napotkał jakieś problemy w drodze powrotnej, a on tylko wzruszył ramionami, spojrzał na drzewa i powiedział: „Nie”. Nie wiedziałam, jak to rozumieć. Dlaczego nie spojrzał mi w oczy? Miałam okropne uczucie, że na jego rękach, na tych długich, smukłych palcach muzyka, pojawiło się jeszcze więcej krwi.

Homer z łatwością dostał się do domu, który mu wyznaczaliśmy, ale nie znalazł tam żadnych urządzeń na gaz. Po wyjściu postanowił przycząić się kilka przecznic dalej i zobaczyć, co się stanie.

- Uwielbiasz to robić - zauważyła Fi. - Zupełnie jak wtedy, kiedy wysadziliśmy most.

- To szalony terrorysta - powiedziałam.

- Tym razem było jeszcze lepiej - oznajmił Homer. - Ogromna eksplozja. Najpierw jedna, a potem druga, jeszcze większa. Może trzymali tam amunicję. Szkoda, że nie poczuliście fali uderzeniowej. Zupełnie jakby nagle rozpętała się wichura. Wow! A ten huk! Nie do wiary. Potem nastąpiło mnóstwo mniejszych wybuchów. Dziś rano zrobiliśmy coś wielkiego. Podjęliśmy się wykonania niesamowicie trudnego zadania i udało nam się. Jesteśmy bohaterami!

Zastanawiałam się, jakie to dziwne, że niszczenie budynków i zabijanie ludzi stało się dla nas wielkim osiągnięciem, i że znacznie łatwiej jest coś zniszczyć, niż zbudować.

- A jak poszło tobie, Fi? - zapytał Lee.

- Przekopywałam się przez ogród jak jakiś króliczek - powiedziała Fi. - Minęły całe

wieki, zanim w końcu zbliżyłam się do domu. A mniej więcej metr od tylnej ściany zdałam sobie sprawę, że wartownicza śpi. Mogłam podejść spacerkiem i nawet by mnie nie zauważyła. Trochę się zmartwiłam, bo była już za dziesięć czwarta i wartownicza mogła się spóźnić na zmianę warty. Na szczęście miała jeden z tych zegarków z budzikiem, więc kiedy pomyślałam, że chyba będę musiała podejść i sama ją obudzić, usłyszałam sygnał. Parę minut później rozległ się gwizd. Wartownicza podniosła się z ziemi i odmaszerowała. Wydaje mi się, że coś piła, bo zanim ruszyła w stronę ulicy, wsunęła do kieszeni butelkę. Gdy tylko zniknęła za domem, wpadłam do środka. Odkręciłam gaz w kuchni i włączyłam piecyk w jadalni, ale za bardzo się bałam, żeby zrobić coś więcej. Poza tym nie sprawdziłam timera. Po prostu podłączyłam go do gniazdka i miałam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

- Podobnie jak ja - wyznałam.

Okazało się, że tylko Lee sprawdził ustawienia timera.

- Nic się nie stało - uspokoił nas Homer. - Zadbaliśmy o nie w domu pani Lim i wszystko poszło zgodnie z planem. Eksplozje nastąpiły jedna po drugiej, więc możliwe, że jedna wywoływała drugą albo, jak już powiedziałem, w którymś z budynków był skład amunicji.

Po południu w gospodarstwie Mackenziech zjawił się patrol. Żołnierze przyjechali dwiema terenówkami: toyotą i jackaroo. Poznałam drugi pojazd. Należał do pana Kassara, który prowadził w szkole kółko teatralne. Był taki dumny z tego auta. Na razie, siedząc w gęstych zaroślach, czuliśmy się bezpieczni, ale bardzo się baliśmy, że żołnierze znajdą jakiś ślad naszej niedawnej bytności w szopie i wezwą posiłki. Patrzyliśmy w skupieniu, jak przeczesują teren. Najzabawniejsze było to, że wyglądali na porządnie zestresowanych. Zdjęli karabiny z pleców, trzymali się blisko siebie i cały czas nerwowo się rozglądali. Miałam ochotę zawołać: „To tylko my! Dzieciaki z liceum. Wyluzujcie!”, ale oni oczywiście nic o nas nie wiedzieli. Brali nas pewnie za zawodowych żołnierzy, doskonale wyszkolonych zabójców. I chyba rzeczywiście nimi byliśmy.

Jedno wydawało się pewne: jeśli kiedykolwiek nas złapią i odkryją, że te wszystkie akcje to nasza sprawka, będzie po nas. Będziemy martwi. I nie mówię tego ot tak. To będzie oznaczało koniec naszego życia, naszego oddychania, patrzenia i myślenia. Będziemy martwi.

Żołnierze skierowali się w stronę szopy do strzyżenia owiec. Podchodzili do niej zupełnie jak w filmach: biegiem pokonywali małe odcinki, cały czas osłaniając się nawzajem i otworzyli drzwi kopniakiem. Pomyślałam, że mieliśmy naprawdę dużo szczęścia, że tyle razy udało nam się ich pokonać. W porównaniu z nimi naprawdę wyglądaliśmy jak amatorzy. Chociaż sama nie wiem - może właśnie na tym polegała nasza przewaga. Może mieliśmy

więcej wyobraźni, więcej elastyczności niż oni. Poza tym ci żołnierze byli zwykłymi podwładnymi wykonującymi czyjeś rozkazy. My sami byliśmy własnymi szefami i mogliśmy robić, co nam się podobało. To chyba trochę nam pomagało.

Przypomniało mi się pewne marzenie, które snułam, kiedy byłam trochę młodsza. Marzył mi się świat bez dorosłych. W zasadzie nie miałam żadnego pomysłu na to, co mogłoby się stać z dorosłymi, ale my mogliśmy robić, czego dusza zapragnie, i brać wszystko, co tylko chcieliśmy. Kiedy potrzebowaliśmy samochodu, wyjeżdżaliśmy mercedesem z salonu, a kiedy kończyła się benzyna, przesiadaliśmy się do drugiego. Zmienialiśmy samochody jak skarpetki. Codziennie spaliśmy w innej rezydencji, bo zamiast zmieniać pościel, przenosiliśmy się do nowego domu. Prawie jak na herbatce u Szalonego Kapelusznika, gdzie przesuwano stół o jedno miejsce, zamiast zmywać naczynia. W moim marzeniu życie było jedną długą imprezą.

Tak, właśnie o tym marzyłam.

Teraz skakałabym z radości, gdybym tylko mogła oddać stery świata z powrotem w ręce dorosłych. Chciałam po prostu wrócić do szkoły, przygotowywać się do studiów, łączyć tu i tam, oglądać telewizję oraz podawać jagniętom butelki z mlekiem, od czego wcześniej - na przykład kiedy dopadało mnie lenistwo albo gadałam z Corrie przez telefon - wykręcałam się na wszystkie możliwe sposoby. Nie chciałam tych zmartwień, całej tej odpowiedzialności. A najbardziej nie chciałam tego strachu.

W moim marzeniu nikt nie ścigał nas po polach. Nie musieliśmy się oglądać przez ramię. Nie musieliśmy zabijać i niszczyć.

Żołnierze skończyli przeszukiwać domek postrzygaczy i wycofali się do swoich pojazdów. Wyglądali na bardziej odprężonych. Przypuszczałam, że nie znaleźli żadnych śladów naszej bytności. A może to była tylko taka sztuczka. Może już wiedzieli, że jesteśmy w pobliżu, i zachowywali się jak gdyby nigdy nic, żeby nas zmylić. Nie wiem, czy pozostali myśleli podobnie jak ja. Nie rozmawialiśmy o tym. Siedzieliśmy w lesie całe popołudnie i gapiliśmy się na pola. Nikt się nie odzywał. I nikt nie spał. Wszyscy byliśmy zmęczeni - zmęczeni aż do bólu w kościach i pieczenia oczu, który sprawiał, że czułam się jak stulatka.

W końcu zaczęło się ściemniać. Króliki wyskakiwały z nor, rozglądały się nerwowo, kicały parę metrów i skubały pierwsze wieczorne przekąski. Znowu nie mogłam się nadziwić, jak bardzo zdążyły się rozmnożyć. Niepokoiliam się o ziemię, o którą nikt nie dbał jak trzeba. Miałam nadzieję, że osadnicy wiedzą co nieco o rolnictwie. Lepiej, żeby oni się nią zaopiekowali, niż żeby leżała odłogiem.

Kiedy króliki pouciekały, zaczęliśmy rozmawiać. Z rosnącą ulgą czuliśmy, że

najwyraźniej przetrwaliśmy kolejny dzień i że przez najbliższą noc powinniśmy być bezpieczni. Rozmawialiśmy cicho, bez emocji. Chyba na razie wyczerpaliśmy wszystkie zapasy uczuć. Rozmawialiśmy o tym, co powinniśmy teraz zrobić, jak zadbać o bezpieczeństwo, i o tym, co będzie dla nas najlepsze. Zachowywaliśmy się bardzo spokojnie. Uzgodniliśmy, że przed powrotem do Piekła powinniśmy zdobyć jeszcze trochę zapasów. Im więcej, tym lepiej - wiedzieliśmy, że przez jakiś czas możemy nie dostać drugiej takiej szansy. Warto było spróbować zastąpić czymś rzeczy, które straciliśmy podczas ataku na obóz Bohaterów Harveya, oraz poszukać większej ilości jedzenia i ubrań. Czuliśmy, że dopóki sytuacja po ataku na Turner Street się nie uspokoi, nie będziemy mogli wyjść z Piekła.

Przypomnieliśmy sobie o gospodarstwie, do którego jeszcze nie zajrzeliśmy. Leżało ono pięć kilometrów na południe od domu Homera. Nazywano je Tara, a jej właścicielami byli państwo Rowntree. Mama i tata raczej za nimi nie przepadali - uważali, że państwa Rowntree bardziej interesują imprezy niż rolnictwo. Pan i pani Rowntree od roku byli w separacji i właśnie się rozwodzili. Mieli dużą posiadłość, trzy razy większą od naszej, ale doszłam do wniosku, że osadnicy jeszcze do niej nie dotarli. Była zbyt oddalona od miasta i leżała na wzgórzach.

O dziesiątej wieczorem uruchomiliśmy rowery i własne nogi i pojechaliśmy do mojego domu. Tam wsiedliśmy w land-rovera. Na Szwie Krawca nadal czekał starannie ukryty ford, z którego czasami korzystaliśmy, żeby nie wysiadł akumulator. Wolałam jednak land-rovera, którym jeździłam od wielu lat. Był dla mnie jak stary przyjaciel. Jak zwykle kaszlnął i obudził się do życia. Zawsze wydawał się zmęczony, ale zawsze odpalał. Potoczyliśmy się do Tary. Jechaliśmy powoli, bo nikt z nas nie znał drogi. Był tam dom zarządcy, do którego postanowiliśmy zajrzeć później, jeśli zostanie nam trochę czasu, oraz główny budynek, stojący mniej więcej kilometr dalej, na końcu podjazdu. Byłoby bliżej, gdybyśmy pojechali na skróty przez pole, ale ponieważ było ciemno i mokro, nie chciałam ryzykować. Wlekleśmy się samochodem między dwoma rzędami ogromnych starych sosen, aż w końcu zatrzymaliśmy się w połowie drogi. Lee i Robyn podeszli do domu, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żadnych intruzów.

Kiedy machnęli latarkami, dając nam sygnał, że jest bezpiecznie, podjechaliśmy i zaparkowaliśmy przed drzwiami wejściowymi. To trochę dziwne, ale buszowanie w cudzych domach okazało się niezłą zabawą. Lubiłam patrzeć, jak mieszkają, co mają, jak urządzili poszczególne pomieszczenia. Ja i Fi uważnie się rozglądałyśmy. Dom był ładny. Stały w nim piękne meble: same duże i zabytkowe, z ciemnego drewna. Musiały być warte fortunę. Bez wątplenia pewnego dnia zjawią się tu żołnierze ze swoimi ciężarówkami.

Oczywiście najeźdźcy już tutaj zaglądali. Byli wszędzie z wyjątkiem Piekła. Szuflady w sypialniach były powysuwane i ich zawartość leżała porozrzucana. W salonie opróżniono szklane witryny, a jedna z szyb została potłuczona. Na podłodze walało się mnóstwo szkła. Ktoś dorwał się do barku i go opróżnił. Poza tym zrabowano sprzęt muzyczny, po którym zostały tylko głośniki i puste miejsce tam, gdzie stał odtwarzacz. Żołnierzy nie obchodził stary magnetofon w moim domu. Mógł być wart góra dwadzieścia dolarów. Sprzęt państwa Rowntreech musiał być wyjątkowy.

Najbardziej interesowało nas jedzenie i z dziką radością odkryliśmy w spiżarni sześć wielkich salami. Byliśmy spragnieni jakiejś odmiany w diecie. Poza tym znaleźliśmy dwie skrzynki pepsi, mnóstwo czekolady i trochę chipsów, które robiły się już odrobinę stęchłe. Najwyraźniej Rowntreem nieźle się powodziło. Nie było tam zbyt wielu konserw, tylko zupa i trzy puszki łososia, którego nie jadam. Zabraliśmy jednak mnóstwo różności, na przykład chiński makaron i paczki wędzonych ostryg - wystarczająco dużo, żeby wypełnić dwie torby podróżne.

Szybko przeszukaliśmy pozostałe pomieszczenia, wzięliśmy trochę ubrań i spiwory, a ja i Fi wypchałyśmy kieszenie drogimi kosmetykami. Moje dawne marzenie na chwilę się spełniło. Lee wyszedł z gabinetu ze stertą grubych powieści *science fiction*. Nadeszła pora, żeby się związać. Wskoczyłam na miejsce kierowcy. Obok usiadła Fi. Homer i Lee zajęli tylną kanapę, a Robyn wyciągnęła się na pace, zrobiwszy sobie łóżko z koców i ubrań znalezionych w Tarze. Miałam przecucie, że każde z nich zaśnie, zanim dotrzemy do końca podjazdu.

- Wszyscy na pokład, lecimy do Piekła - powiedziałam. - Proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. Będziemy lecieć na wysokości około metra nad poziomem drogi, z prędkością mniej więcej czterdziestu kilometrów na godzinę. Należy się spodziewać, że w Piekło powitają nas wilgoć i chłód.

- Nie licząc namiotu Lee, gdzie będzie parno i gorąco - zawołał Homer.

- Przynajmniej taką ma nadzieję - dodała Fi.

Zignorowałam to dziecinne zachowanie i wrzuciłam jedynekę. Ruszyliśmy.

Gdy zbliżyliśmy się do końca podjazdu, znowu odezwał się Homer:

- Tam jest coś dziwnego.

Zwolniłam trochę i spojrzałam nad polem w stronę, którą pokazywał. Równoczesne patrzenie w bok i prowadzenie samochodu okazało się zbyt trudne, więc zapytałam:

- Mam się zatrzymać?

- Nie, mniejsza z tym.

- Tak, zatrzymaj się - zawołała nagle Robyn dziwnym głosem, jakby ktoś wykreczał jej

szyję.

Wdepnęłam sprzęgło i hamulec. Land-rover się zatrzymał. Robyn wyskoczyła tylnymi drzwiami i pobiegła.

- O co chodzi? - zapytała Fi.

- Spójrz tam - powiedział Homer. - Obok zbiornika.

Widziałam wodę połyskującą w małym zbiorniku wykopanym w ziemi i sam zbiornik, ale nie zauważyłam nic poza tym. Chociaż chyba dostrzegłam jakiś dziwny ciemny kształt na lewo od zbiornika, kawałek za nim. Po chwili usłyszałam dziwny dźwięk - upiorny nieziemski odgłos, od którego przeszły mnie ciarki i poczułam gwałtowny strach. Ścierpła mi skóra na głowie. Czulałam się tak, jakby we włosach pełzały mi małe owady.

- O Jezu - powiedziała Fi. - Co to było?

- To Robyn - odezwał się Lee.

Tamten dźwięk nie przypominał krzyku ani płaczu - raczej zawodzenie. Rodzaj lamentu, który czasami słyszy się w filmach dokumentalnych poświęconych innym krajom. Wskoczyłam z samochodu, okrążyłam go i pobiegłam w stronę zbiornika. Z odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów w zawodzeniu Robyn zaczęłam rozróżniać słowa.

- Za dużo - powtarzała. - Za dużo. To za dużo.

Prawie jakby śpiewała. Był to chyba najbardziej przerażający dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Pędziłam tam, chcąc ją złapać, przytulić, uspokoić i pocieszyć. Słyszałam, że za mną biegną pozostali. Kiedy jednak dotarłam do Robyn i mój wzrok padł na to, co zobaczyła, zupełnie zapomniałam o tym, że chciałam ją przytulić. Stałam i zastanawiałam się, czy ktoś przytuli mnie, czy też sama będę się musiała pocieszyć.

Przed wojną często widywałam śmierć. Pracując na farmie, człowiek przywyka do widoku zwłok. Nikt tego nie lubi. Czasami zbiera się na wymioty, czasami ogarnia cię wściekłość, a innym razem płacze się potem przez wiele dni. Mimo to przywyka się do owiec zabitych przez lisy w czasie porodu, do jagniąt z oczami wydziobanymi przez kruki, do martwych krów, które są tak opuchnięte od gazów, że wyglądają, jakby za chwilę miały się unieść w powietrze. Widuje się króliki zaatakowane przez myksomatozę, kangury zaplątane w ogrodzenie, żółwie, które niechcący przejechało się traktorem podczas napełniania zbiornika wodą ze strumienia. Widuje się śmierć brzydką, suchą, cichą, pełną bólu, śliny i krwi oraz wyprute flaki, w których muchy składają jaja. Pamiętam, jak jeden z naszych psów zjadł truciznę i tak oszalał z bólu, że rozpedził się i zderzył z boki ciężarówką, łamiąc sobie kark. Pamiętam innego starego psa, który był ślepy i głuchy. Pewnego gorącego dnia

znaleźliśmy jego ciało w zbiorniku z wodą. Chyba wskoczył, żeby się ochłodzić, a kiedy przestał pływać, nie mógł znaleźć wyjścia.

Ciało Chrisa wyglądało inaczej. Powinno być takie jak tamte, przypominać zwłoki zwierząt. Leżało tu kilka tygodni, tak samo jak często zwierzęta, zanim ktoś je znajdzie. Jego też atakowały drapieżniki: lisy, dzikie koty, kruki i kto wie, co jeszcze. Podobnie jak w wypadku zwierząt, ziemia wokół Chrisa opowiadała historię jego śmierci: leżał dziesięć metrów od przewróconego pikapa i deszcz nie był w stanie zetrzeć śladów, które wyłobily w ziemi jego dłonie. Było widać, gdzie go wyrzuciło, jak daleko się doczołgał i że leżał tam jeszcze co najmniej dzień, pragnąc umrzeć.

Jego twarz nadal wpatrywała się w niebo. Puste oczodoły spoglądały w górę, jakby szukały gwiazd, których Chris nie mógł już zobaczyć. Jego usta zastygły wykrzywione w zwierzęcym grymasie, a plecy były wygięte w agonii. Zastanawiałam się, czy próbował coś napisać na ziemi obok, ale nawet jeśli tak, wszystkie ślady były już nieczytelne. To było w jego stylu: wysyłanie wiadomości, których nikt poza nim nie rozumiał.

Trudno było sobie wyobrazić, że z tego ciała i z tej głowy wychodziły kiedyś cudowne przesłania. To brzydkie, śmierdzące ciało napisało kiedyś: „Gwiazdy kochają czyste niebo. Świecą”.

Stojąca obok mnie Robyn przestała płakać i klęczała, cicho szlochając. Pozostali nadal tkwili za mną. Nie wiem, co robili. Pewnie po prostu patrzyli w milczeniu, zbyt zszokowani, żeby się poruszyć. Spojrzałam na przewrócony samochód. Łatwo było zgadnąć, co się stało. Był to ford z napędem na cztery koła, o którym myślałam, że czeka w bezpiecznym miejscu na Szwie Krawca. Stoczył się ze wzniesienia obok zbiornika. Przekoziołkował na dół. Na ziemi rozsypała się zawartość sześciu kartonów alkoholu. Wszędzie leżały potłuczone butelki i puste pudełka. Niektóre ocalały. Chcąc nie chcąc pomyślałam, że strasznie jest umrzeć za coś tak głupiego. Jedno pytanie nie dawało mi spokoju: ile promili wskazałby alkomat, gdyby Chris dmuchnął w niego w momencie, kiedy postanowił pojechać na skróty przez pola.

Wyglądało na to, że za każdym razem, gdy wracamy z jakiejś dużej akcji wymierzonej we wroga, tracimy jedno z przyjaciół. Tyle że tym razem wróg nie miał z tym nic wspólnego. To znaczy nie bezpośrednio. Kiedy przypuszczaliśmy atak na Turner Street, Chris już dawno nie żył. Zabiło go wiele rzeczy. Jedną z nich było to, że zostawiliśmy go samego w Piekło.

Staliśmy tam przez jakiś czas, ale nic nie mówiliśmy. O dziwo - a może i nie było w tym nic dziwnego - to właśnie Robyn przejęła dowodzenie. Wróciła do land-rovera i przyniosła koc.

Cały czas milczała. Rozłożyła koc obok Chrisa i zaczęła wtaczać na niego ciało.

Szlochała i czekała. Wstrząsały nią dreszcze przypominające nieustanny wiatr. Przez nie nie była w stanie starannie wykonać zadania, ale owinęła ciało dość ciasno - nie delikatnie czy nerwowo, jak zrobiłabym ja. Jej ruchy, tak zdecydowane, popchnęły nas do działania. Stailiśmy wokół ciała i pomogliśmy Robyn dokończyć zadanie. Starannie owinęliśmy Chrisa, zasłoniliśmy kocem jego głowę i stopy. Potem Fi oświetliła nam drogę latarką, a ja razem z Robyn, Homerem i Lee złapaliśmy za koc i zanieśliśmy Chrisa do land-rovera. Zrobiliśmy miejsce z tyłu i niezdarnie go tam umieściliśmy, objając jego ciało o samochód, mimo że staraliśmy się to zrobić jak najdelikatniej. Byliśmy po prostu zbyt zmęczeni. Potem wsiedliśmy do samochodu, opuściliśmy szyby z powodu brzydkiego zapachu i odjechaliśmy. Nikt nie odezwał się słowem. Nie ustaliliśmy nawet, co zrobimy z ciałem naszego przyjaciela.

Epilog

Nie wychodziliśmy z Piekła mniej więcej od miesiąca. Trudno powiedzieć dokładnie, jak długo - straciłam poczucie czasu. Na przykład nie mam pojęcia, jaki jest dziś dzień tygodnia, i nie znam aktualnej daty.

Wiem tylko, że jest zimno.

Po naszym powrocie codziennie krążyły po niebie samoloty i helikoptery. Chyba podejrzewają, że ukrywamy się w tych górach, bo śmigłowce poświęciły dużo czasu na cierpliwe wypatrywanie nas, powoli kołysały się w przód i w tył jak olbrzymie ważki. Ciężko było to wytrzymać. Musieliśmy ciągle pilnować, żeby wszystkie rzeczy były ukryte. Ale od jakiegoś tygodnia jest już spokojniej. Nie pamiętam, kiedy dokładnie widzieliśmy ostatni helikopter. Gdy pomyślę, jakich zniszczeń dokonaliśmy tamtej nocy w Wirrawee, przechodzi mnie dreszcz zadowolenia. Dreszcz, który ma w sobie trzy czwarte strachu, ale zdecydowanie jest dreszczem zadowolenia.

Możliwe jednak, że ponieśliśmy jedną porażkę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do wczoraj, kiedy Homer wspomniał, że gdy skradał się do domu, żeby odkręcić gaz, przy Turner Street nie stały żadne pojazdy. Przynajmniej tak mu się wydaje, ale twierdzi, że jest prawie pewien. Dlatego w moim umyśle pozostała pewna wątpliwość dotycząca majora Harveya. Range-rover stał przy Turner Street, kiedy wychodziłam z kościoła. Naprawdę chciałam dopaść Harveya, a w tej sytuacji nie byliśmy w stanie sprawdzić, czy nam się udało.

Przywieźliśmy trochę nowych baterii, więc mogliśmy słuchać radia. Na większości obszarów sytuacja utknęła w martwym punkcie. Wprawdzie nie traciliśmy kolejnych terenów, ale z drugiej strony żadnych nie odzyskaliśmy. Tam gdzie znajdowały się najlepsze pola - na przykład w naszym okręgu - wróg przeważnie czuł się już dość pewnie. W radiu mówią, że sprowadzono sto tysięcy nowych osadników, a rzesze następnych szykują się do przeprowadzki. Amerykanie rzadko wspominają o nas w swoich wiadomościach, ale dali nam sporo pieniędzy i sprzętu. Zwłaszcza samolotów. Przysyłają to wszystko do Nowej Zelandii i właśnie tam organizują pomoc.

Nowozelandczycy okazali się bardzo waleczni. Przysyłają tu swoje siły lądowe i zaciekle walczą w trzech różnych miejscach. Odbili kilka ważnych obszarów, na przykład Newington, gdzie mieści się duża baza sił powietrznych. Do nas się jednak nie zbliżyli.

Jedyną akcję zorganizowano w Zatoce Szewca. Trzy noce temu słychać było mnóstwo samolotów, a Lee i Robyn twierdzą, że gdzieś w oddali spadały bomby. Rano, kiedy zakradłam się na Szew, żeby spojrzeć na zatokę, zobaczyłam, że wisi nad nią mnóstwo dymu. Ucieszyłam się.

Myślę, że to jeszcze nie koniec.

Chyba niedługo znowu będziemy musieli ruszyć do akcji. Wolę o tym nie myśleć, ale w zasadzie nie mamy innego wyjścia. Boję się jak cholera, bo tym razem będzie o wiele trudniej. Staram się nie myśleć o zmianach, które zastaniemy w mieście. Na przykład o kolejnych osadnikach i zaostrzonych środkach bezpieczeństwa. Martwię się.

Wczoraj po raz pierwszy ktoś z nas o tym wspomniał.

- Kiedy stąd wyjdziemy, też powinniśmy uderzyć gdzieś w zatoce - powiedział Lee.

Nikt się nie odezwał. Jedliśmy ze spuszczonymi głowami. Ale wiem, jak to jest: jedna kakadu wzbija się w powietrze i nagle całe niebo wypełnia się białymi ptakami. Po prostu Lee stał się tą pierwszą kakadu.

Ostatnio zachowujemy się z Lee jak stare małżeństwo. Chyba bardzo się do siebie przyzwyczailiśmy. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Pod niektórymi względami nie przypominamy jednak starego małżeństwa - za bardzo lubię swobodę. Wolę spać sama, chociaż nie powiem, żebym dużo spała. Czułabym się trochę stłamszona, gdyby przyszło mi spać z kimś codziennie. Ale kochaliśmy się już pięć razy. To miłe. Podoba mi się, jak dreszczyk podniecenia pojawia się w jednym miejscu ciała, a potem stopniowo się rozprzestrzenia i ogarnia mnie całą. Martwią mnie jedynie te prezerwatywy. Nie są niezawodne: z tego, co pamiętam, ich skuteczność ocenia się na jakieś dziewięćdziesiąt kilka procent. Kiedy to wszystko się skończy, nie chciałabym powitać mamy i taty, trzymając na ręku dziecko. I jeszcze jedno: nie wiem, co zrobimy, kiedy zapas Lee się skończy. Zostały już tylko cztery sztuki.

Może tak naprawdę właśnie dlatego Lee chce, żebyśmy wyszli z Piekła.

Dziś rano Fi powiedziała mi, że chce to zrobić z Homerem, a ja w odpowiedzi zakrztusiłam się płatkami kukurydzianymi. Nigdy nie przypuszczałam, że będzie taka chętna. Chyba raczej jest zazdrosna o Lee i o mnie, bo w zasadzie jej związek z Homerem jest zupełnie inny niż nasz. Poza tym w Piekło nie ma wielkiego wyboru. A Lee jest już zajęty.

Pozostaje mi jeszcze napisać kilka słów o Chrisie. To, co napiszę, nie będzie zbyt logiczne. Mam kompletny mętlik w głowie. Znieśliśmy Chrisa na dół i pochowaliśmy go w ładnym miejscu: we wgłębieniu między wysokimi skałami, mniej więcej w połowie drogi między naszymi namiotami a miejscem, w którym strumień wpływa w zarośla. Rosło tam

trochę zielonej trawy, a ziemia była miękka prawie jak torf. Oczywiście kiedy zaczęliśmy kopać, okazało się, że ta miękkość nie sięga zbyt głęboko. Była tylko na powierzchni. Niżej zrobiło się twardo i skaliście. Ostatecznie wykopanie głębokiego dołu zajęło nam trzy dni. Nie mieliśmy żadnego konkretnego grafika. Kiedy któreś z nas miało ochotę, szło w tamto miejsce i kopało. Pochowaliśmy go o zmierzchu i od razu zasypaliśmy. To było najgorsze. Po prostu okropne. Gdy o tym myślę, nadal zbiera mi się na płacz. Dół się wypełnił i staliśmy nad nim przez kilka minut, ale nikt nie wiedział, co powiedzieć, więc po chwili każde z nas poszło w swoją stronę, żeby usiąść w samotności i pomyśleć. Nie byliśmy w stanie zrobić dla przyjaciela tego, co zrobiliśmy dla żołnierza, którego wrzuciliśmy do żlebu w dolinie Holloway.

Na grobie Chrisa zawsze leżą świeże kwiaty. Zanosimy je tam, kiedy któreś z nas idzie na spacer. Potem musimy się starać, żeby nie zjadło ich nasze ostatnie jagnię.

Zastanawiam się, czy ciało pustelnika też spoczęło gdzieś w Piekło. Byłoby zabawnie, gdyby obaj tu leżeli, bo chyba pod niektórymi względami byli do siebie podobni.

Nie, tej części brakuje jednak logiki. Nielogiczne jest to, co w związku z tym wszystkim czuję. Co czuję w związku z Chrisem. Brakuje mi go i nie mogę przeboleć, że zginął w taki sposób. To wydaje się takie niesprawiedliwe i niepotrzebne. Gnębią mnie też inne emocje, zwłaszcza wyrzuty sumienia. Poczucie winy, bo zostawiliśmy go samego, bo za słabo się staraliśmy. Kiedy miał doły, zazwyczaj dawaliśmy za wygraną i nie próbowaliśmy go z nich wyciągnąć. Chyba powinniśmy byli zrobić coś więcej. Poza tym czuję złość, złość na Chrisa. Jestem zła, że był taki słaby i nie postarał się trochę bardziej. Jestem zła, bo był geniuszem, ale tego nie wykorzystał.

Czasami po prostu trzeba być odważnym. Trzeba być silnym. Czasami nie można ulegać czarnym myślom. Trzeba pokonać te diabły, które wpychają się do twojej głowy i próbują wzbudzić paniczny strach. Przesz naprzód, krok za krokiem, z nadzieją, że nawet jeśli się cofniesz, to tylko trochę, tak że kiedy znowu ruszysz przed siebie, szybko nadrobisz zaległości.

Właśnie tego się nauczyłam.

Po lewej stronie namiotu słyszę szmer. To jakieś małe nocne stworzonko - pewnie liczy na to, że uda mu się dobrać do naszego jedzenia. Zupełnie jak my: rozgląda się, próbując uniknąć drapieżników i szukając czegoś, co pozwoli mu przetrwać. Słyszę, jak Homer chrapie, Fi krzyczy przez sen, Lee zmienia pozycję, a Robyn spokojnie oddycha. Kocham tych czworo. I właśnie dlatego na myśl o Chrisie czuję się tak źle. Jego kochałam zbyt słabo.

Zanosą mnie na pole
Przez kłęby mgły,
Rosa pokryje mi twarz,
A jagnię przystanie,
Żeby na mnie spojrzeć
Rozumnymi oczami.
Żołnierze - oni przyjdą,
Złożą mnie w ciemnej, zimnej ziemi
I zepchną grudy na twarz.